

Waligóra, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Waligóra

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW LESZKA BIAŁEGO

TOM I

A. PEUGOWI

*staremu drubowi, w dowód najgłębszego szacunku dla człowieka i pisarza, dla charakteru
i talentu, dla złotego serca jego powieść tę przesyła*

Autor.

Drezno.

d. 25 Września 1879 r.

I

Gęstwiną puszczy odwiecznej, która niepewną granicę krakowskiej ziemi od Szlązka zalegała, drogą wijącą się między wybujałymi drzewy, za wałami i moczary — dziką, i zdającą się czasem ginać wśród zarośli i kłód przez wichry obalonych — sunął powoli, wśród uroczystej ciszy jesiennego pogodnego wieczora, długi orszak, któryby za processją kościelną wziąć było można, gdyby wszyscy udział w nim mający zamiast iść pieszo nie jechali konno...

W pośrodku prawie tego szeregu duchownych i rycerzy, dworzan, pachółków i służby najrozmaiciej poprzybieranej i zbrojnej, widać było podeszłego wieku mężczyznę, w którym, łatwo było poznać wysokie w hierarchii duchownej zajmującego stanowisko prałata. Z poszanowaniem otaczali go wszyscy, jechał jakby odosobniony, a wieczorne światło pięknego dnia na schyłku, oblewało twarz jego poważną łagodną aureolą.

Oblicze to było wpośród wszystkich obok niego i za nim widnych wśród zarośli, szczególnie piękne i wysłachetnione a opromienione świętością wielką i myślami wielkimi.

Pomimo wieku, twarzy spokojnej marszeczki prawie nie pofałdowały, zachowała młodzieńczą świeżość i siłę... Na pięknym czole rozjaśnionem, wyniosłem, nie było śladu ziemskiej troski, oczy poglądały z męstwem wielkiem i dobrocią, na ustach był uśmiech łagodny, a słodycz łączyła się tu tak z siłą i ufnością w nią harmonijnie jednocząc, iż cześć obudzał mąż ów a miłość zarazem...

Lekki płaszcz okrywał szerokie i wiekiem jeszcze niezgięte ramiona, a z pod niego widać było biskupie szaty, krzyż na łańcuchu u piersi i białą rokitę, która w podróży dziwną się zdawać mogła, lecz była oznaką dawnego ślubu zakonników Ś. Wiktora...

Na powolnym, ciężkim i silnym koniu jechał prałat ów, rzuciwszy mu cugle na szyję, koń nawykły widać do tego, sam sobie drogę wybierał, szedł swobodnie i śmiało, z głową spuszczoną, — a jadący wcale się oń nie troszczył. Oczy miał wlepione w niebo, usta poruszały się modlitwą, zdawał się oderwany od ziemi.

Wszyscy też za nim powolną stępią jechali, była to godzina niesporów i modlitwy wieczornej, które czasu nie tracąc, odprawiano w drodze.

Jadący w pewnym oddaleniu od Biskupa kantor z księgą otwartą w ręku, śpiew intonował, inni mu głosy zgodnymi odpowiadali... Duchowni mieli poodkrywane głowy lub lekkimi czapeczkami tylko osłonięte, reszta szyszaki i kołpaki zdjęte wiozła w rękach. Na twarzach wszystkich malowało się pobożne usposobienie i przejęcie modlitwą.

Konie nawykłe pewnie do śpiewu, znając że im przystało stąpać powoli i cicho, kroczyły niby odpoczywając i ledwie się ośmielił który chwycić zieloną gałąź, gdy mu się jak pokusa pod pysk nawinęła. Chrzęst zbroi żelaznych i mieczów mało co przerywał górą niosące się głosy, w których brzmiał pobożny zachwyty i wielka gorącość ducha.

Wiek to był takich namiętych uniesień ku niebiosom, cudów i extaz wielkich...

Orszak towarzyszący prałatowi w tej podróży dosyć był mnogi i sam już dostojność jego oznaczał. Nie było w nim błyskotliwego przepychu, ani coby na okaz oczom ludzi służyło, ale dostatek pański i skromna trwała zamożność, z jutrem się licząca, ludziom i koniom dworu nadawała cechę właściwą. Dwór jak pan czuł się bezpiecznym a pewnym siebie. Twarze zdały się dobrane tak by jedną rodzinę duchową składały. Jeżeli nie braterstwo krwi to powinowactwo myśli i obyczaju ich łączyło.

Coś z tej świętej pogody przodującego wszystkim biskupa, zlewało się na jego drużynę. Wprawdzie rysy były różne — lecz jak skąpane w jednym strumieniu łaski.

Gdy chwilami pieśń ustała, szumiący cicho las zdał się ją pokornym echem powtarzać. Ostatnie promienie blizkiego już zachodu słońca wdzierając się w puszcę gęstą i ciemną złościły wierzchołki drzew, a niekiedy przerywały się i spływały po gałązkach i obnażonych konarach aż ku ziemi. Czasem promyk taki zlocisty zabłysnął na ramieniu zbrojnego męża, na czarnej sukni którego z duchownych, na szyszaku spartym o kark konia; na zwieszonej u ramienia małej tarczy, której gwoździe połyskiwały chwilę i wnet nikły w półcieniach.

Narescie intonujący pieśń ostatnią zamknął księgę, którą trzymał przed sobą, a z ust całego orszaku ozwało się powtórzone głosem podniesionym:

— Amen.

Biskup przeżegnał się i jakby po modlitwie potrzebował spoczynku, jechał czas jakiś milczący.

Poza nim wśród zbrojnych dworzan, czeladzi i pachółków ciche szepty zwolna się słyszeć dały. Zdawano się naradzać i jedni jeźdźcy przyzostawali dla rozmowy z drugimi, inni pochylali ku sobie z cicha coś pomrukując.

Zbrojni mężowie wkładali na głowy szyszaki i kołpaki, konie trochę żywiej poruszać się zaczęły i lby popodnosiły.

Puszcza z obu stron wciąż się wznosiła gęsta i wyniosła, — wspaniała rozrostem swobodnym i siłą którą z dziewiczej ziemi czerpała; lecz droga niekiedy tak się stawała wązką że orszak się rozsuwać musiał i przedłużać.

Wtem po prawej ręce jadących, gąszcz zrzedniała, rozsunęły się drzewa i polanę zieloną dostrzeżono, którą twarze wypatrujących czegoś zdala, powitały weselszym wejrzeniem.

W tejże chwili prawie, Biskup konia zwolna idącego, który podniósł był głowę i powietrza nozdrzami zaczerpnął — zatrzymał i zwolna głowę odwrócił szukając kogoś poza sobą.

Zgadując jego myśl podbiegł ku niemu w sile wieku mąż zbrojny, pięknej postawy, starając się uprzedzić pytanie. Oko jego przypadkiem padło pomiędzy drzewa i przystanął zdumiony. Dostrzegł dopiero wśród polany jakby rodzaj obozowiska, które równie go jak Biskupa zdumiało...

Stanęli wszyscy jadący i ścisnęli się w gromadę.

Biskup patrzył i ręką na dolinę wskazywał. Zbrojny mężczyzna spoglądał też, ale wejście jego badało próżno widok który się przedstawiał, nie mogąc sobie sprawy zdać z niego.

Na zielonej polanie u skraju lasu, nieopodal od jadących rozbity był namiot biały z powiewającą nad nim chorągwią białą, oznaczoną krzyżem czarnym. — Za nim u żłobów płóciennych żywiły się właśnie silne i rosłe konie. Widać było rozpalone ognisko, około niego kilkunastu uzbrojonych olbrzymiego wzrostu ludzi, których rycerskie rzemiosło odgadnąć było łatwo. U namiotu na pniach siedziało osobno dwóch starszyny, za których ramion płaszcze białe z krzyżami czarnymi spływały...

Krzątano się około namiotu i ogniska.

Biskup patrzył chcąc jakby przypomnieć coś sobie i po chwili się uśmiechnął. Właśnie zbrojny który ku niemu przybiegł miał się puścić naprzód aby dostać zapewne języka, gdy duchowny dał mu znak...

— Są to Bracia szpitalni, Maryi Panny, niemieckiego domu! Widziałem ich z temi płaszczami w Rzymie... lecz zkąd się tu u nas wzięli?

— Mamli jechać popytać? — odezwał się zbrojny.

— Nie będzie to potrzebem — rzekł Biskup łagodnie, — nie mogą to być inni tylko wysłańcy Zakonu, po których brat Pana naszego, Konrad Mazowiecki posyłał... Zboczyli pewnie z drogi, a jam rad że ich zobaczę i rozmówię się z nimi...

Z ciekawością przez gałęzie przypatrywali się jeszcze towarzyszący Biskupowi, — młemu obozowisku, gdy pasterz dał znak, i wszystko z miejsca ku dolinie się poruszyło.

Tentent koni i szcęk oręża teraz dopiero zwrócić musiał uwagę obozujących, którzy trochę niespokojnie skupili się. Dwa płaszcze białe podniosły się, poglądając ku lasowi. A wtem i Biskup a z nim drużyna jego cała wysunęła się z gąszczy i podjechawszy nieco, gdy cały orszak wy dobył się z nich, — stanęła.

Kilkaset kroków zaledwie dzieliły dwie owe gromadki; lecz dzień jeszcze był biały, jasny, obie się sobie dobrze mogły przypatrzeć.

I z szat i z orszaku musieli domyśleć się obozujący dostojnika kościelnego, pierwsi poruszyli się i po krótkiej naradzie, dwa białe płaszcze poczęły się zwolna zbliżać do stojącego na koniu Biskupa, który czekać na nich postanowił.

Lepiej im teraz mógł się przypatrzeć.

Dwaj rycerze, którzy jeszcze zbroi z siebie zrzucić nie mieli czasu, a szyszaki nieśli w rękach, byli to wzrostu ogromnego, silni i barczyści mężczyźni, jakby stworzeni do swojego rzemiosła, które im z oczów patrzyło.

Nie wiele po nich zakonu i zakonnego widać było ducha i gdyby nie owe płaszcze, a na nich krzyże trudno się kto mógł domyśleć braci ślubami pobożnymi związanej. Starszy z nich, który szedł przodem, bystre oczy czarne trzymał wlepione w Biskupa, a choć z krzyża i sukni mógł poznać w nim wysokiego dostojnika Kościoła wcale pokornej nie przybierając postawy, rosnął w butę powoli idąc ku niemu. Drugi postępujący za nim, jaśniejszego włosa, twarzy płomienisto czerwonej, dzikiego wejrzenia, szedł też z dumą głowę podnosząc.

Zbliżali się rozpatrując jakby do równego sobie; a że niepewni być mogli z kim do czynienia mieli, dla uprzedzenia ich o tem zsiadłszy prędko z konia, którego pacholek pochwylił, podszedł zbrojny dworzanin biskupi szybkim krokiem ku nim i pozdrowiwszy — już na widok jego zatrzymujących się Braci niemieckiego domu, rzekł:

— Książdz Pasterz nasz krakowski, Iwo...

Czarnowłosy poruszył głowę, dając znak idącemu za nim rudemu, i nie odpowiadawszy na to oznajmienie, kroczyć zaczął znowu do stojącego na koniu Biskupa...

Dawszy im podejść nieco — Biskup ręką ich pozdrowił naprzód, na co lekkim skinieniem głowy odpowiedzieli...

Iwo przemówił po łacinie.

— Bywajcie mi pozdrowieni, bracia mili a goście. Kędyż to was wiedzie ta droga?

— Do Płocka jedziemy wezwani przez księcia Konrada — odezwał się niepewną troską łaciną, czarny. — Chcieliśmy kraj poznać i nakładamy w podróży...

To mówiąc ręką dotknął zbroi i mianował się:

— Konrad von Landsberg Miles hospitalis S. Mariae Hierosol. — Potém wskazał na towarzyszącego mu rudobrodego i dodał:

— Otto von Saleiden!

Ten skłonił nieco głowę, ale ją podniósł natychmiast.

— Żeście braćmi tego zakonu, który się niegdyś wslawił i mężstwem przeciwko niewiernym i miłosierdziem dla ubogich pielgrzymów — rzekł Biskup, — poznałem zaraz ze znamienia jakie wam Ojciec nasz, Papież a Biskup rzymski dał dla odznaki od Templarjuszów i Braci Johannitów... Bądźcie pozdrowieni na ziemi tej, dzieci moje... i niech Bóg w niej orężowi waszemu błogosławi...

Słyszeliśmy że książę Konrad nadać wam miał piękny kraj Chelmiński aż po granice Prusów...

Konrad von Landsberg zwolna postąpił ku Biskupowi, a Otto jego towarzysz podszedł także.

— Tak jest — odezwał się pierwszy — ale chociaż Cesarskie na to mamy potwierdzenie i Ojca świętego — chcemy wprzód sami oczyma swemi obejrzyć posiadłość, aby nas tu ten los co w Węgrzech nie spotkał. Krwią to przyjdzie okupywać, więc trzeba znać za co ją mamy.

Biskup nie odpowiedział nic. — Uplynęła chwila.

— Rozbiliście widzę obóz na noc — rzekł jakby rozmowę zwracając — a ja też nie wiem kędy spoczną... bośmy pono z drogi się zbili.

To mówiąc obrócił się do stojącego i czekającego rozkazów zbrojnego.

— Co na to mówicie, Zbyszku?

Uśmiechnął się.

Zagadnięty zniżając głos odpowiedział.

— Sądzę że droga nie była błędna, dobrze nam ją przepowiedziano, lecz do Białej Góry dostać się nie łatwo... mało kto zna przystęp do niej... odległości ludzie dają różnie... Winniśmy byli stanąć na noc przy granicy, a dotąd jej nie widać...

Rozkażesz W. Pasterska Mość z młodszych którego posłać na zwiady??

— Gdybyś W. Pasterska Mość, — przerwał Konrad von Landsberg, — tymczasem ubogiej braci, namiotu chciał przyjąć gościnność...

Wskazał w stronę obozu...

Zawahał się Biskup, lecz niepewność ta krótką trwała chwilę, konia potrącił zlekka i poszepnąwszy coś Zbyszkowi, sam w towarzystwie jednego duchownego ku namiotowi jechać zaczął.

Dwaj Bracia domu niemieckiego szli przodem prowadząc...

Biskup może nie tyle gościnności potrzebował jak wędrowcom się chciał przypatrzeć, nowym na tej ziemi na której jeszcze nigdy noga ich nie powstała.

Mnożyły się naówczas zakony pobożne i rycerskie — milicja Rzymu i Kościoła. — W ziemi świętej powstałi dawniej Templariusze i Johannici, po nich Bracia szpitalu P. Maryi, mniszę reguły coraz nowe przybywały, sam Biskup Iwo widząc w nich krzewicieli wiary i pomocników najdzielniejszych Kościoła, wznosił klasztory Cystersom, Norbertanom, — wprowadzał Dominika bracią, a wkrótce i synowie Franciszka z Assyżu mieli przyjść ubodzy ubogi lud pocieszać.

Po dworach pańskich gdzie nie było rozpasania i dzikości, panowała pobożność niemal namiętna, a kobiety w niej mężczyzn wyścigały.

Cuda były chlebem powszednim, święci cudotwórcy roili i mnożyli się zbroje często zmieniając na kaptur i habit szorstki, secinami z ziemi wyrastały klasztory które nadawano bogato. — Pobożność stawała się upojeniem, zdało się że cały nawrócony świat chrześcijański szedł nie patrząc na ziemię z oczyma w niebo wlepionymi.

Kantykiem na chwałę Bożą rozlegała się odradzająca Europa.

Pomimo to zepsucie było wielkie, okrucieństwa szalone, namiętności poskramiane budziły się i wybuchały tem gwałtowniej, a po nich sroga, krwawa, bezlitośna pokuta.

Niejeden płaszcz królewski okrywał włosienicą okrwawione ciało, niejeden wczoraj możny władca szedł nazajutrz pieszo i boso do Rzymu pokutnikiem, a powróciwszy do domu zabijał brata i znów przywdziewał pasek żelazny, chłostą dobrowolną okupując swoje grzechy.

Duchowieństwo wszędzie na wspólny z panującymi rządziło, tak jak Cesarz rzymski na wspólny z Papieżem władał światem, i tak samo ono ścierało się z władzą świecką jak Papież z Cesarzami, którzy złamani klątwami szli przebłagiwać a nazajutrz do nowego buntu się rwali.

W tej walce o panowanie nad światem Rzym się też w rycerstwo opatrywał, a lękając aby mu Biskupi nie wypowiedzieli posłuszeństwa, mnożył zakony wprost zależące od Apostolskiej Stolicy, zakony z których jedne szły z modlitwą i krzyżem, drugie z pobłogosławionym mieczem.

Do ostatnich należeli Bracia Szpitalni niemieckiego domu, dziś wypadkami wyrzuceni z Ziemi świętej. Niedawno jeszcze nie mndozy i nie możni, w chwili gdy ich spotykamy już w Niemczech opatrzeni dobrze, rozsiedli, a przez wielkich zdolności i powagi Mistrza zakonu Hermana von Salza w łaskach Cesarskich, w opiece papieżkiej, w miłości wielkiej u rycerstwa niemieckiego.

Do Jerozolimy nie mogąc iść szukali właśnie miejsca w Europie, w któremby ślubom i powołaniu mogli zadość uczynić. Nastęrczało się ono tu na pograniczu pogaństwa, a nieopatrność księcia Konrada Mazowieckiego dawała im ziemię na obozowisko, i wszystko co siedząc na niej podbić mogli...

Dwaj towarzyszący Biskupowi Iwonowi rycerze Konrad i Otto jechali właśnie opatrywać kraj w którym panować i wojować mieli.

Dano im orszak z osiemnastu olbrzymich pacholków zbrojnych, najroślejszych i najdzielniejszych jakich wyszukać w Niemczech można było; ciągnęli też za sobą czeladź liczną i wozów kilka...

Chociaż bracia zakonnicy na piersi noszący znak krzyża, dwaj Niemcy którzy wiedli Biskupa do namiotu swojego, ani obejściem się ni postawą niepodobni byli do pokornych mnichów, ani jak oni nie okazywali zbytniego poszanowania dla Biskupa; raczej go jako równego niemal sobie niż zwierzchnika zdając się uważać. Nawet wrażliwym wszystkim cześć twarz ks. Iwona i powaga jego na nich nie czyniła wrażenia.

W miarę jak się do namiotu zbliżał mógł się Biskup przekonać że te zakonu i zakonników suknie tylko i nazwisko ludzi ducha wcale nieklasztornego okrywały.

Knechty zebrane za namiotem patrzyły tak dziko na jadącego, jakby się nań rzucić były gotowe, a zamiast nabożeństwa za krzewy słychać było wesołą pieśń światową rozlegającą się ze śmiechami.

U wnijscia do namiotu samego, oprócz chłopiąt dwojga, którzy przy Konradzie i Ottonie służbę paziów sprawowali, postrzegł Biskup dwóch rycersko przyodzianych młodych chłopaków, swobodnie się rozglądających po okolicy, którzy ani płaszczów, ani żadnej oznaki zakonnej na sobie nie mieli.

Oba oni znać zamożnych rodzin dzieci, strojni byli wykwintnie, a twarze wesołe, uśmiechnięte, kipiące życiem, powiadały że się na tę wyprawę więcej dla zabawy niż z obowiązku wybrać musieli.

Tak było w istocie, bo gdy Biskup bliżej podjechał, dał znak brat Konrad aby przystąpili nieco, i rzekł wskazując na nich.

— A to są nowicjusze, którym się po dobrej woli zachciało nam towarzyszyć w tej wycieczce na północ, choć wątpię by z nich który myślał o ślubach zakonnych: mój synowiec Geron i Hans von Lambach...

Chłopcy którzy oczyma mierzyli przybywającego skłonili głowy i wnet poprawili trochę długich włosów które im na czoła i twarze opadły...

Pacholę wzięło konia z którego Biskup zsiadł powoli. Podniesiono wnijscie do namiotu i wprowadzono go by spoczął.

Na obozowisku w lesie, rycerskiem i zakonnem nie wiele się spodziewać było można, namiot zdumionemu nieco Biskupowi, nawykłemu do bardzo skromnego żywota wydał się do zbytku zaopatrzony we wszystko czego i po pałacach naówczas nie było znaleźć łatwo. Skóry i kobierce pokrywały naprędce urządzone siedzenia, stały przy nich dzbany i kubki srebrne, zbroi wykwintnej było do zbytku, i na lutni nawet nie zbywało. Wszakże sam Mistrz zakonu Herman von Salza słynął niegdy jako śpiewak i poeta, w pieśniach się kochano, więc i błędni rycerze lutnię z sobą wozili, aby po drodze nuceniem się rozrywać.

Za to księgi do modlitwy, ani żadnego znaku pobożności pod namiotem Biskup nie dostrzegł. Trochę smutku powiało po jego czole, lecz myśl je jakaś prędko wypogodziła.

Starszy z braci Konrad gospodarzyć począł pod namiotem i krzątać się aby przyjąć gościa. Lecz było dzień piątkowy, a Biskup Iwo surowym postem nawet w podróży go obchodził, podziękował więc za ofiarowany posiłek, prosząc o kubek wody i kawałek suchego chleba.

— Zgorszysz się z nas, miłość wasza, — rzekł słysząc to Konrad i uśmiechając się lekkomyślnie — my potrzebując sił do boju, a w drodze będąc dyspensujemy się od postów.

— Rzecz to waszego sumienia i reguły której ja tak dalece nie znam, — odparł Biskup — jak skoro nie grzeszna pożądlivość a potrzeba powołania zmusza do tego...

Uczynił znak ręką i nie mówił więcej. — Nieco opodal przysiadł na pieńku Konrad i ocierając czoło — ciągnął dalej:

— Ogromneż to pustynie! Wszakby one dziesięć kroć by więcej ludu wykarmić mogły niż go mają! Lasy i lasy którym nie ma końca. Ledwie jedne się skończyły, juści drugie poczynają. Dla wojujących to niedogodna rzecz te puszcze i bagna. — Nieprzyjacieli w nich jak w twierdzy się kryje... a rycerstwo łatwo przepada...

Lada zasię w lesie... Wojna ta ciężką być może, choćby i z dziczą, a pierwszą pono rzeczą by się tu utrzymać — trzebić i ciąć.

— Tak — rzekł powoli Biskup Iwo — trzebiemy my też i wycinamy powoli, aliści las ten nie darmo nam dała Opatrzność, to nasza spiżarnia i skarbiec. Tu niehodowanego mamy zwierza podostatkiem, tu nam niezliczone pszczoły miód na pokarm a wosk dla kościoła zbierają... z tego lasu chata i wóz i socha i wszystko...

— Dla dzikiego jak ten ludu pewnie — odezwał się Konrad, — las jest skarbnicą, ale nie wyjdzie ze swej dzikości dopóki te lasy nie padną...

Biskup westchnął i wskazując ręką w dal, dodał.

— Wieki temu nie podolają... Tymczasem na te ręce co mamy, pola dosyć!

I pobłogosławił jakby cały ten kraj pustynny przed sobą.

Wszyscy z natężoną uwagą słuchali mówiącego Biskupa, — towarzysz Konrada i dwaj młodzieńcy stojąc we drzwiach namiotu, kilku knechtów zbliżających się do nich ukrad-

kiem. — Iwo mówił powoli z tym spokojem jaki daje wiek, doświadczenie i wielka wiara w Bożą Opatrzność.

— Jeżeli się wam te kraje któreście jadąc tu przebywali, pustynnami wydały, nad którymi już od dwóch wieków krzyż Chrystusowy świeci, co dopiero te które zając macie?? Tamci jeszcze pogaństwo trwa, którego i pobożny Biskup Chrystjan wykorzenić nie mógł, ani mnodzy apostołowie przez niewiernych pomęczeni.

— Boć ich nie krzyżem ale mieczem chrzcić potrzeba i nawracać! — zawołał Konrad dumnie. — *Ego te baptiso in gladio!* powinno być hasłem naszym.

Iwo głową potrząsał.

— Nie kościelny to oręż ten wasz, — rzekł — lecz gdy inne się wyczerpały, a dzicz kościołom i naszym owieczkom zagraża...

— Owieczki te wasze, — rozśmiał się Konrad — któreśmy po drodze spotkali, do kozłów podobniejsze niż do trzodki spokojnej...

Towarzysze rycerza, żarcik ten jego powitali nietłumionym śmiechem wybuchem, a Biskup głową tylko potrząsał...

— Bez niemieckiego żelaza — mówił zachęcony powodzeniem Konrad, — bez niemieckich rąk, niemieckiego rozumu i zabiegliwości z tego kraju nic nigdy nie będzie. Dlatego wielce się pochwała książętom tutejszym iż niemieckich ludzi i obyczaj tu wprowadzają.

Biskup Iwo nie przeczył, lecz na twarzy jego znowu się obłoczek smutny pokazał i zniknął, a rycerz ośmielając się coraz bardziej, ciągnął dalej.

— Cesarze niemieccy nasi wiele kroć te kraje zając chcieli orężem, bo się one im należą, tak jak i cała ziemia...

— Nad pogańskie zawojowaniami więcej prawa ma nasz Ojciec św. Papież rzymski i ten rozporządza koronami a rozdaje one... — rzekł Biskup.

— Ale co Rzymowi podlega, to i Cesarzowi przez to poddanem być musi — dodał Konrad, — dwie to władze nierozdzielne... — odparł rycerz... i dodał prędko.

— Niepotrzebnie w te dzikie kraje iść było z wojskami aby je tu jak Cesarz Henryk potracić od głodu i zdrady; niepotrzebnie wojować było, kiedy my je kropli krwi nie dając zagarniemy... Nie obejdą się one bez naszych rzemieślników, osadników, duchowieństwa i pomocy żołnierskiej... Niechaj tylko ciągną chłopci nasi, niech miasta budują — a ziemię te zajmujemy i niemieckimi uczynimy...

Biskup milczał jeszcze, spuścił głowę na piersi.

— Com rzekł o kraju iż dziki jest i na pół pogański, — kończył Konrad, — prawdę mniemam, lecz jakom w Magdeburgu słyszał i na dworze Cesarskim, z książęcami dwory lepiej pono, bo tam nasze księżniczki zaprowadziły wszędzie obyczaj i język niemiecki... Ślącycy panowie nasi są, naszym się stanie i książę Konrad, a dalej i drudzy...

Po drodze mnogośmy spotykali Sasów, ba i dalszych z Frankonii i Turyngii ludzi, którzy tu gromadami ciągną, wiedząc że ziemię darmo dostaną...

— Nic w tem złego — odezwał się Biskup, — że ci do nas idą a przynoszą nam z sobą naukę rzemiosł, i czegobyśmy nauczyć się radzi — z pomocą Bożą, na tej ziemi i otoczeni ludem naszym, staną się później naszymi. Wszyscy też ludzie braćmi są, wedle prawa pana naszego Chrystusa...

Krzyżak głową potrząsał.

— Mnie się widzi, — rzekł, — iż jako inne kraje barbarzyńskie któreśmy pozajmowali — tak i te niemieckimi stać się muszą... Samo imię tych ludów stare na niewolników ich piętnuje...

Wśród tej rozmowy, do której Biskup pijąc z kubka wodę i chleb jedząc, który na drobne kruszył kawałki, — mięszal się mało, zaczynało ciemnieć, gdyż i blizki las rzucał mrok wczesny na obozowisko. Ks. Iwo oglądał się niespokojnie trochę, gdy Zbyszek szybkim krokiem ku namiotowi się przybliżył.

Biskup jak gdyby przybycie jego przeczuł podniósł się z siedzenia i ku wnijściu pochylił.

— Cóż ty mi Zbyszku przyniósł? — odezwał się łagodnie.

— Tak jakem przeczuwał, — odparł Zbyszek z twarzą rozweseloną — granica Białej góry nieopodal już, ale — co po niej? obcego nikogo na Mszczujową ziemię nie pusz-

czają, taki tu obyczaj, a co do grodu i do samego Mszczuja Waligóry, mówią że nikomu a nikomu, choćby najbliższym był i największym był — przystępu nie dają.

— Toć wiem że mój brat Waligóra zdziwał zupełnie — odrzekł Biskup łagodnie zawsze, — ale przecie mnie jako duchownego i brata swojego odepchnąć nie zechce i nie może.

Krzyżacy słuchający tej rozmowy zdziwieni szeptać zaczęli — a Konrad odezwał się ochoczo.

— Jeżeli W. Miłość potrzebować możesz posiłku naszego przeciw opornemu, rzecz tylko słowo... Miłoby nam było trochę z pochw zaspanych dobyć mieczów i pokazać co umieją niemieccy rycerze!

Biskup obie ręce podniósł do góry i prędko zawołał.

— Niechże mnie Bóg uchowa abym ja przeciw swoim aż przymusu używać miał!! Słowa mego dosyć spodziewam się, będzie, aby mi się bramy otworzyły...

Brat mój dziki jest, cudzych nie lubi, od wszystkich się jak murem opasał, żyje sam ludzi unikając — lecz na mój głos nie będzie głuchym.

— Dziwny to jakiś więc czy zły jest człowiek, — wyrwało się Konradowi, — jeżeli się tak zamyka...

— Złym nie jest — rzekł Biskup — lecz wiele ucierpiawszy że niemal pustelnicze życie prowadzi, tego mu za złe poczynać nie można. Abym mu pociechę przyniósł dążę do niego...

— Więc jeżeli do onego grodu niedaleka droga, toć byśmy się i my mogli do orszaku Miłości Waszej przyłączyć — odezwał się Konrad — a choć dziwowisko jakie tutejszych krajów zobaczyć.

— Chętniebym was pod dach mego brata zaprosił — odparł Iwo, — lecz gdybym z obcemi do niego przybył, zaprawdę mi to przystęp utrudniło... Zostańcie tu, a gdy ja zdobędę gród i uściskę brata, może go skłonię aby i wam dał gościnę.

Krzyżak schylił głowę i nic nie odpowiedział. Biskup pobłogosławił ich dokoła i wśród milczenia wyszedłszy z namiotu, dosiadł konia swojego.

Orszak jego, który był u kraju lasu trochę spoczął, wnet też do koni się wziął i za Biskupem podązał.

Wszyscy krzyżacy ludzie kupą zebrani zdala się jadącym przypatrywali. Konrad też, Otto, młodzi Gero i Hans z namiotu powychodzili i gwarzyli wesoło...

— Szkoda, — zawołał piękny Gero, po cichu, rękami poprawiając włosy, które mu na ramiona spadały i trochę niewieścią dawały fizjonomję tem bardziej że na twarzy ledwie się złocisty puszek wysypywać zaczął, — szkoda że ten smutny Biskup tak nas niegrzecznie się pozbył — bylibyśmy na grodku jego bratanka polskiego piwa się napili i może jaką niebrzydką zobaczyli niewiaścę!

— A tobie one tylko w głowie! — rozśmiał się Hans, który wsa już mógł pokręcić, i tem prawem, choć nie wiele starszy, Geron za wyrostka sobie poczytywał.

— Wyście nie lepsi — rozśmiał się Geron... — Pamiętacie zawczora jakeście to w polu za białą się uganiali podwiką...

— Tylko mi tego nie przypominaj zawodu — krzyknął Hans namiętnie — koniam zhasał, a baba która ze strachu na ziemię padła gdym ją dogonił, ostatni ząb jaki miała wybiła sobie...

Śmieli się wszyscy.

— Prawdę rzekłszy — mruknął cicho Konrad, który rozmowy słuchał — tu jeszcze kobiet nazwiska tego godnych nie ma, są stworzenia dwunożne, z których one może kiedy wyrozna!! Szczęściem że myśmy z Ottonem śluby czystości złożyli.

Otto się rozśmiał.

— Rozgrzeszą nas gdy je nadwerężymy, — rzekł, — ale w tym kraju nie ma pono niebezpieczeństwa, a miłośna pieśń, którą Gero tak nuci że za serca chwyta, tu mu nikogo w sieci nie wpędzi...

Wieczór był ciepły i piękny, a mimo postu piątkowego, który im Biskup przypomniał, na wieczerzę piekło się udziec sarny zabitej po drodze. Konrad kazał zastawić stół na dworze; we czterech zasiedli doń Krzyżacy i ochotnicy z wesołą myślą, którą ze dzbanka nalane w kubki wino, pomnożyło.

— O Biskupie Iwonie, któregośmy spotkali dużom slyszal — rzekł Konrad — i nie przeciwi się to com wiedzial temu co widzialem dzisiaj. — Mąż to ma być wielce świętobliwy i pobożny. Dobrze on stoi w Rzymie, a bratanków swych dwu dawszy na wychowanie O. Domingo, już z nich zrobił apostołów i zakon kaznodziejski do Krakowa wprowadził...

Prawą ręką ma być książęcia krakowskiego Leszka, który bez niego nie czyni nic...

— Ale nam po nim też nic — przerwał cicho zabierając się do przyniesionego mięsiva Otto — nam po nim nic, bo pono co miłe Leszkowi to naszemu Konradowi obmierzle...

Konrad się ku niemu zwrócił.

— Nie wojują przecie bracia z sobą — rzekł powolnie.

— Ale Konrad nienawidzi starszego, jak gloszą, — dodał Otto, — co nie nowina między braćmi. Młodszy jest, wyprawili go w puszcze i błota na splachęć ziemi, w której mu się utrzymać trudno, co za dziw że wolały w Krakowie siedzieć spokojnie?

— Z tego co się tu i ówdzie po drodze slychiwalo — odezwał się do tych milczących Hans — zdaje się że Leszek w księżowskich rękach, pobożny pan a miękki, choć mężny, wojny nie lubi. Konrad jeżeli go z siodła nie wysadzi, to byle spadł na nie skoczy, i wszystkim zawładnie. Tak ludzie prorokują.

— Źle wróżą — przerwał Konrad marszcząc się, — jakby to na granicy silniejszych a bliższych Ślązkich nie było... co już Niemcami są i siłę mają a rozum nasz...

— A cóż pomogło Władysławowi temu długonogiemu, o którym nam w Magdeburgu opowiadali — odezwał się Hans, — że Niemcem jest i obyczajem i mową?... Toć siedział na Krakowie, a jak się dał wziąć nań, tak się dał z niego dobrą wolą wyprosić.

— E! — krzyknął Konrad — bo ten Władysław, niemiecki ma język, prawda, ale serce miał polskie. Dobry człek, a z dobrocią do kądzieli nie na koń.

Rozśmieli się wszyscy potwierdzając.

— No to i Ślązcy nic nie wskórają — dodał Hans uparcie, — boć książę Henryk chodził już pono raz pod Kraków i skończyło się na tem że im księza kazali się uściskać i zgodę zapisać!!

— Książę Henryk Wrocławski pobożny pan — odezwał się drwiąco Konrad — Biskupowi nic nigdy nie odmówi... Temu tylko kaptura braknie by mnichem był — a żona mniszka prawdziwa...

— Więc bądź co bądź — rzekł Otto — naszemu księciu Konradowi najlepsza gwiazda świeci, bo ten slyszę, serce ma kamienne a ręce żelazne... Życie ludzkie mu za muchę nie stoi... Z duchownymi też jak go slychają dobry, jak się ostro stawia, — nie patrzy czy łysina na łbie — i...

— Daj pokój naszemu — odezwał się Konrad — przecieżeśmy to jego lennicy i bronici go powinniśmy.

— Jako, lennicy? — oparł się Otto, — nie lennem nam prawem ziemię dają ale dziedzicznem... Mistrz nasz Herman jest księżęciem Cesarstwa i my nikomu lenna ani pokłonu nie winniemy krom Cesarza!!

Konrad zamilkł chwilę, potrząsając głową...

Kubki nalane na nowo, wychylano...

II

Mrok już był dobry, gdy na jedynym gościńcu, który przez las prowadził, zdala się coś ukazało jakby ogrodzenie wyniosłe i brama.

— Otóż i granica Białej Góry! — zawołał Zbyszek...

W owych czasach gdy większej części posiadłości rubieże były wątpliwe, a miedz, kopców i granic nie pilnowano tak baczenie, bo pustej ziemi dosyć było — obwarowanie tak ściśle, musiało się czemś wydawać osobliwem. — Biskup stanął i patrzył długo milcząc, inni też spinali się na koniach szepcząc i uśmiechając się. Ruszano ramionami.

Orszak cały, który się był wstrzymał na krótko ciągnął ku zagrodzie, widoczniejszej już coraz...

Gościńiec przecinał głęboki parów, wał, a na nim stało ogrodzenie i widniała dosyć mocna dawniej, teraz trochę opuszczona brama zamknięta. Nie dochodząc do wału

przyparta do niego nędzna, rozkraczona szeroko siedziała buda której dach ladajako posuwaniem dranicami pobity, cały kurzył dymem od wewnątrz płonącego ogniska. Przez małe otwory w jej ścianach, o mroku wieczornym błyszcząco świeciło czerwone światło.

Ludzie tu więc byli.

Niedługo na ukazanie się ich czekać było potrzeba, gdyż jak tylko stąpanie zbliżających się koni posłyszano w chacie, naprzód jedno okno przyciemniało, bo je ktoś wyglądając niem głową zaparł, potem skrzyknęły drzwi i człek jakiś wyszedł naprzeciw jadącym. Stał jak wryty u progu, zdając się oczom nie wierzyć gdy zobaczył tyle ludzi i koni.

Zbyszek chciał ku niemu podjechać, gdy Biskup ręką nań skinąwszy aby pozostał, sam się do strażnika przybliżył i pozdrowił go obyczajem chrześcijańskim.

Stróż był człek stary, silny jeszcze, z brodą siwą postrzyżoną i głową odkrytą już wytysiałą. Na sobie miał kożuszek krótki włosom na wierzch, spodnie płócienne i chodaki.

W rękę czy dla oznaki swego urzędu czy dla obrony trzymał ogromny drąg, w którego końcu kawał żelaza był przytwierdzony.

Mruknął coś niewyraźnego za odpowiedź na pozdrowienie Biskupowi.

— Otwieraj mi wrota — odezwał się Iwo — wskazując ręką na nie. — Jestem bratem Mszczujowym i jadę go odwiedzić a pobłogosławić mu.

Stróż nie zdawał się rozumieć, podniósł głowę pilno się przysłuchując, oczy wytrzeszczył, usta mu się bezzębne otwarły szeroko, nie odpowiadał...

Cierpliwie Biskup powoli powtórzył rozkaz wskazując na bramę, ale człek się ani ruszył, ani odpowiadał. Zwrócił się ku Zbyszkowi Iwo, a ten już zsiadał i przyszedł do stróża...

Powtórzył mu nalegając wolę Biskupa i dodał że jadący był najwyższym Pasterzem..., a należał do rodziny pana z Białej Góry. Wszystko to jeszcze nie trafiło do przekonania milczącego strażnika.

Słowa z niego dobyć nie było można...

Już ludzie biskupi zabierali się ku wrotom iść i przebojem je otwierać, coby łatwo przyszło, gdy milczący stróż zaparł im drogę sobą i drągiem. Iwo dał znak by siły nie używać.

Złękły człek bełkotać poczynął. Mówił coś, lecz dla braku zębów i głosu, który przestrach stłumił, zrozumieć go było trudno. — Wywijaj tylko żwawo drągiem drogę usiłując konnym zapierać.

Ułaskczy się nacisku ludzi, którzy z koni posiadali i zbliżyć się do niego i wrot zaczęli, jakby z rozpacz, nagle począł pod kożuchem szukać czegoś rękami drżącymi, i dobywszy rogu rozpaczliwie tak zatrąbił, iż konie się zachnęły, a kilka z nich w bok rzuciło. Tylko biskupi rumak uszy nastawiwszy do góry, ani drgnął... za co go Iwo po szyi pogłaskał...

Wrzaskliwy głos rogu wśród ciszy, po nocnej rosie rozszedł się szeroko; jakby go fale niosły powietrzne.

Upłynęła chwila niepewności — patrzano na siebie i Biskupa, który dał znak, aby czekano...

Dosyć długo stali wszyscy w miejscu nieruchomi, aż Zbyszek pierwszy zdala przybywającego konia usłyszał. Pędził ktoś od wzgórza poza którym nic widać nie było. Tentent coraz się stawał wyraźniejszy i za wrotami mignął człowiek na koniu, który nie zsiadając z niego przez szpary począł zaglądać.

Zbyszek podszedł ku niemu. Nim się miał czas przybyły zapytać usłyszał kto czekał i rozkaz aby wrota otwierano.

— Nikomu się te wrota nie otwierają, choćby i sam pan a książę i król był, bo tu jedynym panem pan nasz... My do nikogo nie mamy nic i nie chcemy aby do nas miano...

— Ależ brat i Biskup... — zawołał gniewnie Zbyszek... — Słyszysz! my tu nie zcierpimy aby słudze Bożemu opór kto stawiał, wrota wywalimy!!

— To, co? — krzyknął człek z za wrót. — Wywalicie bramę, pojedziecie pod gród, a przecie go nie zdobędziecie, bo my w potrzebie bronić się umiemy, zamiast od tych wrót pójdziecie od tamtych...

Wtem Biskup sam głos podniósł.

— Słuchaj, dziecko moje — rzekł łagodnie — jedź na Białą Górę i powiedz Mszczujowi, że Iwo brat u wrót jego stoi. Iwo z Krakowa...

Siłę jakąś nakazującą miały te wyrazy, bo człek posłyszawszy je zamilkł, nie odpowiadając nic, konia zawrócił i popędził...

Stróż z drągiem trochę na bok się usunąwszy, lecz od bramy nie odchodząc, oburącz na broni swej sparty, pozostał nieruchomy.

Na dworze ciemniało powoli, a Biskup z głową spuszczoną cierpliwie, modląc się po cichu czekał odpowiedzi, której zwłoka Zbyszka widocznie niecierpliwiła. Lekki wiatr zerwał się od zachodu i choć niebo było miejscami wypogodzone, pędził porwane chmury, które zdały się posłańcami wyprawionemi na zwiady, zapowiadającymi zmianę pogody. Powietrze stawało się chłodniejszym, jak zwykle jesienią gdy słońce zajdzie...

Po dość przeciągniętem oczekiwaniu znowu tentent się dał słyszeć, stróż zwrócił oczy i głowę ku wrotom prostując się i gotując jakby na obronę stanowiska, bo był pewien że z grodka przyjdzie odpowiedź odmówna. Za bramą pokazał się jezdny a Zbyszek co prędzej dopadł do niego...

— Miłościwy pan nasz, — rzekł przybyły trochę zadyszany, — choć nikogo obcego u siebie nie chce, ale brata gotów ugościć. — Tylko nie z orszakiem i nie z dworem ale samego.

Wśród dworzan biskupich wybuchnął szmer dość głośny, tylko Zbyszek spojrzął na pana, czekając co ów powie...

— Rozbijciez tu sobie namioty i napalcie ognia — rzekł Pasterz — a ja pojedę na nocleg do Białej Góry, kiedy inaczej być nie może. Żal mi was, dzieci moje, ale inaczej chybiłbym celu podróży...

Wtem kanclerz biskupi, ksiądz Sylwan, nie mogąc wytrzymać zawołał głośno:

— Ale Miłości Waszej puszczać się tak samemu ani przystoi ani bezpieczna! Jak to może być żeby choć jednemu z nas towarzyszyć mu nie było wolno!

Od bramy, posłyszawszy to posłaniec powtarzać zaczął.

— Jednego tylko księdza brata puścić mi wolno, jednego!

Ks. Iwo uśmiechnął się i ręką począł żegnać swój dwór duchowny i orszak.

— Zbyszek, — rzekł do czekającego swojego ochmistrza, który stał z głową frasobliwie spuszczoną, — proszę ja cię, niech wszystkim będzie na obozowisku przymusowem dobrze... Uczynić co można...

Rękę podniósł i pobłogosławił...

Koniowi biskupiemu nie bardzo się od gromadki chciało odchodzić, lecz ks. Iwo przemówił doń łagodnie i koń ruszył się posłuszny ku wrotom, które stróż drąg postawiwszy przy tynie, z trudnością otwierać zaczął.

U wrót stojący pilnowali aby nikt więcej wcisnąć się nie mógł za nie...

Dopiero gdy Biskup oddalił się nieco a bramę na nowo drągiem założono, wśród dworu głośnieję się odezwali oburzeni księża i Zbyszek przeciw dziwactwu pana z Białej Góry, który ich niegodnemi osądził przestąpić próg swojego gródka. Stary tylko kapłan biskupi ks. Ambroży, nawykły do cichego poddawania się wypadkom, nienawidzący próżnych wyrzekań, po pierwszym wybuchu zaraz im usta zamknął tem że człowieka nie znając sądzić się nie godzi.

— A co my wiemy, — rzekł, — dlaczego ten człek dzikim się stał, i czemu z ludźmi nie obcuje! Cóż jeżeli to czyni z pobożności i potrzeby ducha... Nie sądzcie abyście nie byli sądzeni...

I tak zwolna szemranie ucichać zaczęło.

Biskup tymczasem jechał stępią o drogę nie pytając, koniowi dawszy wolę, zamyślony, a pewien będąc że trafi na gródek. Za nim w oddaleniu pewnem zamkowy sługa się włókł z głową odkrytą. Dostyc zarosła drożyna spinała się trochę pod górę, którą od zachodu resztką odbłasków wieczornych oświecała. Nie widać jednak było długo nic na wyniosłości tej krom wału ziemnego i tynu który przez długie lata przybrał barwę ziemną i pokrywał się zieleń, co go przysłaniało. Podjechawszy dopiero, nad wał się podnosić im w oczach zaczęła wieżycia zamkowa ale drewniana, z ogromnych starych balów zbudowana, podobna do wielkiego stosu bierwion daszkiem pokrytych. Nad nią więcej nic z za wałów nie wyjrzało, choć się ku nim zbliżyli... Przewodnik biskupi wyprzedził go, bokiem jadąc i huknął naprzód aby pierwsze wrota im otworzono... Te przebywszy, jechali jeszcze pod górę ku drugiemu wałowi i drugiej bramie, która nie naprzeciw pierwszej, ale w bok od niej wśród okopu czerniała...

Zbudowana była bardzo starym sposobem, z niezmiernie grubych pni pomazanych i pooblepianych gliną... Furtę tylko dla Biskupa otworzył jakiś człek, a tę przebywszy znalazł się most na rowie głębokim, za którym grodzisko jakby w kotlinie na wierzchu góry leżało.

Szary mrok nie dawał dobrze rozpoznawać zabudowań rozległych, różnych wysokości i kształtów, skupionych u podnóża drewnianej wieży, których barwa szara nie wiele się od ziemi na której siedziały różniła. Cicho tu było i zdawało się pusto, choć gdzieś tam w otworach ścian w wnętrzach ognie błyszcząły... Gdy Biskup most pominął ujrzał przed sobą stojącego mężczyznę nadzwyczajnego wzrostu, istnego olbrzyma, a choć twarzy jego nie mógł dojrzeć, z tej postaci dla której Mszczuja u pospolitego ludu przezwano Waligóra, poznawszy brata obie ręce wyciągnął ku niemu...

Koń stanął...

Olbrzym ów chwycił rękę Iwona, i nie mówiąc słowa, ale zanosząc się płaczem, całował ją pocałował...

Dopiero po chwili, gdy Iwo zsiadł a stanął opierając się o rękę brata, dało się słyszeć...

— Iwo mój... Iwo!

— Mszczuj! Bóg z tobą!

Oba byli wzruszeni tak że mówić nie mogli, w milczeniu przerywanem łkaniem i westchnieniami ciągnęli ku domostwu...

W szarym mroku widać było po pod ścianami cicho, trwożliwie przesuujące się postacie służby, niknące wprędce...

Szczekanie i warczenie psów słyszeć się dało i wnet umilkło...

Gospodarz wiódł prałata ku budynkowi obciążonemu podsieniami na słupach. Czeladź która tu stała rozstąpiła się na widok pana i uszła na stronę...

Drzwi wielkie a ciężkie otworem stojące prowadziły do sieni tak rozległej jakby sieni jaką ludzi mieścić potrzebowała. Z boku jej płonęło ognisko. Tu się nie zatrzymując, wprowadził Mszczuj ks. Iwona do izbicy na lewo... I w niej paliło się jasno ognisko oświetlające ściany drewniane poczerniałe.

Starodawnym obyczajem była izba ubrana w ciężkie ławy dokoła, w police nad niemi. Małe otwory okiennicami pozamykane w ścianie od podwórza we dnie mało światła wpuszczać musiały. Choć nad ogniskiem dymnik był zwieszony jak kaptur olbrzymi, sadzą smolnych łuczyw okopcony, nieco dymu siniego rozpościerało się po izbie i jakby pasy rąbku leżało pod pułapem...

Stół wbity nogami w ziemię zajmował jeden kąt izby, a na nim widać było dawnym obrzędem rozpostarty ręcznik, chleb, nóż, kubek i kubki drewniane. Wszystko to było do zbytku ubogie i proste...

Gdy Waligóra w świetle ognia palącego się pod dymnikiem pokazał się bratu, który go o mroku wprzód dobrze widzieć nie mógł, — oblicze ks. Iwona zadrżało jakby uczuciem radości. Spodziewał się go znaleźć złamanym i zestarzałym, a miał przed sobą jeszcze w pełni sił męża, jakby do boju gotowego.

Wprawdzie włos bujny i ciemny na głowie i na brodzie już się miejscami, pasami srebrzyć zaczynał, czoło było poorane w brózdy głębokie, ale oczy czarne ogniste patrzyły życiem, błyskały ogniem, ramiona i barki nie ugięły się pod lat brzemieniem, szeroka pierś sklepista oddychała swobodnie... Tylko w wyrazie tej twarzy i oczów było coś tęsknego i gniewnego razem, może wzruszeniem zapalony ogień jakiś niepowszednich dni — bo z nim żyćby długo nie można. Drżał ów olbrzym patrząc na Biskupa, który wpatrując się w niego nawzajem z łagodnością i spokojem nieopuszczającym go nigdy — zdawał się litować.

— Pokój tobie i domowi! Bóg z wami! — rzekł głosem słodkim, a kojącym...

Obejrzał się...

— Po staremu u ciebie, ubożuchno, a po prostu! — dodał.

— Bom ja stary człek, — odparł Mszczuj — stary człek i prosty... nowego ja nie chcę nic — i mądrego a sztucznego, a uchowaj Boże obcego...

Rzekł to gospodarz prawie namiętnie, i nie chcąc dłużej się rozgadywać, pospieszył dorzucić.

— Co wam dać na wieczerzę?

— Piątek, post — rzekł Biskup — a niedawno posiliłem się kromką chleba i wodą. Wodę świeżą rad zawsze piję, macieli też pierog lub chleb, nie odmówię, więcej mi nie wolno nic.

Waligóra włosy potarł... spojrzal na ławy nieokryte i zwróciwszy się ku kąтови, dobył sukna grubego kawał, którym zasłał siedzenie, wskazując je Biskupowi...

— Choć ja jeść nie chcę, to nie przeszkadza — rzekł Iwo, — abyście wy swej postnej wieczerzy podać sobie nie kazali — będę miał tem większą zasługę gdy mi uczyni pokusę, którą zwyciężę...

— Jam już jadł i syt jestem — rzekł Waligóra...

— Siadajże przy mnie, niech na ciebie patrzę, mów, niech cię słucham, tłumacz się, niech cię zrozumiem... Policznio lata, ile ich upłynęło od czasu gdy cię ten giez ukąsił, bo ja tego inaczej nazwać nie mogę — i tyś bez żadnego powodu ze światem zerwał i z rodziną...

Waligóra uśmiechnął się ale tak boleśnie, patrząc na brata i takie mu się wyrwało westchnienie ciężkie z piersi, iż Biskup rękę mu na ramieniu położył, widząc że cierpi...

— Dobrześ, rzekł — bracie, giez mnie ukąsił, giez a rana od tego gza do dziś boli. — Ino choć ty jesteś duchowny i brat nie pytaj mnie jak się on zwał i kędy mi ranę zadał — nie czas mówić... nie czas!

Zerwałem z światem i z rodziną... a! tak — bom tam ja nie miał co robić...

— Bracie! bracie — przerwał Biskup, — jam tu właśnie przybył cię nawracać. — Nie pytam co zabolalo choćbym może, za pomocą i łaską Bożą ranę zagoił, lub ból zmniejszył — gwałtu choremu zadawać taki lekarz jak ja nie może... chory doń sam przyjść musi, aby leki były skuteczne. — Tylko mi ciebie żal bracie mój, i tęskno mi po tobie, a ta rodzina którejs się ty wyrzekł, opuścił ją, potrzebuje ciebie...

Waligóra słysząc to wyprężył żylastą swą ogromną silną prawicę z pięścią ściśniętą i mruknął.

— Ręki wam trzeba... ha! już ona nie ta co dąbczaki z korzeniem rwała z ziemi — nie ta!

— I pięśćby się przydała może, — odparł Biskup, — więcej serce.

— A i ono zamarło i zamarzło! — westchnął Waligóra — co wam już po niem i po mnie.

— Słuchaj, miły mój! — odezwał się Biskup. — Chrystusowi słudzy, jakim ja jestem, gwałtu nikomu nie zadają; ich orężem słowo i miłość, innego nie mają. — Więc słuchaj ty słów moich, które czasem Duch święty i ubożuchnym natchnąć może... Dobrzeć jest w tej pustelni, spokojnie? nie widzisz złości ludzkich, nie potrzebujesz się borykać z niemi. Tobie błogo, ale rzecz mi z sumienia twego, czyś ty stworzony był na to, i ochrzczony dziecięciem społeczności Chrystusowej abyś sobie tylko służył, czy byś dzielił losy braci i ludu twójego?? Powiedz mi? Cóż to jest ten chrzest święty jeżeli nie zaciąg na wiekuiste żołnierstwo, które ucieczkę czyni sromotną?

Król nasz Bolesław tchórzom co mu zbiegali z wojny, słał kądziele i skórki zajęcze! cóż Chrystus posle wam którzyście z jego szeregów wystąpili?

— Przecież się ja Chrystusa Pana nie zaparłem! — odparł żywo Mszczuj, — przecież modłę się i księdza trzymam, spowiedź odprawiam, postów nie łamię...

— Albo myślisz że na tem dosyć! — rzekł Biskup łagodnie. Hetmana się nie zapierasz ani chorągwi, cóż gdy cię w boju niema, a poszedłś bezpieczny pod krzak i szukasz pod nim schronienia...

Waligóra się zżymnął...

— Ja z tobą na słowa walczyć nie potrafię, — odparł — pobijesz mnie niemi — lecz, bracie, posłuchaj i ty mnie! posłuchaj przez miłosierdzie — nie potępiaj!

— Siadź przy mnie — szepnął Biskup, — słuchać cię będę — owszem, bylebyś ty potem mnie dał ucho. Mów — siadaj.

— Nie każ mi siedzieć — odezwał się Waligóra — krew mi nie da na miejscu pozostać, ruszać się muszę...

Tchnął mocno i widząc że ogień na kominie przygasa, poszedł nań parę szczap przyrzucić. Biskup siedział milczący, on czoło tarł i włosy rozrzuczał, — oczy mu się paliły...

— Mówisz że ja zbieg wojenny, — rzekł — a! gdyby życie dając można zwycięstwo zdobyć — nie wahałbym się. Nie o życie mi idzie, ino bym się nie zbrukał i nie zabłócił

na duszy..., abym patrząc na to co się dzieje nie rzekł nareście obłąkany iż tak się dziać powinno...

— A cóż tak złego dzieje się lub stało? — przerwał Biskup składając ręce. — Bogu najwyższemu dzięki, błogosławieństwo nad krajem, wiara się mnoży, kościoły budują, lud z pogaństwa obmywa... światło przychodzi!

— Patrząc tylko w niebo — zawołał Mszczuj, — pewno więcej nie widać, a na ziemi? co?

Zamilkł chwilczkę...

— Nasza ziemia na kawałki się popadała, o kawałki biją się bracia, mało tego — kto nam panuje? Ty powiesz chrześcijańscy panowie — pewnie, tylko nie naszej już krwi, języka, obyczajów...

Biskup drgnął.

— Co mówisz? — zapytał.

— Wszakżem ci ja na dwór i na osobę Laskonogiego patrzył, na służkie księżęta, na innych, na ich dwory, na ich czeladź — na ich zabawy i rządy... Wszystko to Niemcy, a Niemców u nas liczba rośnie, rośnie i my w domu sługami ich... Wasze klasztory niemieckie, wasze kościoły co mają z Niemiec wzięły, zbroi niema lepszej jak z za granic, miecza dobrego tylko od nich... Sukno wam tkają Niemcy, klejnoty kują, dobrze że chleba nie pieką. Miałem się ja na to patrzeć z założonemi rękami a dziękować że mi serce wyjadali!

Biskup popatrzał nań łagodnie...

— To ci żółć zburzyło? — spytał, — więc pociesz się bracie — boś nie dobrze widział i zawczasu zropaczył. I ja na to patrzę ale okiem wesołem, nie lękając się... Cóż szkodzi że oni nam służą? Posiedziawszy z nami Niemiec się przerodzi... a co przyniósł z sobą, zostanie... Wiedzieć musisz co mi Bóg dał za świętych ludzi uczynić ze dwu naszych bratanków z Jacka i Cesława? Ci przecie w Rzymie Niemcami nie zostali — klasztory też nie wszystkie niemieckie... a i te co są aby żyć, muszą się stać naszymi...

— A księżęta? księżęta! — przerwał Mszczuj — alboż to nie wiesz co z ich dworu płynie jak ze źródła i że gdy oni czarni, wszyscy dla nich mazać się muszą? Pokażże ty mi dwór a pana coby do Niemców nie Ignął, coby się obchodził bez nich.

Ślązko sąsiednie zalali już niemiaszki, siedlą się w niem, miasta budują, prawo swoje przywożą aby naszego nie słuchali, krzyżem się zasłaniają aby się im nic nie stało...

— Bracie miły, — westchnął Biskup — rozżalon jesteś, a w Bożą opiekę nie wierysz... Bóg i takich narzędzi używa do nawracania.

Jam spokojny, nas tu więcej jest, co mi przybysze szkodzą, gdy je życie nasze obejmie i przerobić musi...?

— Niemca! Niemca aby nasze siły ze skóry jego wywlokły i nową mu dały? — zawołał Mszczuj. — Zaprawdę widziałem dużo naszych co się poniemczyli, ani jednego Niemca coby się znaszyl... Gdyby się i mowy nauczył i strój wdział, i przygłaskać dał, siedzi w nim zawsze coś co mi śmierdzi.

— A wszyscy chrześcijanie braćmi są — rzekł Biskup — o tem zapomniałeś.

— Nie, ino chcę aby brat każdy u siebie siedział a do zagrody mi się nie wpierał — rzekł Mszczuj. — Im się chce naszej ziemi! Nie mogli jej zawojować orężem, chcą ją posiąść bez krwi rozlewu... przebijając się za czeladź i służąc nam... Ano bieda temu żupanowi co na gród puszcza przekupniów nie znając ich... Nocą mu wrota nieprzyjacielowi otworzą... Ja ich ani panami, ani sługami nie chcę mieć, a braćmi za drzwiami...

Widząc że Biskup milczy głowę spuściwszy, ciągnął dalej.

— Nie mogli nas pożyć inaczej, mądry naród na sztukę się wziął.

Królom i księżetom poczęli żony stręczyć, bodaj z klasztorów.

Biskup syknął.

— Tak ci było — dodał Mszczuj — Bolesław mniszkę zaślubił, nie wyklęli go.

— Złem to było — rzekł Biskup.

— Nikt nie pisał — mówił Waligóra... — Za taką panią musiały służki iść i czeladź i kapelan i rzemieślnicy, i zbrojni... Na dworze wszyscy dla miłości jej poczęli bełkotać i szwargotać. Urodził się książę, pierwsze słowo co rzekł do matki a ona do niego, — nie

nasze było... Dla syna musiał uczyć się ojciec, a potem mu smakowało to jak co przedniego i ze swemi dworzany wołał paplać tą mową, którą szatan wymyślił.

— Bracie! — zawołał Biskup.

— Przebacz, a no żółć kipi we mnie już — dodał Mszczuj. — Tak było. Co nasze nie smakowało nam... nie starczyło, choć wiekiśmy tem żyli, od rzemyczka do sprzążki musiało wszystko iść z za gór, z za mórz, inaczej nie smakowało...

Tak nam się Piastuny nasze poprzemieniały na Laskonogich... co gdyby ich człek spotkał na gościńcu nie znając wziąłby za obcego.

— A święty, poczciwy i pokój miłujący człek — rzekł Biskup.

— Jabym wołał żeby wojnę miłował a Niemcem nie był — mruknął Mszczuj... — Laskonogiemu zarzucić nic nie można ino to że choć niby krwią nasz a duszę Niemcom sprzedał. Wszakże dobre panisko było, bo gdy go na Kraków powołali nie chciał Krakowa brać ażby mu Leszek pozwolił, potem gdy po Zawichoście Leszka sobie upodobali nasi krakowianie, którym zawsze nowego sitka na kółku potrzeba, Laskonogi się nie spierał i poszedł precz... Możeż być lepszy człek? a złe broił, bo przy nim wszystko niemczało...

— Cóż Niemcy zawinili? — spytał łagodnie Biskup, — powiedz?

Mszczuj się zaczerwienił.

— Mnie nie uczynili nic — zawołał, — jam człek mały i przezemnie choćbym zginął, nie wieleby ziemia nasza straciła — ale państwo nasze przepada przez tę niemczyznę. Patrzcie na sąsiedni Szlązk, jak go zalewają... Jeszcze trochę a nie rozmówisz się swym językiem na swojej ziemi...

I przerwawszy krótko, Mszczuj dodał...

— Żle z nami! źle! Za Mieszka i za syna i za Krzywoustego jeszcze do kupy się łączyły ziemie i powiaty, panowanie rozlegało szeroko, potęga rosła... a dziś co? Co mi z tego że dąb poszczepany na klepki gładko wygląda, mocy już tej nie ma jak gdy grubym był i w sobie jednym. Tak i owo państwo Bolków naszych dziś na klepki i tarciczki rozpiłowało potomstwo... Niemcom w to graj, bo pokrajane kawałki lykać łatwiej.

Zasepił się Biskup i milczał patrząc w ziemię.

— Słuchaj Mszczuj, — rzekł — tobie się potęgi chce, a nie wiesz czyby ona rosnąc i po twoją głowę nie sięgnęła. Wielcy panowie i Cesarze gdy w siłę urosną, nie szanują nic, ani praw Kościoła ani praw człowieka... Musiało się rozpaść po Krzywoustym królestwo, aby religii, duchownym i wam ludziom swobodnym na karkach nie ciążyła tyrania! Przecie te wszystkie kawałki mają jedną głowę w naszym Arcybiskupie gnieźnieńskim i duchowieństwie — wszystkie Rzymowi podlegają i metropolii stolicy swej. Duchowieństwo was broni od samowoli i tyranii! Ono czuwa, królem waszym pan nasz Jezus Chrystus... Mamy jako oręż nieskruszony klątwę która ze społeczeństwa wyłącza i pokazaliśmy że się jej i na stojących najwyżej użyć nie zawahamy...

— Tak, ale popróbujcie anathema wasze rzucić na Połowców i Rusinów — co ona pomoże? — zapytał Mszczuj...

— Na nasze zawołanie wszyscy książęta się zjednoczą, pójdą na pogan — rzekł Biskup — i zwyciężą...

— Pójdą, tak — mruknął uparty olbrzym, — ale zamiast z pogany z sobą się zwaśnią aby jeden drugiemu kawał ziemi opanował i wyrwał!! Dla was duchownych pewno lepiej z wielą małemi pankami niż z jednym silnym — ale ziemi tej! ziemi tej, którą oni z sobą się drąc i jedząc krwawią — popytajcie?? Ziemia ta wam odpowie jakom ja niegdyś słyszał że czytano z pisma — biada królestwu w sobie rozdzielonemu! biada!

— Po ziemsku patrzysz na te sprawy — odezwał się Biskup nieco pomilczawszy. — Naszej ziemi naprzód było potrzeba wiary świętej i światła, nie pytaliśmy i nie pytamy kto je nam przynosił, bo bez nich życia nie było. Krzyż nas wyzwolił od zagłady, od zawojowania przez Cesarstwo... Pierwsi Benedyktyni, pierwsi mnisi i kapłani niemieccy, czescy, francuzcy, włoscy przecież nas nie porobili niczem innem tylko chrześciany...

— Zaczekajcie ino — zawołał Mszczuj — Niemcy gdy napłyną — zobaczycie dopiero czem będziemy...

— A gdyby i tak było jak mówicie — przerwał Biskup — cóż za powód uciekać i kryć się, kiedy właśnie, jak sam powiadasz, Niemców odpierać trzeba?

— Nie czas już! zapóźno! — krzyknął Mszczuj. — Ślązko przepadło!!

Nie wiem co się dzieje w świecie, lecz nie daj Boże by i Mazury i inne ziemie nie zostały oderwane... Książęcia coby Niemcem nie cuchnął nie ma... wszyscy...

— Nie mów mi nic na pana mojego Leszka, bo dobry i najlepszy jest, najszlachetniejszego serca, jako ojciec był, pobożny, świątobliwy, sprawiedliwy... — żywo odezwał się Biskup. — Daj nam Boże takich więcej...

Mszczujowi oko błysło a usta się ścięły — zamilkł nagle. — Biskup na ogień patrząc dumiał jakoś niby po cichu się modląc...

— Nie darmom ja tu do ciebie sam przybył aby cię z tej jamy, w której jak niedźwiedź łapę liżesz, wyciągnąć — rzekł powstając... — Pana mamy dobrego, miłościwego — szlachetnego... — lecz — ... lecz zagrażają mu nieprzyjaciele, siły wszelkie jakie są koło niego się skupić powinny; przedewszystkiem my Odrowążowie całą gromadą od której ty się oddzielać nie możesz. Ród cię woła. Kto nie ma już ojca jak my, temu ród ojcem i matką, — na jego głos kto nie odpowie, ten się swoich zapiera, i zostaje sam...

Mszczuj — jam po ciebie tu przybył...

Waligóra stał niemy, zdziwiony, ale milczenie jego nie zdawało się posłuszeństwa zwiastować. Czuł to Biskup i począł coraz żywiej.

— Tak jest, bracie, panu naszemu zagrażają skryci i jawni nieprzyjaciele... Wy.

— Ja o niczem nie wiem, bo od Laskonogiego na świat nie wyjrzałem — dodał Waligóra...

— Wy musicie i powinniście iść z nami — mówił Biskup. — Na pozór ulega wszystko naszemu panu, ale w rzeczy zazdrozczą mu Krakowa, zazdrozczą siły i cnoty i miłości jaką ma, a mniemają go słabym... Rodzony brat Konrad, choć jawnie mu posłuszny, patrzy tylko czy się sposobność nie nadarzy opanować i tę dzielnicę, a jest gwałtowny, krnąbrny, chciwy i srogi... Książętom śląskim nie odeśniło się jeszcze że do Krakowa prawa mają większe niż Leszek, ma przyjaciół Laskonogi, ma Plwacz, a najgorsza ze wszystkiego że Jaksowie po staremu nienawidzą nas, knują przeciwko temu przy którym my stojemy.

— Więc zgody niema z nimi! — spytał Mszczuj.

Westchnął Biskup.

— Bóg widzi że nie my Odrowążowie temu przyczyną jesteśmy, — rzekł, — ja jako sługa Chrystusów ze wszystkimi zgody pragnę. Wszakżeśmy próbowali z Jaksami zawrzeć pokój nieraz i daliśmy im dziecko z naszego domu do ich łoża, a wzięli córkę od nich dla naszego dziecięcia — nic to nie pomogło. Zawzięci na nas jako byli.

Zazdrozczą nam łaski pańskiej, mnie stolicy biskupiej, opieki jaką mam w Rzymie, zazdrozczą mi dwóch świątobliwych bratanków, Jacka i Cesława, złem okiem patrzą na klasztory które budują i kościoły które wznoszą. — Spiskują z Konradem potajemnie, z Plwaczem, a głową ich Światopełk którego osadzono w Pomorzu, naprzód ojca wielkorządcą, potem syna kneziem, — ten już pana co mu dał tę ziemię znać nie chce i myśli się oderwać... Jaksowie przez niego silni są...

— Aleć wy, bracie macie Leszka! — rzekł Mszczuj, — a ten silniejszy jest od Światopełka Pomorskiego?

— Dopóki do jednego zdrajcy, nie przyłączą się inni — odparł Biskup. — Uchowaj Boże upadku pana naszego, runiemy i my rodem całym, i pójdzie ta ziemia znowu na łup ziemczałym Ślązakom, albo Plwaczowi nielepszemu, lub okrutnemu Konradowi Mazowieckiemu, który zakon braci szpitalnej niemieckiego domu co się narodził w Jeruzolimie, już ściąga w pomoc i Chełmno im już dał...

Mszczuj słuchając za głowę się pochwycił.

— Jako! — krzyknął z gwałtownością wielką, — jeszcze jeden zakon niemiecki u nas? I już mu ziemię wydzielają!

— Zaprawdę tak jest — odparł Biskup, — a nie jedno to niebezpieczeństwo zagraża! Myśl więc Mszczuj że i tyś mi potrzebny, że ja się bez twojej dłoni, serca i głowy a sumienia obejść nie mogę... że czas jest abyś wylazł ze swej skorupy...

Gdy to mówił Biskup pierwsze koguty zapiały.

— Czas do spoczynku — rzekł, — jutro po mszy świętej, więcej i szerzej pomówimy...

III

Zaprowadziwszy Biskupa do izby gościnnej, w której pacholę czekało dla usługi, widząc że Iwo zaledwie tu wszedłszy na kolana się rzucił i z wielką rzewnością i przejęciem na głos modlić się począł, wyszedł stary Mszczuj samym go zostawując.

O te czasy zwykle na Białej Górze u niego spało wszystko i on sam już odpoczywał, teraz gość którego tu od lat wielu nie widziano trzymał dwór cały na nogach i w niepokoju jakimś.

Na wracającego od izby gościnnej Waligórę czekali domownicy wszyscy, by na zawołanie ich miał. Lecz stary szedł tak jak upojony tem co słyszał, co mówił sam. Szumiało mu w głowie, dzwoniło w uszach, odurzony, oślepy włókł się nie wiedząc dobrze dokąd idzie...

Światło które z jego komory sypialnej otwartych drzwi od ogniska pobłyskiwało, dopiero go rozbudziło.

Podniósł głowę i postrzegł za progiem stojące córki swe, które się jeszcze nie były pokładły, może dla wielkiej ciekawości tego przybysza w którym się powinowatego domyślały, dobrze nie wiedząc kto był. To samo że ojciec, który nigdy nie przyjmował nikogo, wpuścić go dozwolił i tak długo z nim trwał na rozmowie, świadczyło że mąż był w rodzie swym mocen i wielki.

Słyszały o świątobliwym Biskupie Iwone dziewczęta, a choć że świata mało tu dochodziło, tem go były ciekawsze. — Jak sam Mszczuj poza granice ziemi swej nie występował od lat wielu, tak i córki trzymał przy sobie zamknięte. Syna nie miał, owdowiał dawno, były one jedną jego pociechą, ale i troską największą...

Spojrząwszy w izbę swą, zobaczył je obie na progu stojące, w bieli, z wianuszkami na głowach, pół uśmiechnięte, pół nastraszone, a że od ogniska światło padało na nie silne, jakoś mu w niem te dwie promienne dziewicze postacie, jak dwa widma wydały się straszne i drgnął.

Dwie córki Mszczujowe bliźniaczkami były, tak do siebie podobnymi że je nawet we dnie, ojciec własny z trudnością mógł odróżnić. To bliźnięce-podobieństwo nietylko twarze białe, oczy niebieskie, kosy złote, wzrost, ruchy, głosy jednemi czyniło, ale dawało im niby jedną rozpołowioną duszę...

Choćby były zdala od siebie, i nie wiedząc o sobie, dziewczęta myślały jedno, robiły jedno, pragnęły tego samego, smuciły się i śmiały razem... Obejść się też bez siebie nie mogły i nie umiały, a gdy przypadkiem na dłużej rozdzielić się musiały, tęskniły do szaleństwa za sobą. — Zachorowała jedna z nich, musiała słabować druga. — Nie potrzebowały mówić aby się zrozumieć, myślały toż samo. Razem się budziły ze snu, usypiały w jednej chwili... Nie sprzeciwiała się nigdy jedna drugiej.

Mszczuj kochał je równo, a naprawdę miłość dla nich była jakby miłością istoty jednej, podwojonej...

Obie miały lat osiemnaście i zwały się imieniem jednym Halki, z tem tylko że ta co niby starszą była Halki imię nosiła, a druga Hali.

Mszczuj wołał na nie jakby na jedną... szły razem na jego wołanie... Odziewały się też tak, że ich odróżnić było niepodobna, a suknie tylko cieńszą tkaniną różniły się od tych jakie nosiły wiejskie dziewczęta, bo Mszczuj z nienawiści ku Niemcom, nic nie dopuszczał do domu coby obcym było wyrobem. Najprzedniejsza rzecz gdy nie swoja była, gdy się nie zrodziła na swej ziemi, w swoim domu, nie miała u niego łaski. Orężem nawet starym musieli się posługiwać jego ludzie, bo z Niemiec i z za granic przywożonego nie cierpiał, łamać kazał i wyrzucał... Wszelakiego też rzemieślnika miał w swoich osadach około Białej Góry i nosiły one nazwiska od rzemiosł, któremi się ludzie w nich zajmowali.

Żaden przekupień, których naówczas już i z Niemiec i ze Włoch włościło się mnóstwo po kraju, na ziemię jego stąpić się nie ważył. Wprawdzie wymykali się ludziska na sąsiednie targi pokryjomu czasem, aby sobie coś zagranicznego kupić, lecz musieli się z tem kryć, gdyż Mszczuj surowo za to karał...

Jednemu księdzu do mszy świętej wolno było kazać wina przywieść z Krakowa, ale uparty Mszczuj zasłyszawszy że w Czechach dla wina do świętej ofiary, Kneziowie winnice zaprowadzili, u siebie też od Benedyktynów z Tyńca latorośle przywiózłszy, kazał sadzić wino, które, choć marzło i nie dojrzewało, wyrzec się go nie chciał.

Tak było ze wszystkim u niego...

Zobaczywszy dwie swe Halki na progu, Mszczuj stanął i długo patrzył na nie.

— Czegóż wy tu stoicie jeszcze! — zapytał głos swój łagodząc dla dzieci — wszak to pierwsze kury piałe?

Halki spojrzwały na się, oczyma się porozumiewając i — nie dały odpowiedzi.

— Spać idźcie — dodał Waligóra — a wstawajcie mi do dnia, aby goście, bratu memu, Biskupowi Iwonowi dopilnować polewki. Pobłogosławi was mąż święty, gdy mu się pokłonicie. Chcę byście i na mszy jego były, o czym księdzu Żegocie dać znać...

To mówiąc zamyślił się Mszczuj i poprawił.

— Niechno Żegota, jeżeli nie śpi przyjdzie do mnie...

Na pożegnanie obie Halki pocałował w główki, i znikły mu biegnąc jak spłoszone ptaszki. Choć późna była godzina księdza Żegoty niedaleko pono szukać musiało być potrzeba, bo ledwie dziewczęta odeszły, mały człeczek, chuderlawy z krótko na głowie postrzyżonym włosom, w ciemnej nie zbyt długiej sukni, szerokim pasem podpasanej w progu się pokazał.

Blady był, przestraszony widocznie, a ręce miał rozpaczliwie załamane gdy wchodził.

Spojrzawszy nań Mszczuj, nie zrozumiał co mu było.

— A co, ojciec Żegota — rzekł, — doczekaliśmy się Biskupa na Białej Górze...

— A! miłościwy panie! — odparł ksiądz, — czegom się bał tegom się nie ubał... Słyszałem o ks. Iwonie! wiem! srogi jest! Wszyscy teraz Biskupi wzięli na się aby z nas mnichów porobić! Zabraniają żon... nie godzi się nam już rodziny mieć. Wiem, wiem — mówił prędko i niespokojnie, — powiadają że to rozkaz z Rzymu, że pod klątwą żony wypędzać kazano... Gdzie to kto słyszał? U nas tego nie było nigdy!

Przysłał, słyszę, Papię rzymskich Legatów i przeprowadzili wszędzie co kazał. — W Pradze tylko w Czechach księża się oparli że mało w kościele do krwi rozlewmu nie przyszło, a u nas, o u nas już...

Spuścił głowę...

— No, widzisz — odparł łagodnie Mszczuj — jam ci to dawno prorokował że ci się z twoją rozdzielić trzeba... Co teraz poczniesz...

Ksiądz Żegota rękami począł trzeć czoło...

— A długo on tu zabawi? — szepnął cicho...

— Nie wiem — rzekł Waligóra — ale czy, dłużej czy krócej przecież mu się stawić musisz, a spyta cię, kłamać nie możesz, a nakaże ci, nieposłuszeństwa nie ścierpi.

Ksiądz jęknął.

— Wasza Miłość wyrzucicie mnie — westchnął — co robić! Żonki, co mi zawierzyła ja nie porzucę, kawałek ziemi wezmę od Miłości Waszej i kmieciem będę, gdy mnie od ołtarza odpędzą...

Zapłakał ksiądz Żegota i ręce podniósł ku niebu.

— Nigdy u nas to jeszcze nie było, aby księżom się żenić zakazywano... Cóżemyż winni my cośmy dawniej żony pobrali?

Wszystko to poszło z mnichów, co swoich żon nie mając, wszeteczni są, a na ich wzór i nam teraz już zabroniono.

Łkał i popłakiwał księżyna...

— Chyba mi się nie pokazywać Biskupowi — dodał, — bo pierwsze pytanie będzie — masz żonę? powiem — mam. Każe iść precz...

Oczy zwrócił na Waligórę, który w ogień patrzył.

— Miłościwy panie mój — jęknął — a wyż mnie ubożuchnego sługi swego nie zechcecie bronić?

— Cóżby wam pomogła obrona moja? — spytał Waligóra. — Nie moja rzecz kościelne sprawy wasze... Hetmanowi nic do kleryka, a Biskupowi do żołnierzy... Tyle wiem, mój ojciec, że was nie opuszczę i głodem mrzeć wam nie dam, o reszcie musicie myśleć sami, bo ja się na tem nie znam.

Thnął i sapnął biorąc się za głowę Waligóra... — Hm — dodał, — za młodu bywałem to ja w Rzymie, księżych żon tam nie widziałem nigdzie, ale... różnie bywało!! gadano wszelako! Musicie słuchać rozkazania, ojciec, czasy się zmieniają...

Ks. Żegota westchnął znowu ciężko, łzy mu płynęły tak obfite że ich nie nastarczył ocierać rękami obiema. Niepewien był czy ma uciekać od Biskupa, stawić mu się i do

nóg paść, prosić o miłosierdzie, czy też — co mu się zdało najbezpieczniej — uciekać — i skryć się.

Schwycił za rękę Waligórę księżyna biedny i stękając ciągle całował ją długo, prosząc o miłosierdzie, choć słowa nie mówił, zakręcił się potem po izbie, jakby chciał coś rzec, ale spojrzawszy na chmurnego gospodarza, odpadła ochota i odwaga, — wyszedł mrucząc i znikł w ciemnościach.

Mszczuj co miał zaraz ledz na posłanie, u ognia stanąwszy jak wmurowany, nie widząc chłopaka który czekał — pozostał długo w zadumie głębokiej...

Wstrząsnęło nim całym to przybycie brata Biskupa od lat tylu niewidzianego i zbliżenie się choć słowy do tego świata, od którego przez lat tyle głos żaden doń nie dochodził.

Nazajutrz do dnia zamkowa kaplica, która za kościół parafialny okolicy Białej Góry służyła, przygotowaną była na przyjęcie Pasterza. Był to budynek nieopodal od mieszkalnego dworu, nie zbyt obszerny, bo wszystkie dawne kościoły u nas w początku niewielkie były. W przybytku mieścili się zwykle duchowni i dostojni, a lud stał u kruchty i przede drzwiami. Z drzewa pobudowany, nie odznaczał się niczem prawie oprócz tego że nad czołem miał rodzaj wieżyczki niskiej z krzyżem, w której wisiał dzwonek wołający na modlitwę... Zakrystya była do boku przypartą osobną izbą, sam zaś przybytek, drewnianą galeryjką niską przepołowiony, zawierał jeden ołtarz od ściany odstawiony, okryty obrusami białymi szytymi wzorzysto, a na nim krzyż czarny i świeczniki.

Dwie chorągwie, kształtu Radwanowego przytwierdzone z obu stron do galeryi, świeczniki z rogów jelenich przy ścianach, stanowiły całą ozdobę wiejskiego kościołka. Przez parę okien zamykanych okienniczkami, wlatywały i wylatywały szczebiocząc wróble, które zdawały się tu jak w domu. Dwie Halki, które się bardzo cieszyły z przybycia Biskupa i z nabożeństwa któremu przytomne być miały, od świtu już biegały około tego domku Bożego, do którego drogę wysypać kazały zielonym kosaćcem, a u drzwi zawiesić zielone gałęzie...

Staruszek w długiej sukni czarnej, daleki jakiś powinowaty księdza Żegoty, człek pobożny, któremu nauki zabrakło tylko, aby mógł księdzem zostać jak sobie dusznie życzył, miał w opiece zakrystyę zdawna i pomagał proboszczowi przy kościele. Nosił on opończę kleszą i miał się niemal za duchownego.

On tu z dziewczętami wszystko zawczasu przysposobił, aby gdy Biskup wstanie znalazł do mszy świętej pogotowiu co potrzeba... Księdza Żegoty całe widać nie było. Z narady z Dobruchem, bo tak starego klechę zwano — wypadło ażeby proboszcz chorym był i nie pokazywał się, unikając zapytań na któreby odpowiedzieć nie mógł nie potępiając się.

Wcześniej niżeli się go spodziewano, ks. Iwo wyszedł z książką w ręku, na której modląc się i nie patrząc co się w koło niego działo, poprzedzany przez pacholę dane mu do usługi, wprost udał się do kościoła. U drzwi czekały nań w bieli poubierane dziewczątka, które z bijącym sercem patrzyły na zbliżającego się i gdy już podchodził ku nim, z pochylonemi główkami przyklęły, prawie mu zatamowały drogę.

Biskup zobaczył je dopiero, gdy już był u drzwi samych, podniósł oczy i z uśmiechem dobrotliwym, począł się im przypatrywać ciekawie... Dwie te postacie tak bardzo do siebie podobne, taką młodością i niewinnością a prostotą jakąś wiejską nacechowane — wzbudziły w nim uczucie dziwne... Podniósł rękę złożoną do błogosławieństwa, lecz spytał wprzód.

— Dzieci moje... wszakci Mszczujowe jesteście?? Tak?

Dziewczeta nie śmiejąc odpowiedzieć uśmiechnęły mu się wdzięcznie, obie jednym oblewając rumieńcem.

— Niech was Bóg błogosławi! Niech błogosławi! aniołki moje, a zachowa tak czystymi jak jesteście!!

I począł żegnać je krzyżem świętym, gdy one poję jego ręki ujawszy całowały ją.

Waligóra postrzegłszy że ks. Iwo poszedł do kaplicy już za nim podążał... Z innych budynków co było wiernego ludu, sunęło się co prędzej, bo w tejsze chwili Dobruch posłał chłopię do dzwonka, i głos słaby kowanej kampany, brzmiał już po grodzie jakby w święty dzień niedzielny.

Biskup w progu znowu zacząwszy się modlić, wprost szedł do ołtarza. Zdziwiło go to może iż księdza u drzwi nie znalazł, jak być było powinno. Poszedł się pomodlić chwilę

u ołtarza, na którym świece żółte woskowe już były zapalone, a zobaczywszy Dobrucha w sukni kleszej u zakrysty klęczącego — wnet i sam wstawszy skierował się do niego.

Po ucałowaniu ręki Biskup zapytał.

— Coś ty za jeden, bracie mój? Gdzie proboszcz...?

— Chory — wybąknął Dobruch; a jam sługa kościelny...

— Chory? — powtórzył Biskup, niby sobie coś przypominając. — Chory?

Dobruch zaledwie dosłyszonym głosem potwierdził to spuszczać głowę...

Ks. Iwo zadumał się, stał trochę w niepewności jakiejś i głośno się zacząwszy modlić, począł ubierać do mszy świętej. Uboga zakrysta nie mogła mu dostarczyć takich szat w jakich zwykł był zbliżać się do ołtarza. U Mszczuja i kościół nawet musiał obchodzić się domowymi wyrobami. — Kielich był srebrny ale z prosta ukuty, patena także, ornat szyty przez dzieci w jaskrawe kwiaty na wełnianej tkaninie...

Dobruch sam szedł służyć Biskupowi... Nie zdawała się ta prostota i pozorne ubóstwo czynić wrażenia na pobożnym panu, który wszystko co miał na chwałę Bożą obracał. Mszę świętą odprawił tak zatopiony w Bogu, w takim jakimś uniesieniu iż nie widział nic co się działo na ziemi; pobożność zaś ta tak była przejmującą wszystkich, tak przenikającą serca iż Dobruch się splotał przy mszy, dziewczęta wyszły z niej jakby powróciły z innego świata. Sam Mszczuj poczuł się zmienionym i zmiękkłym...

Co mogło tak podzielać na przytomnych, niktby powiedzieć nie umiał. Biskup czytał mszę świętą głosem cichym, nie śpiewał pieśni, nie kazał językiem zrozumiałym, — szepcząc odmówił modlitwy — coś przecie w jego postawie, ruchach, wejrzeniu było takiego, że ilekroć się zwrócił do ludu, ugiwały się głowy trwożliwie, padali wszyscy na twarze i uczucie jakiego straszne a błogie przejmowało ich dreszczem...

A gdy w końcu mszy podniósł rękę do błogosławieństwa, Mszczuj stary miał łzy na powiekach...

Milczenie uroczyste w czasie nabożeństwa, ledwie świergot wróbli przerywał.

Jesienny poranek mglisty i pochmurny dotąd, nagle w końcu mszy się wypogodził, obłoki białe rozwarły i jasne zaświeciło słońce. U drzwi kościelnych na modlącego się Biskupa czekał Mszczuj z córkami swemi, które popłakawszy się przy mszy, teraz jak patzyny już wesole były i rozpowiadały ojcu jak ich ks. Iwo błogosławił...

Wkrótce wyszedł i on rozweselony też na duchu, z czołem pogodnym, witając brata...

— Ubogo u was w Bożym domu, — odezwał się, — lecz Bóg nie potrzebuje srebra ni złota tylko serc... Gorzej bracie że wam proboszcz chorzeje i do służby nie ma nikogo? Cóż? pewnie stary jest? Trzebaby mu pomocnika młodszego?

Mszczuj zamilkł nie chcąc odpowiadać. — Biskup zwrócił się do dziewcząt, które szły za nimi i pochwalił je iż modliły się pięknie, a dziwić począł iż tak były podobne do siebie. To je rozradowało, bo dumne były i szczęśliwe z tego cudu co je przybrał w jedno ciało... a dał im serce jedno.

Znowu weszli oba do tej izby w której Waligóra przyjmował brata wczoraj — a tu już zastawiony był ranny posiłek na stole i polewka gorąca w misach czekała.

Dziewczęta doprowadziwszy gościa do progu, cofnęły się. Zostali sami. Mszczuj posługiwał Biskupowi, który po wczorajszym poście wcale się nie czuł ani osłabionym ni głodnym.

Inna troska go zajmowała.

— Myślałeś com ci mówił wczoraj? — zapytał ks. Iwo. — Ja, nie mogąc więcej, modliłem się aby cię Duch święty natchnął...

Spojrzał nań, na twarzy Waligóry, wczoraj jeszcze jakby burzą wewnętrzną miotanej i niespokojnej, dziś widać było niepewność, zwątpienie, słowem jednym, wanie się, które wróżyło że się opierać nie powinien.

Poznał to Biskup łączno...

— Otwartym bądź ze mną, — rzekł, — choćbym cię siłą i powagą mojego starszeństwa pociągnął mógł za sobą i skłonił do posłuszeństwa, nie chcę cię mieć nieprzekonanego idącego mimo swej woli, — chcę abyś i ty pragnął tego co ja...

— Jedno powiem ci — odezwał się Mszczuj, — co wam po mnie!! Znaliście mnie niegdyś silnym onym Waligóra, który i na ludzi i na góry porwać się był gotów — dziś ja jestem inny. Długi ten spoczynek mnie złamał i osłabił, we własną siłę wiary nie mam, aniby się jeden człowiek oprzeć potrafił temu co może napisano w niebiesiach...

Tak jak to nasze królestwo niegdyś wielkie rozleciało się na kawały i ginąć może, tak może i Odrowążom przeznaczono paść, a Jaksom się ich łupem żywić.

I na to patrz, że jam dziś ślepy, ludzi waszych nie znam, nawet tych którym blizkim byłem... Nie wiem co się stało z Leszkiem który rycerzem był dzielnym pod Zawichostem, a księżciem być nie umiał... Mógłbym ja to przewidzieć i odgadnąć Iwonie mój, że urośniesz na tego wielkiego Pasterza, który stać będzie na świeczniku?? Tak samo dziś nie wiem co się stało z temi których małemi znałem, czy wyrosli czy skarleli??

Na cóż się wam zdam taki ślepy i tak słaby??

— O bracie mój — ozwał się Biskup — niedługo ci uczyć się będzie potrzeba! Oczy masz wypoczęte, zobaczysz łatwiej to na co my patrząc ciągle, obywszy się, już nie wiele postrzegamy...

Odrowążom wodza potrzeba świeckiego, czynnego, tak jak ja im jestem i będę duchownym. Mnie nie na wszystko patrzeć się godzi, nie o wszystkim wiedzieć, nie wszędzie wniknąć, nie zawsze być surowym gdzie potrzeba.

Ja modlić się tylko umiem, przeczuć i zawołać gdy czuję niebezpieczeństwo...

Mówiłeś wczora o królestwie rozerwanem iż mu biada, jać powiem toż samo o rodzie, który gdy głowy nie ma, a spojny nie jest, przepada... Jesteśmy jako trzoda co się wilkom obroni gdy stanie kołem zwartem, a gdy się rozsypie, rozchwycą je.

Ale nie o ród nasz sam idzie mi, bracie, boć w mocy Bożej podnieść go i obalić, idzie mi o królestwo to aby gorzej rozerwanem nie było i straconem dla tej chwały Pana Niebieskiego, na którą ono pracować miało, słowa jego przyjmując do duszy i mogąc je w życie wprowadzić.

Zginiem my, padnie z nami kraj w moc barbarzyństwa i na pastwę ludzkich złości...

— A jaż jak się wam zdam do tak wielkiej sprawy, człek tak mały? — zapytał Mszczuj. — Anim Goworka, ani Mikołaja Wojewody nie dorósł, ani Krystyna z Ostrowa o którego losie doszły mnie wieści... Wiesz jak oni wszyscy skończyli! Goworek na wygnanie musiał iść dobrowolnie, drugiego się matka Leszkowa zaparła i musiał się oddać Mieszkowi, służyć mu całemu życiu kłam zadając...

Krystyna wręście Konrad oślepić, uwięzić i zabić kazał za to że mu służył i kraju bronił...

— Tak jest — przerwał Biskup z zapalem — aleć to cnót wielkich działem jest na tej ziemi że one cierpieć muszą za innych i to ich tryumfem że męczeństwem kończą... Ty się zaś złego końca nie masz co lękać, bo silną podporę mieć będziesz we mnie. — Ja zaś, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, siłę mam jaką on mi dał na chwałę swą i pożyc się nie dam łatwo. Za mną i ze mną pójdą Biskupi wszyscy, i ojciec nasz gnieźniński i całe wojsko nasze duchowne i cała potęga klasztorna...

— Więc pocóż ja? — zapytał Mszczuj.

— Ażebyś mi był prawicą — zawołał Biskup — ręką w którąbym ja wierzył jak we własną!

Waligóra zamilkł głowę spuściwszy.

— Mów, bracie miły, jako stoicie? co czynić mamy? — rzekł z cicha, już jakby na pół zwyciężony.

— Mamże ci ja opowiadać całe dzieje nasze, których byłeś w części świadkiem po śmierci Kaźmierzowej? — począł Biskup.

— Tak jest, mów wszystko — bo nie wiem nic — potwierdził Mszczuj. — Wszakci nie dziesięć lat już żyję na tej pustyni, a co tu do mnie dochodziło, często tak w ustach ludzkich skrzywiło się żem nie wiedział ani zkąd szło ani dokąd! Na puszczy głosy giną...

Biskup zlekka poruszył ramionami.

— Chciałeś sam o wszystkim zapomnieć i dlatego ci już dziś powtarzać trzeba nawet to o czem wiedziałeś.

Mszczuj na ręku oparty gotował się w milczeniu do słuchania..., a Iwo zwolna rozpoczął opowiadanie.

— Wiesz dobrze, jako się z dopuszczenia Bożego zmarło Sprawiedliwemu. — Kto był sprawcą tej nagłej śmierci dobrego króla, niewiasta niepoczciwa, wróg, zdrajca, czy sama prawica Boża zesłała tę śmierć, która czasem gdy chce uratować, karze — nie nam sądzić.

Po Kaźmierzu zostały piskłeta... i wdowa, dobra pani ale słaba niewiasta, której z kolei każdy wmówić mógł co chciał, która ze strachu o dzieci i o siebie chwytła się z kolei

i Goworka i Mikołaja, a gotową była zawierzyć Mieszkowi staremu, choć znała jakim był dla męża jej, i jak panowania pragnął.

Ledwie Kaźmierz oczy zamknął, już się zbiegło do Krakowa co żyło książąt dobijając o spuściznę po nim, choć dzieci zostały... Znali wszyscy Helenę że ją łatwo dobrymi słowy ująć i podejść było można. — Ślężcy książęta i Mieszko chcieli Kraków królowę państwa zagarnąć i byliby potomstwo Kaźmierzowe wygnali ze wdową, gdyby mój poprzednik na stolicy biskupiej nie stanął murem przy sierotach i przy prawie krwi przeciwko prawu wyborów, które państwo na łup fantazyom możnych rzucało...

Mieszko stary — jako całe życie tak i teraz nie ustąpił. Pamiętasz to przecie że się krwawo musiała sprawa rozstrzygać pod Mozgawą u Jędrzejowa, gdzie się swoi ze swemi wściekle rzeźali, a Mieszko syna postradawszy ledwie z życiem uszedł, ocalony przez żołnierza, który byłby go przebił, gdyby hełmu nie zdjął i twarzy mu nie pokazał... Nie pożywszy orężem Mieszko starał się Kraków opanować zdradą i do Heleny udał się opiekunem tylko Leszka być chcąc... Słaba niewiasta usłuchała go, poszła na dobrowolne wygnanie z dziećmi do Sandomierza na Pieprzową górę...

Mieszko zawładnąwszy Krakowem rządy począł po swojemu sprawować; wygnano go wprędce, lecz raz jeszcze Helenę uwiódł słowy słodkimi i gdyby nie śmierć, jużby krew Kaźmierzowa nie siedziała na stolicy... Nam zaś tej krwi Sprawiedliwego potrzeba a nie potomstwa Mieszkowego, bo ze krwią cnota przechodzi i chciwość panowania, która nie baczy na nic.

I to pomnisz jako Laskonogiego, wzięto do Krakowa, — za zezwoleniem Leszka, który panować się nie kwapił. W Laskonogim choć dobrym, łagodnym i pobożnym, krew ojcowska grała, — chciał panować sam i nad ludem i nad nami, którzy władzę naszą mamy od Boga. Potrzeba było usunąć go, aby Leszka, prawowitego pana przywrócić...

Zwycięstwo pod Zawichostem sprawiło, że Krakowianie Kaźmierzowego syna przypomnieli, a Laskonogi mu ustąpił...

Zda się tedy wszystko szczęśliwie skończone — westchnął Iwo — aliści to dopiero początek...

Czuwaliśmy i czuwamy, a przecież nie możemy rzec, abyśmy pewni byli iż siebie i państwo to ocalemy... Pobożni książęta, zazdrośni są władzy naszej i ciągle na nią nastają. Chce się im panować samym, co znaczy że bez Boga i prawa rządzić pragną... Ze krwi Mieszkowej jeźli Laskonogi nam już nie grozi, straszniejszy jeszcze bo popędliwszy i śmielszy Odonicz Płwacz, choć pełną garścią sypie kościołowi nadania, ale chce mu być panem... Tak samo ślężcy książęta, choć pobożni są słowy i życie trawią na postach i modlitwach, z kościołem się zadzierają... Nielepszy wręście nawet syn Kaźmierzów Konrad Mazowiecki, gwałtowny, chciwy panowania i niepohamowany gdy do celu idzie. Naostatek syn Mszczuja, Światopelk Pomorski, głowa Jaksów rodu, nietylko wybić się chce podległości panu, swemu, ale czyha na obalenie go...

Przeciw nim, jawnym i tajemnym nieprzyjaciołom, przeciw Rusi, — Leszek słabym jest, choć naszą siłę ma i mieć będzie za sobą...

Knują się spiski, które my — ja, mój bracie, więcej przeczuwam i przewiduję niż o nich wiem...

Odonicz wziął siostrę Światopelkową za to aby mu służył, razem idą oba... Ślężcy książęta są z nami, ale jak długo wytrwają gdy im zaświeci nadzieja pochwylenia Krakowa??

Biskup zamilkł głową potrząsając.

— Biada! biada królestwu temu — dodał, — jeżeli albo niespokojna krew Mieszkowa, lub ten co krwi już zakosztował Konrad — albo nawet ziemczale Ślężaki dostaną się na naszą stolicę... biada królestwu temu, bo zamiast być rządzone przez świeckiego książęcia, z pomocą i na wspólny z duchownymi, co go od tyranii wstrzymywać, od bezprawia ostrzegać będą — padnie w więzy jednego człeka władzy chciwego, co pszczoły wybijać będzie aby miód garnął. — Pójdzie w niewolę duchowieństwo, a z niem prawo Boże, miłosierdzie i straż przykazań świętych...

Walka to jest, bracie mój — nie o kawałki ziemi, nie o panowanie tego lub owego książęcia, ale znaczniejsza daleko, daleko przeważniejsza o wszelakie prawo człowiecze. Mali to państwo być osądzone jako trzoda bydła, łaską i niełaską albo prawem Chrystusowych dzieci...?

Waligóra słuchał.

— Bracie mój — odparł cicho, — mówię z tobą jako na spowiedzi, odkrywając ci duszę moją. — Nie sroż się na mnie. Walka to jest więc, jak mówisz sam, o to kto panować będzie — książęta czy Biskupi?

— Nie zapieram! — zawołał Iwo powstając, — lecz przypatrz się światu i powiedz mi co lepszego, czy sługi Boże panami waszemi, czy sługi namiętności własnych??

— A między wami, bracie — rzekł Mszczuj, — azali nie ma też sług namiętności — nie mali dumnych i władzy chciwych...?

— Tak ci jest, są między nami tacy, bośmy ludźmi — rzekł Iwo — lecz nas trzyma krzyż na piersiach, strach Boga, przysięga, kapłaństwo nasze. Zapomni się jeden nie wszyscy — świeccy panowie upajają się potęgą swoją, gdy jej granic nie czują. My granicą dla nich, stróżem i stróżami prawa...

Waligóra nie odpowiedział nic — a Iwo dodał po chwili.

— Panowanie Rzymu nie jest dla nas niebezpieczeństwem a jest opieką.

Tak, bracie mój, Leszka wszelkimi siłami podpieścić potrzeba, bo ten nie opiera się nam i widzi że z nami tylko bezpiecznym jest, gdy inni nami się posługują aby później znękać nas i w poddaństwo obrócić...

To mówiąc nad schyloną głową starego Waligóry, Biskup w powietrzu ręką drżącą krzyż zakreślił.

— Wstań, — rzekł — i idź — błogosławię ci. — Rzuć wszystko a towarzysz mi, zobaczysz oczyma własnymi jako byłeś potrzebnym... Z dawnych czasów znasz pewnie niektóre książęta, poznasz innych; zobaczysz jakim się stał ten Leszek nasz, którego my wychowaliśmy.

Waligóra powstał posłuszny rozkazaniu, lecz w męzkich oczach lzy mu się zakręciły...

— A dzieci moje? — wyjąknął po cichu.

— Cóż dzieciom twym na tym gródku zamkowym zagraża? — odezwał się Biskup, — jedna chyba tęsknota za tobą. Nie będziesz przecie tak zaprzątniętym sprawami naszemi ażebyś do domu zaglądać nie mógł. Stara niewiasta ochmistrzyni zostanie z niemi, służba wierna...

— A! bracie — matki nie mają, a ojca nic im nie zastąpi — westchnął Waligóra.

— Dla czegoż byś córek nie miał z sobą wziąć do Krakowa? — zapytał Biskup.

Słyszając to wstrząsł się Mszczuj.

— Niech Bóg uchowa! do miasta je brać — na ludzkie wejrzenia narażać! Nie — nie!

— Pobożne są, — rzekł Iwo z cicha, — gdzież większe szczęście i spokój dla nich jeżeli nie w klasztorze? Gdybyś chciał, czemuby nie miały z księżniczką Adelajdą siostrą pana naszego, mieszkać w Sandomierzu?

— Nie — odparł Mszczuj — nadto do swobody nawykły.

— Przecież, co myślisz na przyszłość dla nich?

— Sam nie wiem, — westchnął ciężko Waligóra. — Skarb to mój jedyny z którym mi się rozstać będzie trudno, który podzielić nie wiem jak... Pan Bóg mnie nim ubłogosławił i pokarał, bo są jak bliźniaki przywiązane do siebie, tak że żyćby rozdzielone nie mogły i trzebaby chyba dla nich na mężów dwu braci jak one z jednego ojca zrodzonych, coby się rozłączać nie chcieli.

— Któż wie! — szepnął Iwo, azali to właśnie znakiem nie jest, że one dla tego Ob-lubieńca niebieskiego są przeznaczone, którego serce starczy dla milionów...

Mszczuj nie odpowiedział nic.

Pomimo troski o córki był już tak pod władzą Biskupa, iż mu się opierać nie śmiał.

— Idź teraz — odezwał się Iwo — urządź sprawy swe domowe, zdaj rządy, opatrz gródek — abyś mi, w imię Boże mógł towarzyszyć... Zabieram cię z sobą.

Waligóra i przeciw temu rozkazowi nie śmiał słowa rzec, skłonił głowę i wyszedł, a Biskup korzystając z chwili, leżącą na stole księgę otworzył i spokojnie modlić się zaczął.

A że na modlitwie czas mu zwykły był upływać tak prędko iż nigdy się z nim policzyć nie mógł, choć Waligóra zabawił długo, nie opatrzył się Iwo, gdy go ujrzał z powrotem wchodzącego do izby.

Gdy nań oczy obrócił zaledwie poznał w nim, widzianego przed chwilą. Waligóra zmuszony do podróży, musiał zmienić odzież, przywdziać zbroję dawno już nienoszoną,

i jakby po latach wielu zadowolenia znowu do młodszych, zabytych obyczajów powrócić...

Lecz jakże Iwonowi nawykłemu do nowych rycerskich zbroi, oręża i stroju wydał się dzikim i dziwnym... Wszystko co na sobie miał niezgrabne, ciężkie, miało cechę prastarą, i w oczach ludzi na dworze Leszka i innych książąt czyniłoby śmiesznym Mszczuja...

Skórzany pancerz z zardzewiałymi łuskami, chodaki grube powiązane powrozami prostymi, odzież ze skór wyprawnych w domu, sukno z krosien własnych niebarwione, — kołpak który w rękę trzymał z obręczami żelaznymi. — Biskupowi nawykłemu do rycerstwa włoskiego, do dworaków Cesarskich, do świetnych strojów słuźkich panów — wydawały się niegodnymi potomka Odrowążów.

— Najmilszy bracie, — zawołał widząc wchodzącego — Bóg widzi że do sukni i marnego przepychu nie przywiążę wagi, która grzechemby była, — lecz, nie potrzeba być oczy ludzkie zbyt ściągają na siebie, a w tem ubraniu i uzbrojeniu... głupi palcami wytykać i śmiać się z ciebie będą.

— Toć by najmniejszym było — odparł Waligóra, — bo mi ich śmiech równie jak poklask obojętny — gorsza to iż W. Miłości wstyd bym uczynił mojem ubóstwem wiejskiem...

Lecz, wszystko co do nas z Niemiec przywożą — dodał — obrzydłe mi i obmierzłe, przeto i zbroi nowych nie mam i nad stare nasze domowe mieć nie chcę.

Iwo się uśmiechnął.

— Więcby ci ze Włoch lub dalszego jakiego kraju chyba ich sprowadzić — rzekł, — a tymczasem choć opończę weźcie abyście jechać zemną mogli... Odrowąż musi rodowi swojemu możnemu, dopóki w świecie jest, postawą odpowiadać. Świecić nie trzeba i śmieszyć nie można. Cesław i Jacek kochani moje grube suknie noszą, ale ci z Bogiem nie ze światem obcuje, a tobie przypada ciężka część, z ludźmi sprawa.

Waligóra stał ku oknu patrząc.

— A! gdybyście mnie nie wyciągali ztąd! — westchnął.

— Bogu nie mnie służyć będziecie — odparł Biskup — bo różne są drogi i powołania, a i w klasztorze i na świecie Mu jednemu służyć trzeba. Nie dla siebie biorę cię, ale dla Pana...

Waligórze głowa na piersi opadła, zawahał się i wyszedł krokiem powolnym.

Słońce już się było pochyliło ku zachodowi, gdy z gródka na Białej Górze, wyruszył Iwo a za nim ciągnął, zwracając głowę ku domostwu, u którego słupów stojąc dwie Halki płakały, stary Mszczuj otulony ciemną opończą... Jechał jakby jeniec w niewolę wzięty, sercem się odwracając ku spokojnej siedzibie swej, w której lat tyle przebył wśród ciszy — powracając znowu do walki, którą miał za skończoną, do ludzi, których się był wyrzekł, do pracy od której odwyknął.

— Bogu na chwałę! — mówił w sercu swem stary...

IV

Na obozowisku Krzyżackiem po odjeździe Biskupa zabawiano się długo rozmowami, któremi nie wiele się młodzież zbudować mogła. Płaszcz z krzyżami, które mieli na ramionach Konrad z Landsbergu i Otto z Saleiden, wcale ich nie powstrzymywały od wesołych rozpraw o świeckich rzeczach, o przygodach na wschodzie, w których piękne niewiasty niepoślednią rolę grały, o rycerskich dziełach przeważnych, o zabawach wesołych w czasie tych wypraw do ziemi świętej, którym towarzyszyły nie święte kumoszki i nie pobożni pieśniarze...

Mówiono o łupach bogatych przy zdobywaniu miast zdobytych, o pochwytych pięknościach i o losach jakim później ulegały w niewoli.

— Ze wszystkiego co tu widzimy po drodze, wnosząc — rzekł ryży Otto, — nic się podobnego w tych krajach spodziewać nie możemy... Wprawdzie ziemię posiadać będzie łatwo, lecz złota i srebra ona nie rodzi... a lud do zwierząt podobniejszy jest niż do człowieka...

— Juści z Niemiec do nas osadnicy napłyną byleśmy kraj ten od dziczy pogańskiej oswobodzili, — odezwał się starszy Konrad...

— A tymczasem, — rozśmiał się Gero, bratanek jego — niczego pono nie mamy wyglądać oprócz ran od ich oszczepów a w zdobyczy kozuchów i lubianych tarczy!!

— Jedna rzecz będzie pociechą — wtrącił młody Hans von Lambach — a przyznaję się że ta mi niepospolicie się uśmiecha — to kraj łowów! zwierza mnóstwo! Jeżeli gdzie to tu się człowiek napołuje do syta!!

— Lubię i ja łowy — rzekł towarzysz jego Gero — przecie one mi nie starczą, po łowach dobrze mieć się przed kim z niemi choć pochwalić — tu zaś nie będzie nawet z kim pogwarzyć...

— Mylisz się — przerwał mu stryj Konrad, — na dworach książąt życie po naszymu, niemieckie, język nasz, śpiewy nasze, ludzie z naszych ziem...

— Tylko kobiet tu naszych brak! — rozśmiał się Gero.

— Są i kobiety nasze — westchnął Krzyżak — ale to bieda że jak żona księcia Henryka Jadwiga... święte bardzo i pobożne, zatem i na dworach ich więcej słyhać psalmów niż pieśni miłosnych...

— Eh — odezwał się Hans — darmo by już i nie mówić o tem co tylko tęsknotę obudza, — gadajmy lepiej o łowach. Ja jutro już muszę trochę w las się puścić, bo mi dłonie świerzbią...

— My jutro w dalszą drogę musimy — rzekł sucho Konrad von Landsberg, który dowodził całym oddziałem...

— Musu przecie nie ma — ciszej odezwał się von Saleiden — co za mus...? Moglibyśmy dać tu koniom się odpaść jeden dzień, a młodzieży dać trochę po lasach popładować...

— Tak! tak — rzekł szyderczo Konrad, — żeby gdzie wpadli na książęce lasy i strażę, albo na jakie ostępy biskupie lub opacie i kłopotu nam naciągnęli.

— Cóż znowu — krzyknął Hans — przecie tym co niosą życie w obronie wiary na pogan, nikt nie może niewinnej rozrywki zabronić. — Radbym widzieć Biskupa lub Opata coby mi śmiał...

Starsi się rozśmieli.

— Patrzcie go jaki pewny siebie, choć jeszcze krzyża nie nosi! — zawołał Otto, — a cóż to będzie gdy was do zakonu przyjmujemy!!

— Więc choćby nam Krzyżakom — dodał Konrad — wolno było coś więcej, to nie wam którzy jeszcze niemi nie jesteście...

— Dodaj stryju kochany — rzekł Gero, — że podobno oba nie będziemy niemi nigdy. Pójsz z wami, zapolować na dzikich ludzi, zgoda, ale śluby składać na cały żywot...

— Ten się szczególniej boi — zaśmiał się Otto, — żeby go nie minęła piękna pani i miękkie łóżko...

— Jakby to Krzyżacy się ich wyrzekali! — mruknął Gero... — swoich nie mają, prawda — ale za to cudze na rycerzy słodko patrzają...

Śmiano się i dowcipowano...

Wśród gwarzenia młodzież potrafiła starym, którzy do kubków często zaglądali, powiedzieć że konie potrzebowały odpoczynku, a oni polowania. Czeladź, której się spieszyć nie chciało, przywołana na świadectwo, potwierdziła to że spoczynek był dla zmęczonych szkap zbawienny.

Zatem rankiem pozwolono się Geronowi i Hansowi sposobić do łowów w lasach sąsiednich, o które nikt się nie troszczył czyje były, ani o pozwolenie na myślistwo. Rycerzom niemieckim zdawało się że na całym świecie wszystko im wolnem było...

Otto von Saleiden, choć starszy od dwóch ochotników, dał się też skusić na łowy... Konrad tylko jako oddziałem dowodzący przy swych knechtach w namiocie pozostał postanowił i wypocząć do dalszej podróży...

Tego dnia gdy Biskup bawił jeszcze na zamku w Białej Górze, Gero, Hans i Otto ruszali ze świtem w lasy, zabrawszy psy które mieli z sobą, i dwoje czeladzi.

Nie znali wcale okolicy, lecz nawykli byli w podróżach kierować się po słońcu, drzewach i ścieżynach, nie obawiali się więc obłąkać, a nie myśleli zbyt głęboko w puszcze zachodzić.

Mglisty ranek jesienny, wilgotny, psom i myśliwym sprzyjał... Zaledwie się puścili od skraju w gęstsze zarośle, gdy gończe ich zławiać poczęły i odzywać jakby już zwierza tropiły...

Zagrzało to młodych myśliwców, którzy ochoczo za nimi podążali. Lecz las mało widać był spolowany, zwierza w nim się legło wiele, psy coraz to nowe trafiając ślady, to tu to ówdzie zrywały się i gonily. Sami łowcy widzieli w gęstwinach przemykające się sarny i pomniejszego zwierza, nie mogąc ani z łuku strzelić, ni inaczej go dosięgnąć. Choć się zrazu wszystko obiecywało najpomyślniej, ale zdawało urągać dwóm niedoświadczonym a gorącym chłopakom, z których starszy Otto się wyśmiewał, sam więcej świadkiem chcąc być niż współuczestnikiem zabawki.

Szyderstwami jego pędzeni Geron i Hans coraz żywiej gnali za psy w las, starając się tylko aby razem trzymać i być sobie pomocą. Parę razy udało się im strzelić z ciężkich luków, ale belty poszły próżno lub utkwily w drzewach...

Cały tak czas do południa siebie męcząc i konie, postradawszy psy, które daleko się odbiły i ledwie niekiedy głos ich dochodził, nic nie wskórawszy, błąkali się po lesie, aż ostrożniejszy Otto, ciągle z nich szydząc, nakazał spocząć i sam legł — wołając aby na psy trąbili...

Słońce się już w górę podniosłszy z obłoków wybiło, dzień stał prawie gorący, więc na pagórku wstrzymawszy się wszyscy, zabrali wytchnąć nieco i posilić.

Oba młodzi przeklinali lasy tutejsze i zwierza, który jakby na szyderstwo pokazywał się gęsto, a pochwyć nie dawał.

Trąbiono na psy, rozkładając zapasy wzięte z namiotu, z których głodny Otto najpierwszy skorzystał, bo Gero i Hans sprzeczali się nawzajem na siebie składając winę niepowodzenia...

Powrócić do obozu z próżnymi rękami wstyd było, a choć Otto radził się już mieć do odwrotu, wyprosilili mu się młodzi, by im szczęścia jeszcze próbować pozwolili... Psy też po jednym, z językami powywieszanemi, zziąbane powoli się ściągały... Jeden z czeladzi przybył także opowiadając iż stado dzikich świń napotkał, które musiało przylegnąć niedaleko w gęstwinie.

Porwał się zaraz Hans, rzuciwszy jadlo i Gerona z sobą ciągnąc, psy nawołując puścił z pacholkiem, który mu miał ukazać gdzie się z dzikami spotkał... Odbiegli nie wiele od tego miejsca, w którym Otto leżał jeszcze na murawie, gdy pod kłodą olbrzymią na pół przegniłą, nagle ruszyło się coś i dwa ogromne białe kły dzika zaświeciły. Psy już z obu stron starego odyńca chwycić próbowały, który z ciężkością zdawał się z pod kłody dobywać... Gero i Hans oba naprzód wypuściwszy strzały, które gdzieś w grzbiecie potwornej bestyi uwięzły, dobywszy mieczów śmiało z niemi rzucili się na dzika, ogarniającego się psom natrętnym.

Hans przypadł pierwszy ku niemu, gdy dotąd, jak nieruchomy nieprzyjaciel, skoczył nagle na biegnącego i kłem nogę mu rozplatawszy, obalił go na ziemię. Gero, który za nim pędził z podniesionem żelazem, nie miał czasu uskoczyć mu z drogi i cięty z kolei padł mając jeszcze tyle odwagi, że miecz cały dzikowi wraził w szyję. Z nim razem uchodził krwawiąc ranny, a psy szarpały go przytrzymując po drodze...

W gąszcze się zaszywszy znikł im z oczów...

Hans usiłował się podnieść nie czując zrazu by rana ciężką była, lecz zaledwie na rękach się sparł by podźwignąć, padł twarzą na ziemię i przytomność postradał, krew lała mu się z nogi strumieniem...

Gero miał też nogę podciętą do kości na której ostry kiel się zatrzymał; rana jednak mniej była niebezpieczną czy on silniejszy, bo nie straciwszy zmysłów, miał czas trąbkę ująć i choć słabo odezwać się o ratunek... Krzyki które im obu w chwili gdy padali, mimowolnie się z piersi wyrwały, powołały ku nim Ottona i pacholców...

Gdy Saleiden przybiegł na miejsce, przytomny jeszcze Gero wskazał mu nieopodal leżącego Hansa, który jak trup, nie dając znaku życia, wyciągnięty był na ziemi.

— Macie wasze polowanie! — krzyknął gniewnie Krzyżak, opatrując Hansa, którego bladą głowę podniósł w rękach, patrząc na okrwawioną i rozplataną nogę. Do rycerskiego rzemiosła należało wówczas umieć z ranami w pierwszej chwili radzić sobie, i Otto też złożywszy omdlałego na murawie, naprzód rzucił się nogę zawiązywać, aby upływ krwi

powstrzymać. Gero choć osłabły toż samo już zabierał się czynić z raną swoją. — Czeladź też wróciła spiesząc na ratunek...

Obwiązano Hansowi chustami straszne owo cięcie, na którego widok Otto głową potrząsając, ledwie nie zwątpił o jego życiu... Gero też ścisnął nogę swą, na którą jednak stąpić nie mógł... Cucono Hansa dającego jeszcze znaki życia, a tymczasem z porady Ottona, jeden z czeladzi siadł na koń aby jakiegoś szukać ratunku i przytułku...

Do obozu, choćby się obu rannych dowieść udało, nie było tam co poczynąć z niemi, a póki żywi nie godziło się ich opuścić.

Otto kłął zuchwałą i nieroztropną młodzież, która zamiast im być pomocą, stawiała się ciężarem. Łajał Gerona który milczał, Hansowi zaś omdlenie powracające nie dołączało słyszeć ni rozumieć co się w koło niego działo.

Tymczasem miało się już ku wieczorowi; a posłany chłopak nie powracał. Wybrał się był szczęściem taki, który cokolwiek mowę tutejszą mógł zrozumieć, bo sam z Pomorza pochodził, lecz dzieckiem gdzieś zabrany, przez Niemców został wychowany. Można więc było mieć niejaką nadzieję, iż natrafiwszy gdzie na ludzi, pomoc sprowadzi. Ale dokoła był las gęsty i na mieszkanie, chatę, człowieka nie łatwo mógł natrafić. Szczególnego na to szczęścia potrzeba było.

Zmierchało już, gdy w krzakach szelest się dał słyszeć i głosy, a po chwilce ukazał się wysłany, prowadząc za sobą starą kobietę wylęklą, chudą, okrytą koszulą zgrzebną, z siwymi włosami rozrzuconemi na głowie, jakby drapieżna ręka chłopca targnęła się na nie. Prowadził też ją opierając się mu jak niewolnicę, poganiając bez litości...

Gdy na polankę ową wyszli, a baba zobaczyła leżącego na niej Hansa, Gerona skulonego z nogą obwiązaną i dumnej postawy Ottona, ulękła się bardziej jeszcze i rzuciła składając ręce na kolana...

Chłopak który ją przyprowadził, niemiłosiernie smagał po plecach... Sam pono nie wiedział dla czego się tak znęcał nad starą, ale ze strachu o rannych, przytomność postradał, a nikogo oprócz baby nie znalazłszy w lesie, przygnął ją bezmyślnie prawie.

Rozmówić się z nią było trudno, — Otto przytomniejszy od innych, widząc że krzyk i groźby mogą tylko większym strachem nabawić, zbliżył się do klęczącej, i proszącej o miłosierdzie, pokazując jej rannych i rękami tłumacząc że potrzebowali ratunku. Na poparcie tego języka ruchów, rzucił jej kilka srebrnych pieniążków.

Widok ich podzielał szczęśliwie i baba ośmielona wstała zbliżając się ku leżącym na ziemi; ale popatrzwszy na okrwawione chusty, zaczęła pokazywać także rozłożonemi szeroko rękami że ona nic na to pomódz nie może. Wskazała jednak stronę w której ratunek się mógł znaleźć, a chłopak co ją przyprowadził, wyrozumiał z jej mowy iż należało poranionych nieść do bliższej jakiejś chaty. Stara ofiarowała się prowadzić do niej.

Ale Hansa nieść było potrzeba, a Gero, choć mógł się wlec z biedy wspierając na ramieniu jednego z pacholków, często musiał spoczywać — i nie rychło do obiecanego dojść mogli schronienia.

Naprędce musiano zrobić nosze, które do dwóch koni przytwierdzić było można, a na jednego z nich Gero ofiarował się wdrapać, i próbować czy jechać nie potrafi. Nim się znalazły gałęzie, sznury i nosze urządziły, w lesie zupełnie ściemniało, baba byłaby, niestrzeżona łatwo się wymknąć mogła, ale owe srebrne pieniążki uczyniły ją wielce ochotną i czynną. Pomagała czeladzi, chodziła, wyszukiwała, i zrećnie płała gałęzie na których Hans miał być złożony.

Według jej zaręczenia przed nocą mogli, zwolna się wlokąc, dojść do obiecanej chaty... Gdy wszystko było nareście gotowe, pochód ten cały, z Ottonem na przedzie, któremu baba towarzyszyła, puścił się w las powoli. Gero mężnie znosił boleść zaciąwszy zęby i nie chcąc się okazać słabym, Hans jęczał i omdlewał, cucono go wodą i pocieszano tem że podróż nie potrwa długo.

Otto choć milczał, w duchu przeklinał całą tę szaloną młodzików wyprawę.

Gąszczami bez drogi prowadziła baba dosyć długo, dopóki na jakąś ścieżkę widoczniejszą się nie dostali. — Tu już nadzieja wstąpiła w serca, bo stara coraz ręką ukazywała przed siebie, oznajmując iż byli niedaleko od chaty...

Jakoż między gałęzmi zabłysnęło światelko, dym się dał uczuć w powietrzu, drożyna szerszą się stała i zabudowania jakieś ukazały się przed niemi. Była to chata leśna, na pół w ziemi, pół nad ziemią, przyparta do wału, ostrokołów i wrót co je zamykały.

Znaleźli się właśnie u tej granicznej strażnicy Białej Góry, przez którą przed nie wieloma godzinami przejechał nazad Biskup Iwo wiodąc z sobą brata...

Orszak biskupi który tu nań oczekiwał, wyruszył za niemi... Baba wyprzedzając Ottona pobięła dać znać stróżowi — a ten natychmiast uzbrojony w swój drąg kuty zjawił się przestraszony. Od lat wielu jak tu siedział pilnując granicy nie trafiło mu się nigdy dwu naraz podróżnych widzieć u tych wrót, które stały zaparte zawsze, wpuszczając i wypuszczając tylko rzadkich posłańców Waligóry...

Stary tym ruchem który nagle przerywał mu spokój zwykły, był przerażony i gniewny. Wyjazd pana, który nigdy się z zamku nie ruszał, niebytność jego w domu, jeszcze pomnażała trwogę.

Przywłókl się sam aby przypatrzeć przybywającym, i widząc rannego na noszach, skaleczonego na koniu, a obok dumnie nakazującego rycerza Ottona, stracił głowę.

W chacie w której on sam mieścił się z żoną i wyrostkiem, nie było dla podróżnych nawet barłogu wygodnego, aby ich złożyć można, dla koni brakło szopy, a na pobyt dłuższy pokarmu dla ludzi.

Otto tymczasem pobrzękując mieczem, krzyczał i kłął aby chatę opróżniono. Stróż stary ze strachu nie wiedząc co począć, zbiegł do chałupy, drzwi zamknął i drągiem zawałił ze środka, zasunął okiennice, i zdał się na wolę Bożą.

Baba napróżno szturmowała do okien zamkniętych, usiłując przekonać stróża, aby przyjął rannych do siebie...

Tymczasem Hans jęczał coraz boleśniej.

W niewielkiem oddaleniu był obóz krzyżacki, ale o nim Otto nie wiedział, zupełnie się obłąkawszy na polowaniu; dla poranionych gwałtownie trzeba było szukać jakiegoś ratunku... Baba przekonawszy się że tu ich stróż nie przyjmie i nie myśli im otwierać, choć mu nagrodę obiecywano, — zaczęła niewyraźnie bąkać o Białej Górze.

Chłopak który się coraz lepiej z jej mową oswajał, wyrozumiał iż jakiś gród był za wrotami temi niedaleko, i że do niego nie puszczano nikogo...

Temu uwierzyć nie chciał...

Otto von Saleiden jak tylko mu o Białej Górze oznajmiono natychmiast postanowił z rannymi jechać do niej, zwłaszcza iż gródek miał leżeć niedaleko. — Wrota wprawdzie stały zaparte przed niemi, ale na to Krzyżak wcale zważać nie myślał... Zakląwszy okrutnie dał znak by jechać ku nim. — Sam zsiadłszy z konia, począł do starych wrót się dobijać, czeladź wylała je łatwo.

Dopiero usłyszawszy łomot ten stróż zamknięty w swej chacie, wybiegł bronić z drągiem, ale naówczas już Otto i za nim ciągnące konie, baba co drogę pokazywała, cały ów pochód przebył okop i ostrokoły i puścił się drogą ku zamkowi.

Noc była ciemna i chłodna, a mgła jesienna okrywała doliny, i w górze tylko gdzieś blade gwiazdy migotały, gdy Otto ujrzał bramę znowu przed sobą. Począł z całych sił trąbić.

Tych wrót obronnych ani mógł myśleć zdobywać...

Stanęli oczekując aby się im kto zjawił od grodu. Nierychło coś zaszarpało na wyżkach i słaby głos począł pytać — kto i czego chciał tutaj...

Pytania trudno było zrozumieć, a niemiecka odpowiedź na nie Ottona, ten skutek miała iż człowiek znikł z wyżek i głuche nastąpiło milczenie.

Otto niecierpliwie trąbił znowu, a dobierał najwzraskliwszych rogu swojego głosów, które musiały wszystkich pobudzić.

Wzdłuż wałów i na bramie zaczęli się pokazywać ludzie, poglądać na stojących u wrót, lecz ni do rozmowy ani do otwierania nie okazywali ochoty. Stara przewodniczka wzięła na siebie przemówienie do ludzi zamkowych... Opowiadała im coraz głośniejsze i krzykliwiejsze gdzie i jak tych Niemców napytała i jak się tu dostali.

Ktoś w ostatku zlął ją za to, że naprowadziła na gród nienawistnych ludzi, jakby nie wiedziała że noga ich nie powstała nigdy na gródku Waligóry...

Po długich krzykach i sprzeczkach, ktoś z góry, czy miłosierdziem tknięty, czy chcąc się zbyc niepokoju, — kazał podróżnym jechać pod wałami na podzamcze i tam w szopach jakichś szukać schronienia.

Przystępu do zamku wzbroniono zupełnie... Pana w domu nie było, a gdyby o Niemcu się u siebie dowiedział, własnąby spalił siedzibę, żeby ślad stóp jego zatrzeć.

Już Otto miał się według wskazania skierować ku szopom, do których też sama baba prowadziła się ofiarowała, gdy z bramy do stojącego na koniu Ottona zwiesiła się głowa człowieka, którego po ciemku rozpoznać mu było niepodobna i cicho a ostrożnie, łamaną niemiecką mową rozpytywać zaczęto...

Krzyżak posłyszawszy zrozumiałe mu wyrazy, miał się za ocalonego...

— W imię Zbawiciela i matki Jego N. Panny Maryi, której my sługami jesteśmy, — krzyknął zapalczywie, — cóż to za kraj? jacy w nim mieszkają ludzie? Czyśmy już do pogan się dostali?? — Jesteśmy zakonnicy szpitalni niemieckiego domu z Jerozolimy, jedziemy przyzwani przez księcia Konrada do objęcia danej nam ziemi i walczenia z poganymi...

W drodze młodzież naszą spotkał przypadek w lesie, sroga bestya na którą się nierozważnie rzucili poraniła nam ich okrutnie... Żebyśmy też przytułku i ratunku nie znaleźli!!

Westchnienie słyszeć się dało z góry.

— Kraj ci to chrześcijański, — odparł głos — ale pan grodka tego z niemieckimi rycerzami i nierycerzami wcale do czynienia mieć nie chce... A i doma go nie ma, bez niego zaś nikt się tu was wpuścić nie waży.

— I dacie tym szlachetnym młodzieńcom ginąć marnie! — zawołał Otto rozpaczliwie.

Nie dano na to odpowiedzi, aż po chwili, rzekł cicho ktoś.

— Jedźcie tam do szop na podwalu — jedźcie. Chrustu jest dosyć by ognia zapalić, a i woda poblizko się znajdzie. — Ztąd może się uda wam dać pomoc jaką...

— Macie pewnie ktoby umiał rany opatrzyć — przyślijcie go, zapłacimy... — krzyknął Otto dumnie.

— Jedźcie! — powtórzono z góry...

Znów tedy drogą na podwalu, musieli ciągnąć przybyli, aż się szopy opuszczone, z chrustu plecione, z dachami na pół poobrywanymi pokazały... Dawno widać nikt tu oprócz bydła gdy je burza z pola wracające napadła, nie mieszkał. — Lecz co poczynąć mieli?

Baba dowiódłszy ich tu, a bojąc się pewnie by ją za posługę Niemcom nie karano, przyszła się żegnać do Ottona, to jest o zapłatę się upomnieć i zamyślała uchodzić, Niemiec znowu dał jej trochę pieniążków, ale puścić nie chciał, bo służyć nie było komu...

Kazano jej chrust zbierać i ogień niecić. Czeladź pilnowała, musiała być posłuszną.

Była już noc późna; na grodku słyszeli piejące kury i naszczekujące psy, które po-czuwszy obcych, straszliwie na wałach ujadają i wyły...

Gdy ogień zapłonął, Otto dopiero mógł się nieco rozpatrzeć po okolicy. — Z jednej strony we mgle nocnej majaczyły bory czarne i płaszczyna która się zdawała błotnistym moczarem, z drugiej sterczało nad nimi grodzisko, góra, wały i ostrokoły... Nawykłe do postrzegania oko Krzyżaka dopatrzyło w pewnym oddaleniu na górze, małej furty w ostrokołe, od której ścieżynka kręta prowadziła ku szopom...

Otto się jeszcze rozglądał, gdy u furty zobaczył cień człowieka jakiś, który zdawał się z niej wysuwać i ostrożnie ku nim spuszczać ową drożyną... Nie dowierzał oczom swym, lecz po chwili człek ten zbliżyć się zaczął ostrożnie i Krzyżak mógł nawet rozpoznać że był przygarbiony, niewielkiego wzrostu, opończą z kapturem osłonięty. Światło od ogniska padało na niego i długi cień idącego na pochyłości góry wyciągnął się, ruchomy, ginąc w mrokach...

Otto śmiało wystąpił naprzeciw niemu. Postrzegłszy go idący kroku zwolnił, i oba ciekawie przypatrywać się sobie zaczęli. Zamkowy człek z bladą twarzą, nierycerską miał postawę, a broni żadnej — obawiać się go nie miał potrzeby Otto, a był też tak mężnym że i czterechby się nie uląkł...

Był to ksiądz Żegota. On też to ciekawością i miłosierdziem powodowany, dobył z siebie tych słów kilka niemieckich, niegdyś wyuczonych gdy się na duchownego przy niemieckich zakonnikach sposobił. — Nigdy on z tym językiem nienawistnym nie wy-dawał się przed Waligórą, zapomniał go wiele, — ale dziś rad był iż cokolwiek jeszcze mu z niego zostało.

Pamięć młodości, wdzięk zakazanego owocu, może zbytńia Waligóry ku Niemcom nienawiść, w starym księdzu Żegocie budziły uczucie przeciwne. Język wydawał mu się prawie miłym, miał urok jakiś i powagę; przedstawiał mu się jako mowa ludu który naówczas orężem i wpływem sięgał aż do stolicy Rzymu...

Dnia tego, niebezpieczeństwo od którego uszedł szczęśliwie, czyniąc się chorym i uniknąwszy surowego wyroku Biskupa Iwona, dawało mu usposobienie litościwe, czyniły przez wdzięczność dla Opatrzności za jej łaskę, miłosiernym...

Pomimo więc iż się wykradając z grodka do nienawistnych Niemców narażał na gniew Waligóry, zbiegł ks. Żegota w pomoc tym, którzy jej potrzebowali...

Strach go przejmował, ale szedł, zakrywał twarz, zmienił głos — a wstrzymać się nie mógł.

— Czem wam można być pomocą? — wyszepnął zbliżając się do Ottona... — Wcale źle was do tego miejsca przyprowadzono, nasz miłościwy pan, Comes Mszczuj Odrowąż z Białej Góry, możny i wielkiego rodu mąż, nie lubi narodu waszego... Gdyby on był w domu, nicby się tu nie można spodziewać, — odpędzićby kazał...

Ja, jestem kapłanem, — choć wiem że za to pokutować mogę, radbym braci zakonnej służyć, alem ja człowiek biedny, sam i nie wiele potrafię, choćbym najmocniej chciał!!

Otto bacznie się mówiącemu przypatrywał słuchając.

— Niemcy czy ktokolwiek jesteście — rzekł — przecież ludzie! Nie godzi się zabijać, to przykazanie Boże, a ten zabija kto nie ratuje!

Dwóch ślicznych młodzieńców leży rannych — jęczą i nie ma ich opatrzeć komu...

Ulitujcież się — głodni jesteśmy, siły się wyczerpały. — Radźcie, a gdy tu ratunku nie można się spodziewać, dokąd się udać...

Niedaleko ztąd obozowisko nasze być musi, ale i do tego trafić trudno, a gdybyśmy się tam dostali cóż z ciężko poranionymi zrobimy, zmuszeni jutro w dalszą drogę do księcia Konrada, który na nas czeka...

Ksiądz Żegota czoło tarł i ramionami rzucił, to ręce chude załamywał...

— Co ja w domku ubogim mam, tem się z wami podzielę, — rzekł, — nawet i ostatki oddam. Znajdę też może starą niewiastę, co się zna na ranach i ziołach... ale tu wam długo trwać nie można. Nie wiem kiedy nasz stary powróci, a gdyby wrócił — biada wam i biada mnie.

— Wpadliśmy w tęgą matnię, przez tych mlókosów — odezwał się Otto — lecz i w Bogu nadzieja że nieopuści i w najgorszym razie otuchy stradać się nie godzi.

Dawajcie naprzód co macie, potem pomyślemy o dalszem.

Ks. Żegota spuścił się jeszcze milczący ku szopie w której ranni leżeli, poszedł na nich rzucić okiem — podumał, zamruczał i skłoniwszy się przed Ottonem na zamek powrócił.

— Przecież i tu w tej dziczy, — zawołał Otto, — znalazła się jedna dusza chrześcijańska i człek co rozumie język ludzki!!

Czeladź sama krzątała się jak mogła około Hans'a. Gero z wielkiej biedy odzyskał trochę młodzieńczej wesołości na przekorę... Nogę sobie sam obwiązywał i razem towarzysza pilnował, a z czeladzi podżartowywał.

— Żebyśmy byli choć tego dzika ubili i zjeść go mogli, — mruczał, — a tak co myśmy mieli jego, on nas skosztował. W tym kraju wszystko na opak się dzieje!

Otto niespokojny, jednego z pacholków z lepszym koniem mimo nocy już wyprawiał szukać obozu, aby oznajmił Konradowi o nieszczęśliwej przygodzie.

— Jedź, — mówił mu, — musisz prędkiej, później napytać naszych, powiedz co się stało i że my tu między nieprzyjaciół popadliśmy. Niech brat Konrad myśli o nas...

Nierychło furta na wałach znowu się otworzyła i zamiast jednej pokazało dwie postacie i dwa cienie, które szybko do szopy się zbliżały... Ks. Żegota niósł kosz w ręku, za nim z narzuconą na głowie podwiką wlokła się stara baba...

Lekarzy innych nad takie znachorki mało gdzie znaleźć było można. Na gródku owa Dzierła, którą za młodu zwano pono Dzierlatką, bo była żwawą i swawolną — pełniła obowiązki wszelkie jakie na baby owych czasów przypadły. Wróżyła, zamawiała, babiła, niańczyła, dawała zioła miłosne i sposoby na ludzi, a źli mówili, że najrzęczniejszą pono pośredniczyła między parobkami a dziewczętami. Działo się to jednak tak skrycie że nikt o tem na pewno nie wiedział, a komu pomogła ze strachu milczał, bo groziła zemstą.

Na gródku miała jakiś chleb łaskawy, nie pełniąc innych obowiązków oprócz że około drobiu, trzody, stadniny radziła czasami... Ale wszyscy jej potrzebowali, a co więcej, wszystkich zabawiała opowiadaniem, bo nikt nad nią więcej baśni, gadek, powieści osobliwych nie umiał. Dziwowano się jej zkąd ona to brała, bo się nigdy jej powiastki nie

wyczerpywały... Nawet dwie Halki zachodziły do izby w której dziewczęta przędły, aby jej słuchać wieczorami.

Lubili ją ludzie, bo się każdemu przypodobać umiała, a choć za plecami drwiła niemal z każdego, nikt się tego nie domyślał, tak była w oczy słodką...

Dzierła choć nie młoda, bardzo jeszcze starą nie była, a nosiła się tak śmiesznie, jakby młodą chciała udawać... Czasami wkładała nawet wianuszek na głowę, choć do niego dawno straciła prawo, i obwieszała się błyskotkami, palce miała całe okryte mosiężnymi i srebrnymi pierścieniami, wstążki a opaski krasne lubiła niezmiernie. Chuda, żółta, opalona, miała oczy czarne ogniste, kibić jeszcze giętką i gibką i zdala czasem ją kto mógł wziąć za dziewczynę...

Ksiądz Żegota miał do niej wstręt wielki, ona bała go się mocno, posługiwać się nią jednak musiał, nie mając jej kim zastąpić, a ona chętnie skinieniu była posłuszną, aby sobie zaskarbić łaski.

I teraz też wyciągnął ją gdzieś z kąta, aby szła opatrzyć rany.

Sam on, wiedząc co chorym i znużonym potrzeba, w koszu niósł trochę wina którego do Mszy św. używał, kawał białego pieroga, trochę mięsa wędzonego, sera i masła.

Wesoła Dzierła wstępując na próg szopy i widząc z kim mieć będzie do czynienia, przybrała postać poważną i wprost szła do Hansa...

Stała nad nim przyglądając mu się długo, spytała od jakiego zwierzęcia ranę dostał i głową trząść poczęła o kle dzika posłyszawszy. — Klękała potem ranę opatrywać, ku czemu już miała z sobą hubę, zioła i szmaty...

Tymczasem ks. Żegota dobywał z kosza przyniesione zapasy, a Otto ujrawszy dzbanuszek nie czekając na innych, wyrwał mu go prawie z ręki, chciwie do ust niosąc...

Gero się też jadła i napoju dopominał; tylko Hans biedny gdy mu nogę zakrwawioną odsłonięto, krzyknął z bólu i omdlał tak że go winem z wodą cucić musiano.

— Panu Bogu niech będą dzięki — oddychając rzekł Otto, — jeszcze nie zginiemy na tej pustyni! Są ludzie!!

V

Zaledwie ks. Iwo z podróży swej do Krakowa powrócił i zajechał na dworzec biskupi — ledwie miał czas z konia zsiadłszy rozmówić się z gromadzącymi się na przyjęcie jego duchownymi, gdy już na zamku o nim wiedziano i od księcia Leszka biegł komornik z pozdrowieniem, który zarazem niósł prośbę, aby Biskup tęskniącego za nim pana co najrychlej odwiedził.

Waligóra którego Iwo przywiózł z sobą, w miarę jak do stolicy się zbliżali, wznawiającej jakieś stare wspomnienia niemiłe, smutniał i stawał się coraz bardziej milczącym i ponurym. Nawet łagodne a dobre słowa brata, nie mogły go wyrwać z tej ciężkiej zadumy.

Biskup gdy wjeżdżali do miasta sam modlić się zaczął i toż bratu polecił.

— Módlmy się, — rzekł, — wielki to oręż i skuteczne lekarstwo modlitwa...

Mszczuj także modlitwy szeptać począł... Lecz mimowolnie owo miasto dawniej mu dobrze znane, niewidziane przez długie lata, oczy pociągało ku sobie.

Urosło było, zmieniło się, rozsiało szerzej, domostwa wypiękniały, przybyło kościołów...

Ks. Iwo rzucił okiem ojcowskim na drewniany kościółek Ś. Trójcy, przy którym osadził Dominikanów, na poczęty Panny Maryi, co miał stać w rynku... Oczy mu się zwilżyły i myślał.

— Dałby Bóg jeszcze żywota trochę, przyrośnie świątyń, przybędzie ludzi, wzmoże się potęga duchowieństwa... na chwałę Pana!!

Mszczuj z Biskupem razem, nie dając się poznać kim był, i skromne zajmąwszy miejsce w orszaku, przybył do dworca, gdzie na dany znak przez ks. Iwona zaraz go w osobnych izbach umieszczono... Nie pokazał się już dnia tego.

Ani na zamek mógł Biskup podążyć, bo i godzina była opóźniona i w domu siła zostawało do roboty, po kilkodniowej niebytności...

Mało nie od wszystkich Biskupów z całej Polski czekały nań listy i posły z ważnymi sprawami.

Waligóra gdyby był się przypatrzył tym duchownym, którzy na powitanie brata spieszyli, zgorszyłby się był bardzo, gdyż liczba księży i mnichów cudzoziemców niemal przemała. Czarne, szare, białe, brunatne habity wszelakich zakonów, różnego kroju cisnęły się do ukochanego Pasterza, który tego wojska Chrystusowego zastęp jak mógł pomnażał...

Odzywały się tu języki wszystkie od łacińskiego począwszy, który powszechnym był, do włoskiego, francuzkiego i niemieckiego, bo zakonnicy z różnych krajów napływali gromadnie. Sam zaś Biskup Iwo, który za młodu w Paryżu razem z późniejszym Papieżem Grzegorzem IX, nauki kończył, a potem wielokroć do Włoch podróżował, mówił temi językami tak dobrze jak swoim. Dar ten Ducha świętego był mu udzielony, że się ich uczył łatwo i nie zapominał nigdy... Nie miał też tej miłości tak wyłącznej dla swoich, jaką Waligóra się chwalił, a byle człek był pobożny, nie patrzył jakiego rodzaju.

Oczy gorliwego kapłana zwracały się na zachód i południe z miłością wielką, gdyż tam rozkwitało to życie duchowe, które wiek ów znamionowało. Tam płynęła rzeka ognista, której tu ledwie ciekły małe strumyki...

Dwu razem wielkich apostołów wydały naówczas kraje południa, Hiszpania Ś. Domingo, Włochy Ś. Franciszka, tego miłośnika ubóstwa, który przeszedł przez życie w upojeniu, w ekstazie, we śnie niebieskim, że śpiewem na ustach, cały w Bogu, z ranami cudownymi, z widzeniami archaniołów, otoczony ubóstwem, rozkazując ptaszętom, opiekując się owieczkami, całując trędownych... Tysiące ludzi rzucało za jego przykładem zbroje, jedwabie, rozkosze, skarby, władzę i siłę, aby wołać wtórując mu

*O beata solitudo
Sola beatitudo!...*

Gdy Franciszek szedł na pustynię, Domingo z ognistym słowem, pies Boży z pochodnią w ustach, — biegł między niewiernych, męczeństwa chciwy... Dwóch tych ludzi co się wzajem dopełniali, spotkali się w jednym uścisku na drodze ku niebiosom...

Dawne zakony zjadło jak rdza bogactwo i rozpusta, dzieci Franciszka chciały nic nie mieć oprócz chleba jałmużny, dzieci Dominika chodziły we włosienicy i okrutne były dla samych siebie...

Iwo już dwu swych synowców oddał był Dominikowi, nie starczyło mu Cystersów, Norbertanów, starych zakonów które już siedziały na ziemi jego, pragnął nowych zapaśników, żądał nadewszystko aby mu przynieśli iskrę tego ognia miłości Bożej, który płonął za górami!

Trzeba mu było przysłać pokolenia wychować na dzieci tych ojców, dla których ziemia była tylko drogą do niebios...

Wprawdzie wiara chrześcijańska krzewiła się bujno i wszyscy niemal świeccy władcy byli gorliwymi synami Kościoła; wprawdzie Henryk Brodaty z małżonką żyli prawie klasztornym żywotem, ona z zakonnicami, on w kościele, Laskonogi sypał szczerą dłońią duchowieństwu, Płwacz szerokie nadawał ziemie i szersze jeszcze prawa, których się dla niego wyrzekął, Konrad brat Leszków, ścigał niemieckich zakonnych rycerzy — tego wszystkiego jednak dosyć nie było... Nieraz ci sami tak święci i pobożni książęta oporem swym Biskupom zmuszali ich aż do klątw. — Modlitwa nie broniła od chęci panowania wyłącznego, od wstrętu do dzielenia się władzą — duchowieństwo więc co panującym panować chciało, nie mogło ustać w pomnażaniu sił swoich...

Zakony i księża byli zapaśnikami do boju... Rozsadzano ich gęsto, aby tą siecią opasać wszystkie ziemie i co było rozszarpanego świeckimi prawami, Bożem prawem zjednoczyć.

W tej chwili ta walka duchowieństwa z ziemskimi potęgami u nas, zdawała się na korzyść pierwszego rozstrzygać. Rzym stał po nad korony i berła, rozrządzał niemi, i tam gdzie cesarska nie sięgała potęga, on był panem, którego prawu nikt nie śmiał zaprzeczać...

Z panujących na ziemiach polskich kto miał za sobą duchownych, sam tylko był pewien że się utrzyma.

Od Bolesława Szczodrego rosła moc Biskupów, pod metropolitalną władzą Arcybiskupa Gnieźnieńskiego skupiające się w jedną siłę... A przecież byli tacy jeszcze co jej stawili opór, co znosili klątwy i żyli z niemi, a znajdowali się kapłani co im mimo klątwy mszę odprawiali... i kościołów nie zamykali...

Trzeba więc było dalej wieść walkę zażartą z władzą świecką..., a duchowieństwo baczone oprócz własnych żołnierzy, miało po sobie wszędzie prawie możnych i rycerstwo, w którego obronie stawało...

Biskupi krakowscy straszni byli książętom, broniąc praw rycerstwa i stojąc za jego swobodami. Mieszko Stary przez nie się utrzymać nigdy nie mógł przy Krakowie, który czterokrotnie umiał pozyskać; przez nie panował Kazimierz Sprawiedliwy, ono wyniosło i trzymało Leszka.

Dzieje tych dni są jednym pasmem kościelnego boju, który wytwarza prawie bezwiednie swobody społeczne, i rozbudza miłość ich, nieustannym czuwaniem nad władzą książąt, — aby się ona nie wzmogła...

W pomoc tym usiłowaniom przychodzi duch wieku, który ziemskiem wszystkim wzgardzić każe i pomiatać. — Za przykładem świętych ascetów dwory książąt stają się klasztorami, księżne wkładają włosiennice, książęta zaprzysięgają czystość i zrzekają się potomstwa dla odziedzczenia nieba. Książęce córki zamiast ślubować królom, ślubują Oblubieńcowi niebieskiemu... Skarby wszystkie idą na ozłocenie ołtarzy, na zbogacenie świątyń...

W tej extazie tysięcy ludzi, wzgardzających ziemią, idących we włosiennicach, w biczowaniu, o głodzie — szturmem do nieba jest coś tak wielkiego i wspaniałego, tak poetycznie pięknego iż najchłodniejszy z ludzi nie może nań patrzeć obojętnie.

Gorącość ta ogarnia tłumy, małe kościoły na pomieszczenie pobożnych nie starczą, kazalnice stoją przyparte do murów aby tysiące słów Bożych słuchać mogły. — Jak niedawno dwunastoletni chłopcy rwali się z orężem na nieprzyjaciela, rycerskim owiani duchem, tak teraz dzieci przeistaczają się w ascetów...

Zapał jest powszechny, zaraźliwy, porywający...

Iwo ciągnie za sobą całą rodzinę, we włosiennicę odziewa swe bratanki, ogromne włóści oddaje klasztorom — wprawia w podziw szczodrobliwością swą królewską, w której nie zna miary...

Na chwilę blask tego apostołskiego żywota ćmi nawet stolicę metropolitalną i Gniezno gaśnie przy Krakowie...

Tu się jednoczą wszystkie usiłowania i plany, ztąd płyną rozkazy; tu stoi prawdziwy wódz całego ruchu.

Gdy Mszczuj zamknięty w izbie którą dlań przygotowano, dręczy się zmianą jaką zaszła w jego życiu i duchem buntuje przeciw bratu, który słowem umiał go zwyciężyć i rozkazaniem poprowadzić za sobą, — Biskup Iwo otoczony swojemi żołnierzami, niezmordowany, czynny, sprawy zaległe odprawia, aż dopóki godzina ostatnia nie zmusiła go iść do spoczynku, aby mszę jutrzejszą mógł odprawić...

Na zamku pańskim oczekiwano nań napróżno do późna, Iwo obiecał się ze mszą na Wawel, na jutro...

Tu pozorny spokój panuje, i dobra myśl... Leszek cieszy się synem, wszyscy jego nieprzyjaciele prawie pokonani, Henryk Ślązki z nim idzie, Konrad go potrzebuje, Laskonogi jest mu posłusznym, jeden wicherzyciel Odonicz, jeden krnąbrny Światopełk Pomorski, jego pomocnik burzą się bezsilni napróżno... Tych już nie orężem, ale postrachem samym łatwo będzie pokonać...

Leszek myśli tak i pewien jest że całe duchowieństwo w pomoc mu przyjdzie, aby krnąbrnych zmusić do posłuszeństwa...

Ze mszy świętej na Wawelu, którą Biskup sam odprawił, król, królowa i liczny dwór małą napelniający świątynię, — ciągnął do zabudowań zamkowych. — Ktoby się był przypatrywał mu zdała, a nie znał osób, łatwo by się mógł omylić szukając oczyma pana; nikli wszyscy, nawet ten co się nim zwał, przy poważnym, pierwsze miejsce zajmującym Pasterzu. Otaczali go z uszanowaniem, witano go z radością — był duszą tego dworu i głową tego książęcia.

Leszek syn Kazimierzów, jak ojciec miał oblicze łagodne i wesołe, trochę dumne, rycerskie, ale na czole jego nie widać było głębszej myśli, ani w oczach tej bystrości jaką miał ojciec. Nie odziedziczył też po nim tego zamilowania mądrości, tej żądzy prawd i wiedzy, jaką Kazimierz całe swe życie karmił. Na twarzy jasnej nie było troski, ale pragnienie spokoju, wiele dobroci i łagodności, jakby potrzeba opieki i silnego ramienia. Oczy nie

widziały daleko, umysł nie chciał sięgać w głębie ciemne. Leszek potrzebował ciszy, zgody, i małych rozrywek rycerskich, do których przywykł od dziecka... Zwyczajna Rusi pod Zawichostem, miał rycerską postać i na polu bitwy mężnym był do zapamiętałości, ale waśni nie wywoływał, ale zawsze przejednania pragnął. Jasnowłosa, niebieskooki, gładkiego lica rumianego, kwitnący zdrowiem, nie zdawał się czuć brzemienia panowania i starał zrzucić je z ramion.

W zgodzie być ze wszystkimi, jednać i łagodzić chciał, aby mu życie nie ciążyło.

Dlatego chętnie był Krakowa ustąpił Laskonogiemu, chętnie dał dział bratu, pojednał się ze Śluzakami, a i teraz pochlebiał sobie że Plwacza i Światopełka zmusi do układów i zgody... O brata na Mazowszu zupełnie był spokojnym — uśmiechała mu się przyszłość ta, którą prorocze oko Biskupa Iwona widziało chmurną i groźną, bo lepiej znał ludzi.

Obok pięknego Leszka, który pochylony nieco szedł przy Biskupie, jak dziecię przy ojcu, uśmiechając mu się — postępowała strojna i wdzięczna żona jego Grzymisława, na której czole niewieścim spokój i wesele mężowskie się odbijało. — Na twarzach dworu Leszkowego, choć widać było chęć wtórowania panu, niektóre z nich, starszych zwłaszcza były posępne — zrezygnowane, zadumane...

I Biskup też dnia tego po wieczornych i rannych rozmowach z duchownymi, z troską jakąś wszedł na zamek. Głęboko przejęty odprawiał mszę świętą, zdała się go razić ta wesołość nieopatrzna; lecz w pierwszej chwili zatruwać jej nie chciał...

Zaledwie wszedłszy w podwórze zamkowe, Leszek po kilku pytaniach o podróży Biskupowi rzuconych, zmienił obrót rozmowy, i zaczął o pięknym czasie do łowów, do których się przysposabiał...

— Gdybym na was, ojczy mój, nie czekał, — rzekł obracając się ku niemu, — jużbym był ruszył w lasy — alem rękę waszą chciał ucałować i Kraków, a sprawy na których wy się lepiej niż ja rozumiecie, pod waszą opieką zostawić.

— Piękna to i miła rycerska zabawa te łowy, — odrzekł Biskup, — ale miłościwiu panie, na waszych ramionach dużo leży, wiele biednych się na was ogląda...

Ja sądzę że gdy tyle spraw zalega, znowu *Colloquium* było potrzebne, lub w krakowskim albo w sandomirskim...

W *Colloquium* zastąpić mnie *Comesami* i przedniejszym rycerstwem — rzekł Leszek, — sędzia mój nadworny, podsędek, kanclerz... Jam chyba tam na to potrzebny ażebym miejsce zajął poczystne... A czyż są sprawy tak pilne?

— Znajdą się zawsze byle wiec był zwołany — odparł Biskup...

Leszek westchnął.

— Ludzie bo, — dodał, — spokojnie żyć nigdy nie mogą.

— Są ludźmi! — westchnął Biskup.

— Sądzić sprawy! — dorzucił książę, — sądzić sprawy, naówczas gdy taka jesień śliczna do lasu woła; gdy skwary letnie przeszły a zima ciężka jeszcze daleko... Prawda ojczy mój — panowanie jest niewolą zarazem — i — jak powiadają, im wyżej kto siedzi tem mocniej się poci...

U drzwi zamkowych księżna uśmiechem wdzięcznym pożegnała Biskupa, spieszyła do Bolka swego, którym się oboje tak cieszyli jak pierworodnym i jedynym.

— Zobaczysz dziecię i pobłogosławisz, ojczy nasz, — rzekł książę, — rośnie w oczach, a rozumny jest iż zdumiewa wszystkich!

— Niech rośnie na pociechę naszą — odparł Biskup nieco roztargniony...

Leszek ciągle wesoło zagadując wprowadzał Iwona do wielkiej izby gościnnej, gdy ten zatrzymał się w progu i szepnął.

— Miłościwiu książę, radbym z wami, kanclerzem Mikołajem i Markiem Wojewodą, trochę pomówił na osobności, lepiej nam będzie w komorze waszej niż tu, gdzie nas łąco niespodzianie kto zająć może...

Dwór właśnie tłumnie napływał do izby, Leszkowe oblicze sposepniało, znać było że mu ta na osobności rozmowa mięszała szyki, mąciła spokój, że radby ją był bodaj odłożył — lecz z Iwonem gdy co rzekł, — opór był trudny...

Tuż za niemi szli ci powołani przez niego, stary Mikołaj Repczol kanclerz, w czarnej sukni duchownego, z bladą twarzą wielkimi pofałdowaną marszczkami, mąż silnej budowy na oko, lecz zmuszony na kiju się opierać. Twarz jego może skutkiem cier-

pień wewnętrznych więcej jeszcze troski i zadumy wyrażała niż Biskupia. Iwo też większą pewnie miał wiarę w przyszłość nad niego. Drugim był Marek Wojewoda mąż też lat już podeszłych, ale rycerskiej postawy, którego oczy niespokojne do czuwania nawykłe, biegły badając zarazem twarz Iwona i Leszka... Z nich dwu większą i pilniejszą uwagę zdawał się zwracać na Pasterza. Wszyscy tu tak mu ulegali jak sam książę.

Leszek też zmusił się zaraz do przybrania łagodnego wyrazu i z pośpiechem zwrócił się ku komorze swej, którą na znak pański stojące u drzwi otwarło pachole... Było to najmiłsze schronienie pana, izba w której tylko pożądanym a poufałym przyjmował gości. — Z niej naturę i charakter księcia poznać mógł każdy łatwo... Ścian prawie w niej widać nie było tak zawieszono ją całą rozmaitego rodzaju bronią myśliwską i rycerską, w której Leszek się kochał.

Był w tem ład pewien i zamilowanie widoczne... Szeregiem stały zbroje lżejsze i cięższe, wschodnie i włoskie, niemieckie i starodawne z blach i naszywanych łusk składane. Rzędami stały hełmy od dawnych ciężkich i mniej kształtnych, do tych które teraz zdobyto rogami, skrzydły i postaciami zwierząt złożonemi i malowanemi...

Świeciły pasy rycerskie drogiemi kamieniami i emalią, wisiały przy nich miecze, mieczyki, pugiwały, noże myśliwskie; dalej oszczepy kute, włócznie, siekierki bojowe, buzdygany z przywieszonemi na łańcuchach kulami, najeżonemi ostrami strzały, łuki sadzone, kolczany, tarcze...

Cała jedna połać świeciła większemi i mniejszemi szczytami, z wizerunkami lwów, orłów, gryfów, a w pośrodku na jednej misternie wyrzeźbiony i pomalowany był rycerz jadący konno, który niedźwiedzia rzucającego się nań oszczepem uderza. Taki sam wizerunek jak na tej tarczy chciał Leszek mieć na swej książęcej pieczęci...

Podłoga pańskiej komory cała była grubo wysłana skórami zwierząt, ubitych ręką pana. Chlubił się on tem że, dwie komnaty zasłał tym łupem łowów, wśród którego i pamiętny niedźwiedź leżał, co już konia Leszkowego pochwycił był łapami, gdy mu cios zadał śmiertelny...

Izba ta wprawdzie najmiłszą była książęciu, ale do poważnej narady najniebezpieczniejszą, Biskup wiedział o tem z doświadczenia, bo ilekroć tu się odbywały obrady, Leszek je zawsze przerywał, mówiąc o swych zbrojach, orężu i czynach łowieckich. Jak myśliwy, jak rycerz lubiał o tem rozprawiać, a najmiłszemi mu byli ci co słuchali go chętnie i podziwiali zręczność jego, której zresztą nikt nie mógł zaprzeczyć.

Iwonowi wskazawszy miejsce na wysłanem krześle, książę sam stanął naprzeciw niego, a za nim sparty na kiju swem kanclerz i w bok ujmujący się Wojewoda.

Lice Leszkowe znowu jakby błagając o litość Biskupa, uśmiechało się do niego, z Iwona uśmiechu wywołać nie mogąc. Widać było że książę nic się zbyt ważnego nie spodziewając w rozmowie, krótko ją sobie zbyć życzył.

Spojrząwszy na Biskupa, który się zadumał, myśląc od czego pocznie — Leszek też zachmurzył się.

— Mam to nieszczęście — odezwał się Iwo, — zem ja zawsze prawie przeznaczony być dla miłości waszej, zły wróżby ptakiem...

— Owszem, — odparł Leszek żywo — wy mi jesteście najlepszym opiekunem i ojcem...

— Ale z miłości i troskliwości ku wam — zawsze złe wieści przynoszę...

— Czyż złe? ojcie mój? — spytał książę ręce składając...

— Życie wszelakie twardem jest, a samiście rzekli, — odezwał się Biskup, — im kto wyżej siedzi.

— Radźmy więc na to złe — żywo rzekł Leszek, — radźmy aby je usunąć. — Lecz wy, ojcie mój drogi — dodał, — wy z tej ojcowskiej waszej pieczołowitości nademną, często może więcej widzicie złego niżeli jest... Ja radbym i w zło i w złych co je sprawiają nie wierzyć...

— Przecież, miłościwy panie, — westchnął Iwo, — dopuszcza Bóg zło aby było do brego probierzem...

Nastąpiła milczenia chwila.

— Sam będąc dobrym, — dołożył Iwo, — nie chcesz, miłościwy panie, wierzyć w ludzką przewrotność.

— Lecz, o kim mówicie? — nagle i spiesząc aby prędzej się uwolnić — zawołał książę.

— Zaczniemy od Odonicza — odezwał się Biskup, — ze złych pono ten najgorszy, jeśli pierwszeństwa nie trzeba jeszcze przed nim dać szwagrowi jego Światopełkowi. Odonicz chciwy jest panowania jak dziad jego Mieszko, ma jego żądze i upór żelazny i przykład jego przed sobą — ale stokroć winniejszy Światopełk, który waszą i ojca waszego łaską na wielkorządcę Pomorza wyznaczony, chce je nieprawie i niewdzięcznie zagarnąć i oderwać...

— Ah! — zawołał Leszek — Światopełk ma butną Jaksów krew w sobie, — to prawda, lecz któż wie czy Odonicz jego czy on Odonicza podburza i szczwa... Oba oni razem nie zdają mi się niebezpiecznymi...

— Miłościwy panie — przerwał grubym, ponurym głosem kanclerz Mikołaj — lękam się aby do nich dwu jeszcze kogoś trzeciego nie potrzeba przyłączyć do rejestru nieprzyjaciół twych...

Leszek odwrócił się ku niemu, zmarszczony, z wymówką w twarzy, niemal z groźbą do której nie był nawykły. Kanclerz skłonił głowę i zamilkł.

— I jabym był tego zdania że Światopełk z Odoniczem nie mieliby odwagi — dodał Biskup, — gdyby nie oglądali się na kogoś, czyjego imię wymówić nawet usta się wzdrygają.

Leszek drgnął cały, podniósł głowę obrażony, i zdawał się na chwilę krótką nawet poszanowania należnego Biskupowi zapominać.

— Ojczcie! — zawołał. — Krwawicie mi serce! a krwawicie je napróżno! Domyślam się kogo mi jako nieprzyjaciela wskazać chcecie. Ale nie! nie! nie chcę temu uwierzyć, nie uwierzę i gdybym miał się omylić, gdybym miał omyłki paść ofiarą, wolę zginąć niż posadzić — brata... Jednej matki dzieci — my...

— Jesteście różni jako Abel i Kain — odezwał się Iwo z siłą wielką. — Wspomnij książę młodość! Byliście kiedy podobni do siebie? Wy miłością jesteście, srogością tamten; wy dobrocią, on okrucieństwem, wyście władzy niechciwi, on panowania żądny...

Leszek słuchał z głową spuszczoną, chmurny, lecz nieprzekonany.

— Konrad tak złym nie jest, jak się — obawiacie, — rzekł. — Gorętszym odemnie jest Bóg mu dał więcej siły, więcej też pragnień, lecz w sercu jego...

To mówiąc okiem rzucił po przytomnych, wszyscy dziwnie niedowierzająco, niemal z politowaniem słuchali. Leszek zatrzymał się na chwilę i dokończył.

— Konrada zostawmy w pokoju.

Marek westchnął, Iwo spojrział na kanclerza — umilkli.

— Mam złe poszlaki — odezwał się po długim przestanku Biskup — potrzeba czuwać przynajmniej, wiedzieć, badać, aby nas nie pochwyliło niebezpieczeństwo nieprzygotowanych...

— Odonicz — przerwał nagle Leszek, — walczył z Laskonogim raczej niż zemną, wszystko się skończy, gdy ich podzielim i pojednamy...

— A jestże sposób pojednania ich gdy jeden wszystko chce posiąść i wydrzeć drugiemu? — zapytał Biskup.

— Przypomnijcie sobie — odezwał się Leszek łagodnie, — ową wyprawę Henryka Wrocławskiego na mnie, gdy on też chciał mi odebrać Kraków, chciał wydzierać i z wojskiem stał nad Dłubnią. — Krew się już łać miała, przecież pobożny, święty Henryk mój, usłuchał rady, dał się przekonać, zażegnaliście tę burzę... i uścisnęliśmy się jak bracia, zamiast wojować jak wrogowie.

— Rzekliście — odparł Biskup — Henryk był pobożnym i świętym, dlatego słów zgody usłuchał, a Plwacz nim nie jest... a Światopełk zdrajca, wie że zgody z nim być nie może!!

Usłyszawszy to zachmurzył się Leszek i usta mu się ścięły.

— Radźcie więc wy — zawołał z rozpaczą jakiś — jam ślepy i nieudolny — radźcie!

— Ani ślepi, ani nieudolni nie jesteście — przerwał Biskup do uścisku ręce podnosząc — ale dobrzy do zbytku, a oną dobroć znając źli z niej korzystają!!

Znowu się rozmowa przerywała, wszyscy spoglądali na Leszka, który mimo łagodności, nie ustępował ze swych przekonań...

— Radźcie, — rzekł z rozrzewnieniem jakimś powolnie książę — ja wam tylko jedno przypomnę, że oto, dzięki opiece Bożej, ja z mą ślepotą i nieudolnością gdym już wydziedziczonym był przez Laskonogiego, panuję, gdym przez Henryka wypędzonym być miał — siedzę na stolicy mojej. — Dzieckiem wyganiał mnie nieboszczyk stryj tylekroć, Opatrzność mi zwracała co on wydzierał — i oto w spokoju i błogosławieństwie rządząc i panując... Opatrzności też tej tak zawierzam, iż gdybym wrogami otoczonym być miał, nie zleknie się — i w spokoju losu mojego oczekiwać będę.

— Jeżeli tak — odparł zwolna Iwo powstając — cóż my czynić mamy? Ja tej ufności w bezpieczeństwo nie dzielę, choć Opatrzności wierzę... My nad wami czuwać musimy!

Leszek jakby się ciężaru zbył, zbliżył się do Biskupa prędko i rękę jego ucałował.

— Radźcie, — rzekł — czyńcie co uznacie słusznem, ja się zastosuję do światłej rady waszej...

W tejże chwili zwrócił się do Marka Wojewody...

— Miły mój — tarcz tych ciężkich, obładowujących zbytnio żołnierzy naszych, czasby zaniechać. — Nie wiem czym wam pokazywał niemieckie nowe, jak przedziwnie lekkie są.

To mówiąc książę zwrócił się do rzędem wiszących na ścianie szczytów. Marek Wojewoda ruszył ramionami...

Biskup powstał z siedzenia...

— Mówicie o zbroi — ja zaś muszę do spraw moich...

Książę pospieszył go żegnać, i rad że się ciężkiego pozbył sporu, z wielką uprzejmością odprowadził Iwona, aż za próg dworu. Tu odebrawszy błogosławieństwo i widząc że Marka Wojewodę zabierał mu od tarczy Biskup, zwrócił się wracając do młodego Pakosza, ulubieńca swojego, skinąwszy nań aby szedł z nim do zbrojowni...

A tu się wnet o broni nowej, i o łowach żywe się rozpoczęły rozprawy.

— Święty człek nasz Biskup Iwo, — odezwał się do Pakosza — ale na rycerskich sprawach całę się nie rozumie... i z nim o niczem mówić nie można, chyba o takich świętych jak on i o tych których on chce nawracać, aby też świętymi byli.

Kocham go jak ojca! ale smutny jest jak noc, i z sobą mi przynosi zawsze gorycz jakąś...

Pakosz głową potwierdzał co pan mówił, nie śmiejąc słowami. I poczęto mówić o lekkich tarczach...

VI

W kilka dni potem wieść się po Krakowie rozeszła, która na dworze Leszkowym, na dwa obozy podzielonym, wielkie wrażenie uczyniła.

Rzypowiadano o tem jako Biskup brata swojego, od dawna zapomnianego, który od lat wielu na wsi się zagrzebał i wyrzekł był świata, gwałtem wyrwał z pustelni i przywiózł do Krakowa, nakazując mu tu ze znacznym dworem stać na straży przy sobie.

Znano starego Waligórę tylko z powieści jakie o nim chodziły w tych czasach, gdy mu dano to jego przezwisko. Wiedzano iż pan był możny, że Niemców miał w ohydzie, siłę olbrzymią a wolę żelazną.

Wnosili więc wszyscy, iż znowu przygasła na czas wojna między Jaksami a Odrowążami wybuchnąc groziła, gdy tego pomocnika ściągać Biskup potrzebował. Waśń tych dwóch możliwych rodów stara już była i nie od dziś dnia się poczyniła.

Jaksowie sobie rościli prawa wielkie krwi swej i rodowi należne, pochodzenie wiodąc od kneziów jakichś, a sięgając aż do Pepeków... i Leszków prastarych. Nie rzadko słyszeć ich było można z tem się odzywających że nim Piastowie przyszli do panowania, oni już je w rękach dzierżyli.

Odrowążowie, choć starzy w sandomirskiej ziemi jak ona, choć mnogimi majątnościami władający, nie wiedli się z tak wysoka. Ale oni rośli właśnie, gdy Jaksowie maleli. Jeden tylko stary Mszczuj dobił się był wielkorządów na Pomorzu, które potem na syna Światopełka wyprosił, a drugi powinowaty mu Marek krakowski był Wojewodą. Na nich dwu reszta się opierała.

Iwo Odrowąż który miał oko prorocze, z niedowierzaniem patrzył na ród pragnący panowania i roszcący sobie jakieś do niego prawa. Nawzajem Jaksowie czuli w nim nieprzyjaciela stojącego im na zawadzie...

Syn Marka Wojewody czasu jednego był wyprawiony z innemi Jaksami i Odrowążami społem na straż od pruskiej granicy. Szli z nim Dzierżek i Budzisław powinowaci Biskupa. Za podmową Jana Jaksy, który nienawistnych sobie Odrowążów chciał na rzeź wydać, pierzchnęli naówczas z częścią wojsk, i byli przyczyną że Dzierżek syn Abrahama i Budzisław Izasławów, wraz z wielą innemi schwyceni przez pogan, życiem zdradę tę przypłacili.

Naówczas Iwo Biskup, krwi swej przelanej mszcząc się, wymógł na Leszku iż winnych, Jana z towarzyszami sromotnie z majątności i urzędów powyrzucano...

Marek Wojewoda krakowski mszcząc się za syna i powinowatych, uknuł naówczas spiszek we Wrocławiu z Henrykiem Brodatym i wyciągnął go na Kraków i na Leszka.

Zagrożony książę wezwał na pomoc brata, wojska z obu stron spotkały się nad Dłubnią, lecz pobożnego Henryka duchowieństwo, a na czele jego Iwon skłonił do zgody. Ślżak przypomniał sobie radę żony, aby cudzego nie pragnąć, nastąpiło przejednanie uroczyste i gody...

Markowi Wojewodzie Leszek zawsze łagodny i wspaniałomyślny przebaczył, innym Jaksom pofolgowano — nastąpiło przejednanie, albo raczej zawieszenie broni.

Lecz ani Iwo od nich mógł być bezpiecznym, ani oni mu dowierzali. Ogień tłał pod popiołem.

Pozorna zgoda kryła tajemne knowania. Marek Wojewoda służył Leszkowi przed biskupem wszechwładnym skłaniał głowę, mówił że uraz dawnych nie pamiętał, lecz w duszy Światopelkowi powinowatemu życzył dobrze, i kto wie jakie roił w przyszłości odmiany. Poszlakować go było trudno, zawierzyć mu niebezpiecznie.

Pod samym bokiem Biskupa miał Wojewoda syna mistrza Andrzeja kanonikiem. Temu już zawczasu infułę krakowską przeznaczono, a choć uczony i pobożny mąż nie rad był może przeciw Pasterzowi swemu występować, choć z pokorą był dla niego, — nie mógł i ten o swoich zapomnieć, a wpływem ojca i brata się opierać.

Wojewoda Marek, jakęśmy widzieli, wzywany był do rady, Iwo przy nim mówił otwarcie o Światopelku, za którego on ujmować się nie myślał, — lecz w sercu co się działo, Bóg jeden wiedział a Biskup zgadywał.

Musiał się więc mieć na bacznosci, jeżeli nie dla siebie, to dla pana swego, któremu groziły niechęci skryte i przywiązanie kłamane.

Zjawienie się Waligóry w Krakowie, zaniepokoiło Jaksów.

Wiedzano że baczny a rozumny Biskup napróżno nic nie czynił i brata potrzebował musiał, gdy go tu ściągnął. Obawiano się też aby mu jakiego znacznego przy księciu nie powierzono urzędu, przez który wpływ Odrowążów wzmógłby się jeszcze.

Lecz nie słyhać było aby Waligóra stawił się na dworze pańskim, spostrzegano tylko że ludzi ściągał, czeladź zbierał, i na dobre się tu rozgaszczał. Tęgoż dnia po rannej radzie, która spelzła na niczem, po krótkiej rozmowie z Biskupem, Marek Wojewoda zaszepiony i niespokojny wrócił na swój dworzec — pod zamkiem.

Wawel na którym mieszkał książę, dom biskupi po nim, wreszcie wojewodziński, stanowiły naówczas trzy ogniska, trzy siły, od których zależały kraju losy. — Na grodzie książęcym walczyły z sobą dwa wpływy: Biskupa który Leszkowi był radą i ojcem duchownym, i Marka Wojewody, nie śmiało ale zręcznie starającego się krzyżować zamysły pobożnego Biskupa. Ilekroć Iwo stanowczo żądał czegoś, Wojewoda ulegał, nie występował przeciwko niemu otwarcie, potajemnie zawsze prawie idąc w przeciwnym kierunku.

Po otrzymaniu przebaczenia za zbieżenie do Wrocławia i przerzucenie się na stronę Henryka, Wojewoda musiał być ostrożnym. Z Leszkiem szło mu łatwo, bo ten chciał zapomnieć urazy i zawierzał ochotnie, ale Biskupa wystrzegać się musiał...

Zaledwie przybywszy do domu, którego podwórca i izby zawsze pełne były rycerstwa i zaciężnych żołnierzy, hałasu i wrzawy, Wojewoda posłał po syna mistrza Andrzeja, mieszkającego przy Biskupie; — sam zaś wyszedł do dworzaczek oczekujących nań, starając się troskę ukryć, udając wesołość i myśl swobodną.

Dwór wojewody był tak prawie liczny jak książęcy i na wzór jego złożony. Ochmistrz, komornicy, kanclerz, dwóch kapelanów, koniuszy, podczasy, skarbnik, młodzież dorodna do posług rycerskich nie odstępowała nigdy starego hetmana. Z małymi wyjątkami była to gromadka lub z Jaksów, Jaksyców, ich powinowatych, albo z przyjaciół rodu złożona.

W nadziei osadzenia kiedyś na katedrze biskupiej syna, Marek posyłał go za granicę dla nauki, uczynił go kapłanem, postarał się dlań o kanonię krakowską — i — czekał na spadek po Iwonie.

Lecz, nie zupełnie był rad ze swego syna. Andrzej do serca wziął powołanie, a obcując z pobożnym Iwonem, powziął dlań cześć wielką i nie chętnie dawał się ojcu używać za jego planów narzędzie.

Mistrz Andrzej posłusznym był rodzicielskiej władzy, jak na bogobojne dziecię przestało, zawsze gotów do obrony rodziny, lecz — niechętnie posług tajemnych się podejmował i przeciw Pasterzowi coś czynił.

Był to człowiek młody jeszcze, postawy któraby więcej przystała rycerzowi niż księdzu, ale twarz jego, na której nigdy prawie uśmiech nie zawitał, onieśmielała i budziła nawet w ojcu niepokój. Zdawał się oczyma bystreimi przenikać na wylot człowieka, czytać w duszy — a namarszczone brwi i usta dumne mówiły że co wyczyta tego nie przebaczy.

Prędzej niż się Wojewoda spodziewał, mistrz Andrzej, którego posłany na drogę spotkał, zjawił się na dworcu, z wielkim uszanowaniem witany. Ojciec czekał nań w swej izbie sypialnej, bo chciał się rozmówić sam na sam.

Zastał go syn głaszczącego ogromnego starego psa ulubieńca, który już na nic się nie zdał, bo stracił węch i słuch, lecz Marek trzymał go jako wysłużonego...

Na widok syna powstał Wojewoda, a takie było poszanowanie dla duchownych, iż go przyjął jakby obcego i w rękę się nie dał pocałować. Posadził go zaraz przy sobie, pytając czyby pić lub jeść nie chciał.

Postem się wymówił mistrz Andrzej. Ojciec wesołą przybrał postawę.

Zdradził się tylko pytaniem za pospiesznem z troską swoją.

— Biskup powrócił! — wyrwało mu się.

Syn spojrział nań bystro, spuścił oczy...

— Tak jest — odparł krótko.

— Nie wiem gdzie bywał, — rzekł po chwili Wojewoda — ale znowu pełne rękawy strachu przywiózł, aby księciu nie dać nigdy spoczynku.

— Nic nie wiem — odezwał się syn obojętnie.

— Cóż? kryje się przed wami? nie zwierza? — dodał szybko Marek. — Można się tego spodziewać. Odrowąż zawsze Odrowążem, gdy Jaksę Gryfa zobaczy przed sobą!! Ani my ich ni oni nas zapomnieć nie mogą!!

— O sprawach świeckich nie mówimy nigdy, — odparł syn — a w rzeczach Kościoła Biskup Iwo jest dla mnie ojcem łaskawym i uskarżać się nań nie mogę...

— Tyś zawsze rad wszystkiemu, — począł żywo Wojewoda. — Ale właśnie to dowodzi że nam i tobie nie dowierza, iż z tobą o sprawach świeckich nie mówi...

— Jam się do nich nie rad mieszać — rzekł Andrzej ciągle spokojnie.

— A przecie powinieś — stanowczo i z naciskiem podchwycił Marek. — Wiadomo to wszystkim że masz kiedyś zastąpić Biskupa Iwona na tej stolicy. Patrzajże czy on zaniedbuje sprawy świeckie? Wcześniej się do nich gotować potrzeba.

— Ojciec miły — przebaknęła oczy spuszczać Andrzej, — wcale to jeszcze niepewna komu Pan Bóg przeznaczył zastąpić Biskupa Iwona. Ja się tego nie czuję godnym, a kapituła krakowska wybierać będzie sama i narzucić nie da Pasterza.

Uśmiechnął się Wojewoda.

— Z kapitułą potrafiemy się porozumieć, — rzekł cicho...

Rumieniec jakiegoś wstydu wystąpił na lice mistrza Andrzeja, lecz przez poszanowanie dla ojca wstrzymał się od odpowiedzi.

— Biskup z sobą przyciągnął brata — rzekł Marek zmieniając rozmowę. — Znałem go niegdyś, gwałtownym był, siłaczem wielkim... ale wicherzył zawsze... Pokoju z nim nikt nie miał, osiadł był gdzieś na śląskiej granicy i długo go tu słyhać nie było, po cóż teraz go zwolali?

— Nie wiem! — odparł Andrzej.

Zzymnął się Marek — namarszczyła mu się brew...

— Mówmy otwarcie — rzekł głos niższy i stając przed synem. — Czuje to dusza moja że nam Jaksom znowu niebezpieczeństwo zagraża. Iwo jest mściwy.

Mistrz Andrzej wstał z siedzenia i złożył w krzyż ręce na piersiach.

— Ojcie miły, przebaczenie, Iwo mściwym nie jest!

To zaprzeczenie wzruszyło Wojewodę, który zdał się chcieć wybuchnąć, i powstrzymał.

— Nie znasz go! — zamruczał.

— Ojcie drogi — obcuje z nim codziennie, mąż jest Chrystusów, człowiek święty... a zemsta jest niechrześcijańską i zabronioną zakonem...

Wojewoda popatrzył na syna z politowaniem i wyrzekając się sporu, zamilkł...

— Światopełk jest naszym powinowatym, — począł zwolna, — jeden ród, jedna krew. Kole ich to w oczy że na Pomorzu władą, chcieliby go wygnać, pomawiają o zdradę, czynią go współnikiem Płwacza...

— Płwacz się z jego siostrą Helingą ożenił — szepnął Andrzej.

Cała ta rozmowa tak widocznie dolegała mistrzowi Andrzejowi, odpowiadającemu z musu, pół słowami, iż ojciec widząc że go wciągnąć nie potrafi w nią, zamilkł i nagle spytał.

— Cóż ten Waligóra tu zamyśla?

— Chociażbym rad coś o tem powiedzieć — odezwał się Andrzej, — nie wiem nic cale. Zdaje się że Biskup go chce mieć przy sobie.

— I użyć do swych zamiarów! — przerwał Wojewoda — i pewnie go przy Leszku umieścić, aby na straży stał gdy Biskup sam nie może.

Któż wie, Iwo gotów mu kasztelanię krakowską dać, lub mnie gdzie odegnać, aby go na mojem miejscu posadzić. Mnie on nie wierzy!

Andrzej spojrział w tej chwili na ojca takim wzrokiem, że stary się zasromił i pogniwał. Słów mu zabrakło.

— Tyś bo się tak księdzem stał iż Jaksą być przestałeś! — zawołał. — Suknia ta cię przestoczyła. — Na mnicha mi patrzysz, a tegom ja z ciebie mieć nie chciał...

Andrzej wstał z siedzenia i poszedł uściskać ojca. Surowa twarz jego, drgała jakimś uczuciem.

— Mój ojcie, — odezwał się potrząsając suknią czarną — myśmy rycerstwo Chrystusowe, a tak jak rycerz wdziwając zbroję o wszystkim musi zapomnieć, by w oręż swój włożyć duszę, i my, tem więcej — dla zbroi naszej świata zabywać musimy...

— Mnichem przecież nie jesteś!

— Ale też same mam śluby i obowiązki — rzekł Andrzej.

— Nim je przyjąłeś miałeś inne dla rodu i ojca — zawołał Marek.

— Tych się wyrzekłem gdy postrzyżony zostałem! — westchnął mistrz Andrzej.

Wyraz twarzy ojca świadczył o tem że i przekonany nie był, i nie rad całemu sporowi z synem. Westchnął, poszedł do okna, psa cisnącego się odpędził.

— Nie mamy więc co mówić z sobą! — dodał...

Zapukano w tem do drzwi, oba spojrzeli, ostrożnie je odchylając wszedł mąż, starszy latami od Andrzeja, podobny do niego, a więcej jeszcze do Wojewody, z twarzą pooraną fałdami przedwczesnymi, namiętą, srogą, z oczyma które z pod brwi gęstych ze zwierzęcym lśniły wyrazem.

Był to ów Jan, — zwany w rodzinie Jaszkiem, niegdyś pierwsza przyczyna walki z Odrowążami, ten co ich na rzeź wydał na pruskiej granicy... ukarany odebraniem rycerskiego pasa i wygnaniem. Schronił się on był do Czech, które wówczas dla wszystkich niemal zbiegów z Polski były przytułkiem, a po dwóch latach tajemnie powrócił. Dobry Leszek choć wiedział o tem, przebaczywszy ojcu, syna nękać nie chciał. Patrzano przez szpary że na dworze ojca przebywał, nie czyniono mu nic, lecz i do łask nie powrócono. W obawie od Odrowążów Jaszko ciągle pod ramieniem ojca i poza nim się tulił.

Życie to obrzydło mu, pałał więc nienawiścią największą do Biskupa, do rodziny, i ojcu za jego powolność ciągle czynił wyrzuty. Wojewoda miał doń słabość, jako do swego pierworodnego.

Na widok wchodzącego Jaszka, mistrz Andrzej powstał aby brata idąc ku niemu uści-
snać, — lecz ten zimno go głową pozdrowił i prawie niechętnie powitał niewyraźnymi
słowy.

Zwrócił się ku Ojcu.

— Nie wiedziałem o Andrzeju — odezwał się — dziw że nas chciał odwiedzić, tak
sercem do Odrowążów przylgnął.

Ruszył ramionami. Andrzej dotknięty oblókł się swą powagą duchowną, popatrzył,
nie odpowiedział.

— Nie szkodzi że pan brat tu — dodał Jaszko — tajemnic przed nim nie powinniśmy
mieć, nie doszedł może do tego jeszcze aby swoich zdradzał dla obcych.

— Bracie! — odezwał się surowo Andrzej.

Ojciec dał znak Jaszкови, na który on nie wiele zważać się zdawał.

— Tak — dodał gniewnie prawie — kto nie z nami ten jest przeciw nas.

— Naprzód z Bogiem być muszę, — odparł miarkując się mistrz Andrzej.

Nie zważając już na brata, z wielką gwałtownością rozpoczął Jaszko.

— Dość mam tego życia sromotnego, — zawołał. — Kryć się muszę jak złoczyńca,
wdziać mi zbroi nie wolno. — Lada urwisz Odrzywąs może mnie jak zbiega pochwycić
i wydać... Już mi się to psie życie uprzykrzyło!

Marek przerwał mu surowo.

— Dziękuj Bogu że cię ocalił! Czego ci się zachciewa? oszalałeś.

Oczywiście wskazał mu na drugiego syna, lecz Jaszko nań wcale nie zważał.

— Jadę ztąd precz! — rzekł stanowczo...

— Dokąd? — spytał ojciec...

Nim Jaszko miał czas odpowiedzieć, mistrz Andrzej wstał do pożegnania ojca.

— Idziesz już? — rzekł z wymówką Wojewoda.

— Mam moje godziny kapłańskie — odparł zimno Andrzej...

Jaszko się dziko uśmiechnął przez ramię nań spojrzawszy. Księdzu pilno odejść było,
zdala skłonił się bratu, który się zwrócił i krzyż za nim zrobił w powietrzu.

Gdy Andrzej odszedł, Wojewoda z niechęcią i wyrzutem spojrzął na syna.

— Pamiętaj, — zawołał wskazując na drzwi, — ten cię jeszcze kiedyś bronić i ratować
będzie musiał, gdy ty szaleństwem swym znowu popadniesz w jaką jamę.

Wzgardliwie poruszył się na to Jaszko.

— Bóg da że ja go potrzebować nie będę — rzekł.

— Dobrze zrobił, — dodał, — iż poszedł kapłańskie pacierze odmawiać, bo lepiej
żeby tego nie słuchał, co ja mam powiedzieć.

Obmierzło mi to siedzenie za piecem, — ruszam lub jutro albo dziś do Odonicza, do
Światopelka, gdzie oczy poniosą, do pierwszego lepszego który będzie przeciw Leszkowi
stawał.

Wojewoda wybuchnął, pięści zaciskając.

— Ty! jakiś! niewdzięczny! — krzyknął, — pójdziesz po to abyś na mnie ściągnął
podejrzeń nowe, że ja zdrajcą! żeby mi starą głowę zdjęto, albo precz wyżeniono! Ty!!

Jaszko nic się nie zmięszwał występem ojca gwałtownym, do podobnych będąc może
nawykły, słuchał go niemal z lekceważeniem.

— Ojciec nie stanie ci się nic, jamci przecie wolny jak ptak, wedle niemieckiego słowa.
— Pójdę na stracone imię.

— Pójdziesz odemnie, z mojego domu — krzyczał Marek. — Wszyscy tu o tobie
wiedzą, pomówią że cię posłał. Siedź! głupcze, przyjdzie na cię czas.

— Kiedy?? Leszkaście tak mocno posadzili że on tu wiekować będzie, a póki jego tu
i Iwona, dla mnie miejsca nie ma.

Leszka mi potrzeba won wyrzucić, albo lepiej — boć oni wracają wygnani.

Pokazał na szyję, jakby ją rznął. Marek uderzył go po rękę.

— Milcz! — zawołał.

Zadumał się powiedziawszy to i stanął jakby nim nagle owładnęła niepewność. Jaszko
bystry skorzystał z tego mgnienia oka — i począł gorąco.

— Ty, ja, my wszyscy ile nas jest, przepadniemy czekając czegoś lepszego. Kto chce co mieć, robić musi... Odonicz i Światopełk robią a my czekamy i doczekamy się że nam głowy pobiorą... Na Leszka trzeba nasadzić wszystkich...

— Laskonogi nie pójdzie, dosyć ma do czynienia z Odoniczem, — odezwał się cicho stary.

— A Konrad? — podchwycił śmiejąc się chytrze Jaszko — myślicie że ten nie radby żeby mu uprzątnięto Leszka? Eh! eh! nie ruszy się może nań, ale i za niego nie ujmie...

A Henryk ów pobożny. —

— Z nim mi daj pokój — daj pokój! — przerwał Marek. — Ten żony słucha, a żona mu włosienicę rychlej da włożyć niż koronę. Razem mu zaufał i miałem tego dosyć. — To — baba...

— Obejdziemy się bez niego — szepnął Jaszko kusiciel widząc że ojciec uległ jego nagabaniu.

— Pójdzie z Leszkiem — dodał ojciec.

— Nie straszny on i jego Ślązacy — począł żwawiej coraz Jaszko. — Tam w domu mają co robić, bo się bracia jedzą...

Przerwał nagle i do ucha podchodząc ojcowskiego, jakby już sprawę miał za wygraną, począł sypać prędko.

— Powiecie żem krnąbny, nieposłuszny, uciekł. — Wam nic nie zrobią. Ja muszę do Odonicza, do Światopełka — ja się tam zdam.

— A jak złapią was!

— Zjedzą licho, — krzyknął Jaszko. — Odonicz w mniszey sukni uciekał, ja i tej nie włożę. — Lada opończa starczy! Znam drogi, wiem przechody! Możecie się mnie wypierać — a ja jeden coś zrobić mam odwagę. O głowę już nie stoję...

— Jaszko — zawołał ojciec czulej, za ramiona go chwytając — siedziećby ci i czekać.

— Nie — nie! — odparł syn — iść mi i pomódz wam i nam i sobie. Wy Wojewodą? jakim wy Wojewodą? w niewoli, w pogńębieniu!! u lada klechy pod stopą... Z tem żyć dłużej nie można...

Marek na wół przekonany zamyślił się. Jaszko bił żelazo póki gorące.

— Zniknę tak że się ani opatrzą jak się wysunę, — dodał.

— Do Plwacza nie idź — wymknęło się staremu, do Konrada nie waż mi się — ten się nie będzie śmiał do niczego wziąć. — Światopełk nasza krew, on jeden...

— No, to do niego! — odparł Jaszko, — do kogokolwiekbydz byłem się ztąd wyrwał.

Marek w obie dłonie chwycił głowę.

— Jeszcze mi tej troski brakło, — zawołał, — jakbym ich mało miał. A toć lękając się o ciebie dnia i nocy nie będę miał spokojnej!

Jaszko go w rękę pocałował.

— Śpij stary smaczno, a o mnie się nie troskaj. Jaszko sobie rady da..., a jak ja zasnuję, wy dotkacie.

Śmiał się dziko, zacierając ręce. Marek drgnął niespokojny... Zaczęli coś szeptać po cichu i siadłszy rozprawiali tak aż ich komornik wywołał obu do jadła, które na wieczór podano. Jak się skończyła rozmowa oni tylko dwaj wiedzieli, z twarzy jednak miarkować było można iż się porozumieli i stary już się synowi nie sprzeciwiał. We dworze potem żadnej różnicy od zwykłych dni nie było, ani przygotowań, ni widomego ruchu, a gdy Jaszka trzeciego dnia nie stało z kilką ludźmi, Marek Wojewoda zdał się nie wiedzieć że zniknął i nie pytał. Ochmistrzowi swemu powiedział głośno iż na łowy pojechać musiał. Tak wszyscy sądzili.

Dopiero w dziesiątek dni, gdy nie powracał, zaczęto się dowiadywać, pytać, niepokoić, szukać, a Marek udawał iż gniewnym był na syna.

Tegoż wieczora spotkali się na zamku z Biskupem, wychodząc od księcia.

— Strapienie mam, niemałe, — rzekł wzdychając do Iwona — zginął mi kędyś Jaszko, o którym wiecie żem go przez miłosierdzie przytulił. Niespokojna dusza, nieszczęśliwy człek, gnuśności nie mógł znieść, gdzieś znowu tulać się poszedł.

Biskup spojrział bystro na Marka, lecz ten twarz miał tak strapioną, iż podejrzewać go trudno było.

— Niech go Bóg strzeże — rzekł Biskup. — Źle uczynił iż się zerwał tak, bylibyśmy mu u księcia wyrobili łaskę i przebaczenie. Szkoda by się marnował.

— Zawsze krnąbrny był — dodał Marek... — W domu z nim ciężar miałem... nieraz i nasrożyć się przyszło...

— Źleby było gdyby, uchowaj Boże, do Plwacza albo do Światopełka przystał, — rzekł Biskup, — rozniosłoby się to, a drugi raz winien jużby przebaczenia nie zyskał.

— Bóg niech mnie od tego na stare dni uchowaj! — westchnął Marek...

— Z duszy życzę aby was od tego bólu Bóg miłosierny strzegł, — zamknął Iwo...

Nie mówili o tem więcej, Wojewoda do domu powrócił niespokojny. Biskup tegoż dnia przywołał mistrza Andrzeja do siebie.

— Od ojcam waszego słyszał, — odezwał się, — iż Jaszko się oddalił, nie wiedzą dokąd?

Andrzej pobladł, spojrział Biskupowi w oczy śmiało i z wyrazem który o prawdzie słów jego wątpić nie dozwalał, rzekł.

— Nic o tem nie wiem — Jaszko niespokojnym był i jest, ojcu go utrzymać trudno było po wsze czasy... Nie winien temu ojciec nasz...

— I ja go nie myślę obwiniać — odezwał się Iwo spokojnie. — Jaszka wszyscy zna-
liśmy i znamy...

Lękam się aby nie wpadł w ręce wichrzycielom... Zły los go spotkać może...

Na surowej twarzy mistrza Andrzeja pokazały się dwie łzy, prędko otarte, pocałował rękę biskupią i oddalił się wzruszony.

Biskup ani nazajutrz, ni dni następnych, spotykając się z Wojewodą, już go nie pytał o syna. Tem jasnowiedzeniem jakie dane jest duszom czystym, wiedział on, nie potrzebując badać, iż Jaszko uszedł do Odonicza lub na Pomorze.

Nie przywiązywał do tego zbytnej wagi, bo choć Jaszko był energiczny i jako rycerz, mimo owego pierzchnięcia z placu umyślnego, niepospolitą miał odwagę, — na nim jednym nic nie zależało. Małym się wydawał człowiekiem.

W ciągu tych dni Biskup najwięcej starym Waligórą był zajęty. — Zbierano dlań poczet ludzi, służbę której część ściągnąć musiano z Białej Góry, odziewano zaciężnych, wyszukiwano czeladź pokazań.

Iwo choćby był chciał łożyć na to, nie miał z czego.

Dochody biskupstwa znaczne i własne mienie, ledwie starczyły mu na mnogie i nieustanne fundacye klasztorów i kościołów, którym się dziwowano, bo je z królewską szczodrobliwością nadawał.

Cystersi, Norbertanie, a nawet Dominikanie, których suknie dwaj synowcowie przyoblekli, sadowili się na wsiach i ziemiach przez Biskupa Iwona nadawanych. Sarkała z początku rodzina widząc tak rozposażne mienie swoje, lecz Cesław i Jacek bratankowie już nic nie potrzebowali, Mszczuj miał dosyć, inni widząc jak Pan Bóg w rękach tych pobożnie rozrzutnych mnożył cudownie mienie — umilkli.

Mszczuj, który uległ posłuszny bratu, i przejął myśli jego, nie wahał się też własnego grosza dać na to co już za potrzebne uważał. Mała to dlań była ofiara, bo syna nie miał, a dla dwu córek zawsze dosyć zostać miało.

Ze skarbca więc na gródku wożono nietylko sukno i odzież, ale srebro i złoto nagromadzone od tych czasów, gdy za Bolesławów pierwszych było go jak drzewa w Polsce...

Ludzie zdala patrzyli a patrzyli dziwując się co Waligóra z tym dworem i ludźmi tak po pańsku ściąganymi czynić myśli.

Jednego wieczora gdy książę Leszek z łowów z dobrą bardzo myślą powracał, a polował za Wisłą w tych klasztornych lasach, które ojcu Kaźmierzowi dozwolone były, — Wojewoda go u przewozu przez rzekę spotkał, umyślnie czy trafem, trudno wiedzieć.

Korzystał z tego iż sami chwilę byli.

— Dobrze żeś Miłość Wasza, zażył rozrywki która mu się dawno należała, — odezwał się. — Dosyć nasz świątobliwy Biskup Waszą Miłość nastracha i nanudzi, gdy doma siedzicie.

— Czyni to pewno z miłości dla nas, — rzekł Leszek, który na Biskupa mówić nic nie dawał, — niech go Bóg zdrowym trzyma na opiekę i błogosławieństwo państwu temu...

— A! świętyć jest, i za życia błogosławionym go zwać mało — odparł Wojewoda — lecz jako duchowny nawykły ludzkie myśli roztrząsać, często próżnym wyciągnionym z nich nabawi was strachem...

Leszek się uśmiechnął.

— I sam też trwoży się do zbytku, — mówił Wojewoda. — Sądzę że nie z innego powodu brata sobie do boku sprowadził, który już spoczynku potrzebował. Żal starego...

— Mówicie o Mszczuju Waligórze? — zapytał książę... Cośem słyszał iż tu jest...

— Brat go przywiózł mimo woli, — dodał Wojewoda.

— Mimo woli Waligóry ściągnąć trudnoby było — odezwał się Leszek, — bo to żelazny człek...

— Nie ten już co był — wtrącił Marek...

Książę spojrział...

— Dobrze iż Biskup go ma, bo rodzinę kocha, a tej się dla Chrystusa wyrzekł całej.

— Z Jacka i Cesława pociechy mało, bo ci Bogu więcej niż stryjowi służą. Święci i to młodzieniaszkowie!

Książę głowę skłonił.

Po chwili zapytał Wojewodę.

— Co Mszczuj tu myśli poczynać, nie wiecie?

— Nikt go nie widział jeszcze — odparł Marek.

— Ani ja — potwierdził książę.

— Że mnichem za przykładem synowców nie zostanie — mówił Wojewoda — zda się pewnem, bo nie czas... a i córki ma, co pieczy potrzebują.

— Z córkami tu jest? — spytał Leszek.

— Zda się że ich tu nie ma...

Mówił potem Wojewoda o innych rzeczach, usiłując Leszkowi tak właśnie odmawiać wszystko jak on mieć pragnął. Nie kazał mu się lękać niczego, lekceważąc prawil o Odoniczu, wzgardliwie o swym powinowatym Światopełku, z poszanowaniem dla Konrada.

Wtrącono coś i o Krzyżakach rycerstwie które Leszek rad był widzieć zasłyszawszy o niem wiele. Wojewoda doniósł że właśnie dwóch z nich już do Płocka pociągnęło, aby się o uczynione nadania umówić.

Tak gwarząc dojechali do zamku na Wawel a Marek zabawiwszy Leszka, wymknął się do swego dworu...

Nazajutrz książę zapytał Biskupa o brata Mszczuja, którego sławę siły i mężstwa pamiętał.

— Jest on tu, — odparł Iwo — ściągnąłem go po to aby Waszej Miłości służył. Wiernych sług pod te czasy zanadto mieć nie można. Nie potrzeba mu nic — ani tytułów ani urzędów, a można go będzie użyć gdzie drudzy nie zechcą lub nie zmogą. Wziąłem go sobie do pomocy W. Miłości do usług wiernych.

Książę podziękował.

— Bóg łaskaw, — rzekł — służba u mnie lżejszą coraz będzie... Pokój uchwałemy i używać go będziemy!!

Biskup spojrział nieśmiało na pana swego i zamilkł.

VII

Ks. Żegota miał serce litościwe, które nieraz już w życiu za chwilowe wzruszenie odboleć musiało.

Za młodszych lat gdy świeckie duchowieństwo więcej miało swobody, a śluby nie były wzbronione, przywiązał się do jakiejś biednej istoty, której teraz opuścić już nie miał siły. Nastaly inne czasy, — legaci papieżcy po wszystkich krajach ogłosili rozkazy wyrzeczenia się związków rodzinnych. Kościół chciał mieć żołnierzy niczem nieprzywiązanych do ziemi...

Z obawy aby wizyta dziekana lub Biskupa nie odsłoniła smutnej tajemnicy jego życia, stary proboszcz musiał swą familię przenieść do osobnego domku na grodzisku, i jeszcze był po odjeździe Biskupa Iwona nie ochłonął ze strachu, gdy wypadek nowy w inny sposób zagroził spokojowi jego.

Nocą nadciągnął pod Białą Górę Otto von Saleiden z dwóma rannymi ochotnikami... Potrzeba ich było ratować. Ks. Żegota nie umiał się oprzeć pokusie miłosierdzia, chociaż wiedział dobrze iż dając pomoc nienawistnym Niemcom, narazi się na gniew pana swojego Waligóry. Szczęściem starego w domu nie było i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nierychło zapewne miał wrócić.

Ks. Żegota, jak całe ówczesne duchowieństwo, nietylko że nie czuł żadnej w sercu niechęci dla obcych, ale szanował wszystko co przychodziło z zachodu i niosło z sobą światło.

Widok tych dwóch w pełni życia, rannych niebezpiecznie i narażonych na zgubę chłopaków, jeżeliby im kto nie dał przytułku — poruszył do głębi starego księdza.

Nazajutrz gdy wysłany szukać obozu pachołek, powrócił prowadząc z sobą Konrada von Landsberga; — a ten zobaczył w jakim stanie byli dwaj chłopcy, uniósł się naprzód na nich gniewem wielkim, potem na towarzysza, brata Ottona, że na szaleństwo to pozwolił, naostatek zakrzyczał wielkim głosem, — iż, choć Gero był jego bratankiem, ale ani dla niego ani dla Hansa nie myśli się w podróży wstrzymać i tracić czasu, gdy nań w Płocku oczekiwano.

Otto uczynił mu uwagę, że tak przecież wpośród drogi dwóch ziomków porzucić niepodobna, w kraju w którym mogli uleść napaści jakiej bezbronni, albo nawet zemrzeć chorobą i głodem.

— Niech giną, kiedy sami się na to wystawili, — wołał nielitościwy Konrad. — Sprawa zakonna nam powierzona idzie przedewszystkiem...

Tak się to mówiło w pierwszym zapale gniewu, lecz gdy przyszło spełnić groźbę — i sam nieubłagany Konrad wahać się zaczął. Wieźć za sobą dwu rannych, a szczególnie Hansa, który, choć mu ranę opatrzone, dostał gorączki i straciwszy przytomność majaczył — było niepodobieństwem...

Gero łżej ranny, choć na nogę stąpić nie mógł, z biedy na koniuby się wlec był gotów, ale towarzysza Hansa, po rycersku odstąpić nie chciał i oświadczył stryjowi, że los jego dzielić będzie...

Ks. Żegota który rano zbiegł był z grodu do szopy, zobaczyć co się działo z rannymi, przy których kwiatkami sobie włosy przystroiwszy Dzierla siedziała, — przytomny był wrzawliwej scenie między Konradem, Ottonem i Geronem...

W ostatniej chwili, gdy już do stanowczego jakiegoś kroku przyjść miało, Konrad von Landsberg zobaczył starego księdza...

— Ależ to nie może być — ażeby w kraju który się chrześcijańskim zowie, rannemu biedakowi odmówiono przytułku! — zawołał.

— Wszędzie go znajdziecie, a szczególnie po klasztorach, w których ochotnie przyjmą chorego i pielęgnować go będą — rzekł ks. Żegota — wszędzie, tylko nie tu u nas! Wskazał na zamek w górę.

— Jakto! cóżto, poganie go zajmują? — zawołał Konrad.

— Nie — ale pan nasz nie przyjmuje obcego nikogo, nigdy... — odparł ksiądz. — Taki sobie ślub uczynił. Nie ma go nawet na grodzie, a bez niego nie ważyłby się nikt...

Konrad burzyć się zaczął na to.

— Co tam gród! pan! — zawołał — wy jesteście osobą duchowną, wy żadnemu panu nie ulegacie. Wasz pan jest tam gdzie i nasz, w Rzymie! Weźcie go do swego domu... do niego nikt nie ma prawa!

— Mój dom jest na grodzie — odparł ksiądz przestraszony — a gdyby *Comes* się dowiedział że ja obcego przyjął, możeby razem z nim wyrzucił...

— Przecie go w domu nie ma...

— Ho! — ho, jest Podżupan! — rzekł ks. Żegota...

Stało się chwilowe milczenie. — Konrad namarszczywszy się, już nie rozprawiając, nie sporząc poszeptal coś Ottonowi, zbliżył się do synowca Gerona, któremu długo coś w ucho kładł, potem sam na koń siadł i Ottonowi a pacholkom dał znać aby toż uczynili. Gdy wszystko było do odjazdu gotowem, dumny Krzyżak podparłszy się w bok, podjechał ku ks. Żegocie.

— Słuchaj, ojczcie — rzekł tonem nakazującym — czas u mnie drogi — tracić go na spory i gadaninę nie mogę... Zostawiam tu tych rannych... na łaskę Bożą... Zginą — odprawią za nich nabożeństwo kapłani nasi! ale wy będziecie mieli ich na sumieniu

— róbcie sobie z niemi co chcecie — ratujcie, porzućcie, to wasza sprawa. Ja zmuszony jestem zdać się na was.

Mądry Krzyżak mówiąc to czuł bardzo dobrze iż ksiądz nie będzie miał serca rannym dać ginąć.

Jeszcze raz dwaj starsi ku leżącym pod szopą, obrócili się coś szwargocząc, potem Konrad rzucił parę słów Geronowi, i tęgim klusem wszyscy popędzili do obozu zostawując Gerona i Hansa samych pod dozorem baby i — księdza.

Na chwilę rozpacz ogarnęła ks. Żegotę, załamał ręce, zawołał.

— Jezu miłosierny, ratuj! co ja tu pocznę!...

Chciał uciekać na gród, zrobił krok, i litość go wzięła — zatrzymał się, zwrócił, podszedł do Gerona, który przytomny z nogą obwiązaną siedział, nie straciwszy młodzieńczej jakiejś odwagi i ufności...

Dzierła z nadzwyczajną pilnością czuwała nad Hansem, którego to jakimiś ziołami, warzonemi w garnuszkach poila, to go okrywała, to mu coś jak dziecku po cichu nuciła i chudemi rękami znaki jakiejś robiła nad nim...

— Nielitościwi ludzie! nielitościwi! — zawołał ksiądz do Gerona — otóż was opuścili...

Ciężki chód koni krzyżackich tętniał coraz się oddalając.

— No — a litościwi się znajdują co nas przytulą! — odparł Gero, spoglądając na niego... — Jużciż w tej szopie otwartej na cztery wiatry porzucić nas byłoby srogiem barbarzyństwem, bo, ja jak ja, ale Hans tu do tygodnia, gdy go chłód nocny obejmie — zginie marnie...

— Szopę chyba oprawić trzeba! — szepnął ksiądz, — bo do zamku ani myśleć... Zrobię co mogę.

Gero ruszył ramionami.

— Ojczy — rzekł śmiało, — ja ufam że wy coś wymyślicie...

Ks. Żegota nie mówiąc nic — głowę potrząsając, chodził i coraz to stawał nad Hansem.

— Dzierla, — odezwał się do baby pół głosem — może on żyć?

Zapytana przybrała minę wyroczni, spojrzała na chorego, przyłożyła mu rękę do czoła, wskazała na grubo obwiązaną nogę, rozpostarła ręce, podniosła je do góry... — westchnęła...

— W dobrej izbie, na posłaniu wygodnem, jakby go noc i dzień nie odstępować — poczęła żywo — czemu by nie miał żyć? Czyto z takich ran ludzie wychodzą? A pamiętacie Dziubę co mu wewnątrzności trzeba było wkładać nazad do brzucha, przecie żyw, albo Gielbę co dwa razy nogę miał złamaną, albo Tyrka, któremu kości z boku wyłaziły? A ten młody i śliczny chłopiec ma jeszcze życia tyle! Czemu by nie miał żyć?

Zamyślił się ksiądz.

— Przyjdę wieczorem — szepnął Geronowi — i tak go porzucił.

Na grodzie, gdzie od lat wielu o obcych ani słyszano, ani ich widziano, ciekawość była wielka, gorączkowa. Nad ostrokołami naprzeciw szop wisieli ludzie patrząc czy co nie zobaczą, choć nie ważyli się iść bliżej. Ks. Żegota gdy powrócił, obleżono go pytaniami.

Ale stary pomruczał coś niewyraźnie, opędził się natrętom, i oświadczył podżupanowi Teleszowi, że owi ranni co leżeli pod szopą najdalej nocą opuszczają ją i pojadą w świat, bo tu oni nie mają co robić.

Ze wszystkich ciekawych najciekawsze były na gródku, dwie piękne Halki. Ojciec im zawsze Niemców jak najdziksze zwierzęta malował, mówiono o tym narodzie wiele co budziło pragnienie poznania tego stracha i dziwadła.

Wiedziały dziewczęta że plemię to straszne, odziewało się wytwornie, umiało wiele rzeczy których inni nie zdołali robić... że było przebiegłe, złośliwe a mądre.

Trafia się często że to co zożydzić komu pragniemy, właśnie dziwną w umyśle ludzkim sprzecznością nęci i pociąga.

Dziewczęta strasznie się lękając Niemców, niezmiernie jednak widzieć choć jednego z nich życzyły sobie. Tu właśnie nastręczała się zrzeczność.

Gdy ksiądz wrócił z pod szopy obie Halki nim doszedł do swojego dworku, drogę mu zastąpiły. Ksiądz Żegota, który na nie patrzył jak rosły i od dzieci prawie je wychowywał, co je uczył pacierzy, modlitw i pieśni, a kochał jak swoje, był dla nich słabym — czyniły

z nim co chciały. Dość żeby mu się uśmiechnęły, a szczebiotać poczęły, stary zapomniał o wszystkim...

Starsza Halka wnet go zasypała pytaniami.

— A! co bo się o tych brzydkich Niemców tak troszczycie których pan nasz tak nie cierpi... Licho ich tu przyniosło — no — zapowiedziano im ażeby się wybierali precz, i muszą.

— Jakże, kiedy mówią że ciężko są ranni? — odezwała się Hala...

Ks. Żegota ramionami niecierpliwie zzymnął.

— Niech ich tam! — zawołał. — Jakby się pan nasz dowiedział że mu tu jego ziemie stopami dotknęli — byłoby, było!

— Straszni są? prawda to że na głowach noszą rogi? — bojaźliwie wtrąciła druga.

Rozśmiały się ksiądz mimowolnie.

— Prawda! Rogi mają na hełmach! — rzekł — ale ci dwaj ranni, młodzi są bardzo jeszcze... i — podobni do ludzi...

— I pojedą precz a my ich nie zobaczymy? — wtrąciła jedna... — A ojcze! jakby nam się chciało widzieć ich — choć zdaleka! zdaleka!

— Co się wam śni! dzieci! A pan nasz, gdyby się o tem dowiedział! — odparł żywo księżyna.

Dzieci spuściły oczy zawstydzone i zarumieniły się.

— Czyż już i spojrzeć na nich grzech? — szepnęła jedna.

— Ich do nocy już nie będzie! muszą precz! precz! — zakończył ksiądz śpiesząc do domku, i nie chcąc dalej prowadzić tak grzesznej rozmowy.

Wszystkich też zbywał prawie tak samo jak dwie Halki, ale co myślał i zamierzał — było prawie nie do wiary...

Samo wykonanie miłosiernego jego zamiaru, niesłuchanie było trudne, wydawało się prawie niepodobnym, a jednak ks. Żegota nie cofał się przed niem.

Postanowił nieszczęśliwym dać przytułek w swoim dworku. Szło o to aby żywa dusza nie wiedziała o tem: Ksiądz sam miał stać na straży, dom zamknąć i żyć przy żonie, przekradać żywność, zaprzec wrota podwórka...

Wydawało mu się to chwilami niemożliwym, to znowu — łatwym... Oprócz Dobrucha nikt do niego nie zaglądał, podżupana Telesza umiał uchodzić i uwagę jego odwrócić...

Najtrudnijszem ze wszystkiego zdało mu się przeprowadzenie nocą, ową tylną furtą, nie już Gerona, który z pomocą sam się mógł przywlec, ale Hansa, którego nieść było trzeba. Zwierzać się nikomu i w pomoc brać ludzi nie chciał, on więc chyba sam z Dzierłą musiał z nim wdrapać się na górę i wał, i nocą przesunąć do dworku. Chory majaczył i krzyczał głośno... lecz wszystko wiedząca Dzierła coś mu na sen dać mogła...

Z tą upartą myślą ks. Żegota cały dzień przetrwał — poszedł się jej zwierzyć żonie, — bo dla niej nie miał tajemnic — stara pani zakrzyzczała z trwogi, — wołając że chyba siebie, ją i wszystkich chce pogubić.

Ks. Żegota milczeć jej kazał.

Rozplakała się, i to nie pomogło... Do litościwego usposobienia dla tych młokosów przyczyniało się i to że byli duchowo powinowaci rycerskiemu zakonowi, z którym puścili się na wyprawę.

Po długich namysłach okazało się wreszcie, że zamiar wykonać się nie dawał inaczej jak z pomocą Dobrucha. — Starowina był posłuszny, milczący, lecz nie wychylając się za bramy gródka w którym Niemców nie cierpiano — i miano ich w ohydzie wielkiej, wstręt do nich wpojony przez Mszczuja podzielał. Szło o to aby go skłonić w imię Boże, do ratowania ludzi. Nie wzdragał się ks. Żegota popełnić *piam fraudem* i dać mu ich za Włochów, lub innych jakich obcych ludzi.

Tak się i stało... Poszeptał z nim przed wieczorem, Dobruch się zrazu otrząsał, opierał, ale proboszczowi nawykły ulegać, w końcu z pokorą rzekł, że zrobi co każe.

O zmroku ksiądz się spuścił z góry jawnie, w oczach wszystkich, niosąc koszyk w rękę, wszedł do szopy i nie wdając się w tłumaczenia żadne i rozmowy, dał po cichu rozkazy jakiej Dzierli, a Geronowi powiedział znacząco.

— Róbcie tak, żeby z ostrokołów patrzący myśleli, iż nocą ztąd precz jechać macie... Zbierajcie się jak do drogi.

— Dokąd? — zapytał Gero...

— Czyńcie jako mówię, — rzekł dobitnie ksiądz — widzicie że wam źle nie życzę, bo bym tu nie przychodził, gdybym co złego myślał, zaparłbym furtę i siedział na gródku... Gero nań popatrzał, a ksiądz dodał.

— Gdyby ci baba albo ja podał rękę, wszedłbyś na tę górę?

— Trudno! — odparł Landsberg, — noga mi opuchła i boli — ale.

— Ale gdy koniecznie trzeba?

Gero głową tylko wskazał że zrobi co musi.

Zaczęły się tedy widome z góry, na wałach, przygotowania do — pochodu...

Wiązano płaszcz, zbierano odzież, zrzucano sakwy jakieś do kupy. Dzierła chodziła, kręciła się i otuliwszy płachtą, niby żegnała, kłaniała, wybierając na gród nazad. Widziano ją idącą pod górę...

Tymczasem mrok zapadł, ksiądz wrócił i opowiadał, że ludzie po chorych z klasztoru blizkiego przybyć mają i zabiorą.

Ciekawi się uspokoili i — od ostrokołów odeszli, bo noc nadciągająca nie dozwalała też widzieć nic.

Dzieło miłosierdzia było prawdziwym cudem. Ks. Żegota musiał czekać aż wszyscy się pospali, obejść gródek z tej strony, — psy pozamykać, i dopiero z Dobruchem spuścił się na dół z wielkimi ostrożnościami, by nikt ich nie widział ni posłyszał.

Hansowi w istocie Dzierła na sen napój dała. Śpiący wydawał się tyle krwi straciwszy, jakby w nim życia już nie było. Ks. Żegota sam z Dobruchem wziął go na przysposobione nosze o które troska była wielka czy one ciasną furtą na gródek się wcisnąć dadzą.

Dzierła pod rękę ująwszy Gerona, którego wesoła myśl nie opuszczała, pomagała mu wdrapywać się powoli na górę.

I niosącym i idącemu szło nie łatwo, tamci znużeni musieli odpoczywać często, a Gero żeby nie krzyknąć ręką sobie usta zatykał... i sił mu też brakło, choć się na babie opierał...

Pochód ten pod strome wzgórze, zdawał się trwać wieki, furta jakby naumyślnie się oddalała... Gdy przy niej stanęli, a trzeba ją było otworzyć, Hans którego nosze drgnęły gdy je na ziemi składano, przebudził się i mruczeć począł. Dzierła musiała biedz zażegnać go na sen...

W samej furcie nosze za szerokie na nią, pochylić musiano tak, iż bezwładnego Hansa by się nie stoczył przytrzymywali.

Ledwie nareście zaparłszy znowu wnijscie, poczęli bokami się przesuwac do dworku księdza, stąpając jak najciszej, gdy pozamykane psy, węchem obcych poczuły i strasznie ujadać zaczęły. Trzeba było spieszyć aby stróże się nie zbudzili i w tę stronę nie przyszli.

Gero już na poły z bólu omdlały ledwie się włókł, tak że do parkanu doszedłszy, musiał oprzeć się oń i spoczywać... Jednakże pomimo tych trudności udało się księdzu cudownie, niczyjej nie zwróciwszy uwagi, chorych przeprowadzić do siebie, i gdy nazajutrz ciekawi wyjrzeni ku szopie, nic już w niej nie było widać, tylko resztki słomy, zgasły ogień i niedopalone głownie.

Podżupan Telesz stary, prostoduszny człek, który nie przypuszczał nawet aby coś nadzwyczajnego w powierzonym mu grodzie stać się mogło, spotkawszy rano ks. Żegotę oznajmił mu że — chwała Bogu, Niemców lichu wzięło i pod szopą niema ich już ani śladu.

Ks. Żegota wysłuchał nowiny — z pozorną obojętnością.

— Panu naszemu nawet i mówić i donosić nie trzeba że tu jacy Niemcy byli, — dodał Telesz, — bo i za toby się srodze gniewał że im szopy pozwolono...

Na gródku się na pozór nic nie zmieniło. Dzierła tylko rozgadała że musi iść po zioła i grzyby i pewnie jej długo nie będzie. Parobczaki których była pośredniczką do dziewcząt, zafrasowali się niezmiernie że ich opuszczała i prosili by wracała...

Znikła potem, ale w istocie siedziała wciąż przy chorym Hansie.

Ks. Żegota mówił że mu w jego dworku smutno było samemu i przeniósł się do familii, a bramę kołkiem podparto. Dom ino stał niby pustką. Przesuwano się doń i wysłizgano nocami, mrokiem, gdy żywej duszy nie było.

Geronowi i Hansowi zamkniętym jak w więzieniu na niczem nie zbywało, co do pierwszych potrzeb życia. — W początkach nawet było im dobrze i Gero się radował

że uszli cudownie niebezpieczeństwa. Noga jego przy staraniu jakie miała Dzierła o nią, zaczynała się goić nadzwyczaj szybko i szczęśliwie; Hans nawet po kilku dniach, choć osłabiony i wychudły, odzyskał przytomność, rana ciężka potrzebowała więcej czasu do zupełnego uleczenia, ale baba ręczyła śmiejąc się że na weselu tą nogą będzie wywijać tak, jakby jej dzik nie kosztował.

W miarę jak zdrowie powracało, obu Niemcom zaczynało się robić straszliwie nudno. Ksiądz na rozmowę łamaną niemiecką zjawiał się rzadko, z babą nie mogli się rozmówić tylko na migi, a choć Gero i tym sposobem siebie i ją do śmiechu pobudzał — nie starczyło tej rozrywki. Nawykłym do życia wrzawliwego w obozach, na łowach, w burdach niemieckich, cisza ta i ciasnota więzienna, brak ludzkich twarzy — ruchu, swobody dolegała okrutnie.

Gero jak tylko o kiju chodzić zaczął, nie wysiedział w izbie, mimo zakazu wykradał się na podwórko i przez szpary tynu opasującego je, — wyglądał... choć najczęściej widywał tylko psów ogony, albo przebiegające konie.

Gdy Hansowi zaczęło być lepiej, Dzierła, której także się znudziło zamkniętej, udała że powróciła z lasów, i nie siedząc już ciągle przy chorych, niekiedy się tylko do nich wkradała, przynosząc jadło i leki.

Pomimo największych ostrożności około dworku, aby się nie wydało dzieło miłosierdzia, nad którego skutkami drżał myśląc ks. Żegota — chodzenie do pustego domku, kręcenie się przy nim nie mogło ujść baczności ludzkiej. Dorozumiewano się czegoś, szeptano.

Jeden tylko Telesz Podżupan, człek spokojny i ślepy, nawet gdyby był coś podejrzanego zobaczył, własnymby nie wierzył oczom. Tak zuchwałego czynu niepodobna mu było przypuścić, ani on księdza, którego szanował posądzić.

Powracając z lasów Dzierłę wszyscy jej przyjaciele i ci co jej potrzebowali przywitani radośnie. Stara ze swemi gadkami, baśniami, piosenkami była dla nich, jedyną na tej pustyni rozrywką.

Obie Halki, którym bez ojca tęskno było, zaraz ją kazały przywołać do siebie... Musiała im powiadać co widziała w lasach, co słyszała po świecie, i co jej na myśl przyszło.

Dzierła gdy jej prawdy brakło zastępować ją umiała wymysłami najdziwaczniejszymi. Słuchając jej można było myśleć że widywała rzeczy, które dla innych śmiertelnych nie były dostępne. — Opisywała ptaki tak cudnego pierza, jakich oko ludzkie nie widziało, powtarzała rozmowy swe ze stworzeniami, które do niej ludzkim przemawiały językiem, dla niej otwierała się ziemia i pokazywała skarby, jakie się kryły w jej łonie...

Przytem nawet najstraszniejsze opowiadając rzeczy, zawsze tak je umiała obrócić iż uśmieszek wywoływały i sama brała wesoło co życie przyniosło...

Nie wiedzieć jak jednego wieczora rozmowa się wszczęła o owych ranionych Niemcach, którzy leżeli pod szopą. — Wiedziały Halki że Dzierła przy nich była, zaczęły nalegać, prosić aby im ich opisała — czy w istocie tak straszne to były stworzenia jak ojciec o nich rozpowiadał...

Stara zaś w dwóch chłopakach niemal się rozkochała pielęgnując ich, szczególnie w Geronie, który jak ona, choć pisał a uśmiech miał na ustach.

Posłyszawszy to zapytanie Dzierła aż przysiadła tak się jej na wesołość zebrało... Długo mówić nie mogła od śmiechu.

Dwie Halki patrzyły na nią zdziwione bardzo... co też to znaczyć miało?

Oczy jej śmiały się szydersko długo jeszcze, choć już usta śmiać przestały.

— Więc mów, — nagliły Halki — jakże oni wyglądają...?

Dzierła się wahała jeszcze namyślając czy ma z nich zrobić straszdyła czy biednym dziewczętom oczy otworzyć.

W izbie nie było nikogo. — Na ławie pod okienkiem siedziały dwie Halki rączki sobie zarzuciwszy na ramiona, główki sparszy skroń ze skronią; z oczyma wlepionymi w starą, która na ziemi u ich nóg, osłonięta płachtą, obwieszona sznurami pacierek i przystrojona w kwiatki jesienne, przypadła.

Obejrzała się Dzierła i palec położyła na ustach...

— Takich chłopaków jak oni! — szepnęła, — ani ja pókim żywa, ani wy nie widzieliście i może nie zobaczycie! Niech sobie wasz stary plecie o rogach na głowie i pazurach

u rąk... i klach jak u wilków... oni tak piękni jak dziewczątka, krew z mlekiem, a wesołe jak ptaszki, choć z nich krew się lała... a śmiało i mężnie!!

Dziewczętom się wydało że Dzierła z nich sobie żartuje...

— Nie plećże — odezwała się starsza która najczęściej za nich dwie mówiła — nie żartuj z nas sobie. Wiemy że są straszni, srodzy i że mięsem ludzkim żyją...

Dzierła uderzyła w dłoń.

— Oh! oh! — poczęła — cóż ja pocznę nieszczęśliwa gdy mi wierzyć nie chcecie — chyba zmilczę...

— Mów, mów, ale prawdę! — dodała młodsza...

Dzierła z podłogi chwyciła garść piasku.

— Przysiądź mogę że prawdę mówię — dodała, — piękni ludzie! Są i u nas parobczaki nie brzydoty — ale gdzie naszym do nich!... jak wróblowi do szczygła...

Dziewczęta osłupiały z podziwienia. Dzierła korzystając z tego z wielkim pośpiechem zaczęła z przesadą zwykłą malować piękność swych Niemców, obyczaj ich ludzki, rozum taki że się bez mowy obchodzić umiał... Naplotła tak dużo różnych rzeczy iż się nie pstrzegła że tak wiele słyszeć i widzieć nie mogła w krótkim czasie gdy przy nich była pod szopą.

— E! ty, Dzierła — odezwała się starsza — jakie ty nam prawisz baśni, a gdzieżeś ty w tych godzin nie wiele, tyle rzeczy napatrzeć i podsłuchać mogła? Na toby trzeba z niemi siedzieć dłużej niż ty byłaś w szopie!!

Uśmiechnęły się ze starej, która się nieco zmięszała i umilkła, poprawiła chusty żeby twarz zakryć i oczy, — chrząknęła, coś zanuciła i chciała odwrócić rozmowę, ale Halkom Niemcy były w głowie.

— Mów, choćbyś zmyślała! — rzekła starsza.

— Ja bo już więcej nie wiem nic — rzekła baba.

— Gdyby Niemcy takie były jak ty mówisz — dodała starsza, — za cóżby ich ojciec tak niecierpiał, że gdy ich wspomni zęby mu zgrzytają i ręce się same ściskają w pięści.

— Co mnie naszego pana, ojca i knezia białego sądzić — rzekła Dzierła, — co ja wiem dla czego on ich nie ma za ludzi, mówię co oczy widziały, co uszy słyszały... — i tyle...

Tego dnia już nie było o nich mowy.

Wieczór był jasny, dwie Halki poszły jak zawsze, razem, pobrawszy się pod ręce, chodzić po podwórcach, po wałach... a chodząc to się śmiały, to śpiewały, to szeptały pół słówkami, bo im dosyć było znaczkę, szeptu, skinienia ażeby się zrozumiały. A gdy tak snuły się kroczkami powolnymi rozmarzone i tęskne dziewczęta, i przechodziły około parkanu, który pusty domek księży ogradał, właśnie był Gero wykradł się z niego i przez szpary wyglądał. Nagle zadrzał i przetarł oczy. Zdało mu się że chyba biały obłoczek jakiś przed nimi przepłynął... Dwie Halki mignęły mu i — stanęły...

Stały tak drobinę czasu, nie wiedząc o nim, jakby na to umyślnie żeby się im lepiej przypatrzył. Gero że mu szczelina u góry była do chciwego patrzenia za wązką, padł na kolana, o chorej nodze zapomniawszy, przychylił się do samej ziemi, pożerając je oczyma...

Dwie Halki uśmiechały się sobie i szeptały coś, jedna drugiej wianuszek poprawiała na głowie, śmieszek jak śpiew ptaszęcy zaszeleścił w powietrzu i znikły...

Gero nie mógł się podnieść z ziemi goniąc je oczyma.

Właśnie na to wślizgnęła się stara Dzierła i zobaczywszy go na trawie leżącego, odgadła na co patrzył, co zobaczył. Jakiś ją strach ogarnął naprzód, a potem pusta wesołość. Poszła Geronowi pomódz wstać z ziemi i pogroziła mu mocno...

Niemiec wszelkimi sposobami rękami i bełkotaniem wyrazów jakich się nauczył, usiłował dobyć z Dzierli, co to były za dwie białe, tak cudnie piękne i tak strasznie do siebie podobne dziewczęta.

Baba rękami wywijając, trzępiąc odganiała pytania, odmawiała odpowiedzi, ale śmiech i radość patrzyły jej ze starych oczów.

Weszli tak do domku, a Gero nic pilniejszego nie miał nad to by się z Hansem wiadomością o dwóch ślicznych jak anioły dziewczętkach, podzielić.

Hans wierzyć nie chciał.

— Gdzie ty tu mogłeś piękne dziewczęta zobaczyć? — zawołał. — Ileżemy to kraju przejechali, ile widzieli tych twarzy w białych zawiciach, a wszystkie były jak szatany straszne!

— Tych dwie za tysiące stanie! — począł Gero z zapalem. — Wiesz że u nas po miastach, i burgach, dosyć ładnych twarzy, co je słońce nie opaliło i praca nie zszarzała — alem takich jak żyw jestem nie widział, anim śnił aby być mogły na świecie!

Hans śmiał się.

— Otóż jak głodnemu chleb z ościami pachnie! — rzekł.

Gero się aż pogniewał trochę.

— Nie proste to dziewczki, — dodał, — bom tych siła widywał już idących ze dzbankami po wodę, a przecie nie zachwalałem ich, bo choć której pyszczek był nieszpety, wyglądały jak czerwone kłody, ale tym tylko skrzydła dać, poleciałyby w obłoki.

— Oszalałeś — rzekł Hans.

— Ono to nic jeszcze że piękne, — mówił Gero uspokoić się nie mogąc — dziwniejsza rzecz iż ich dwie tak do siebie podobnych, iż jednej od drugiej rozróżnićby nie można, i jakby się człowiek rozmiłował, musiałby w obu...

— To ci na rękę, — rzekł Hans, — bo gdy się miłuje, nigdy tego dosyć — ale tobie od rany w nodze oczy się pokrzywiły... albo drwisz ze mnie.

Gero znowu do Dzierli się zbliżył usiłując z niej coś wyciągnąć. Widząc jego zachwycenie, baba się ulitowała i rozmaitemi ruchy ukazała mu że stały wysoko, że były córki pańskie, że pan synów nie miał tylko ich dwie, i że chyba księżęta godni ich byli.

Wszystko to dać zrozumieć bez pomocy wyrazów mogła tylko zręczna Dzierla i tak chciwemu a odgadującemu łatwo jak Gero... Pokazywała na zamek cały, w górę ku niebu, ręce przykładając do serca... oczy podnosiła i spuszczała. — Gero czego nie zrozumiał domyślił się...

Kilka wyrazów już się był od starej nauczył i odpowiedział jej także ręce do piersi cisnąc, oczy w górę podnosząc, że się strasznie w dziewczętach rozmiłował...

Dzierla rękami wyraziście odpowiedziała mu że o nich ani mógł myśleć...

Gdy stara wyszła z izby, Gero na cały wieczór miał o czym mówić Hansowi, który choć się niecierpliwił, lecz i zaciekawił się mocno. Noga obrzękła, której poruszyć nie mógł, o podpatrywaniu przez ploty, ani myśleć nie dawała.

Śmiały Gero nazajutrz tak był niecierpliwy dowiedzieć się coś więcej, iż wprost ks. Żegocie się przyznał co widział i zapytał o dziewczęta.

Usłyszawszy o tem stary ksiądz uląkł się strasznie — długo nie mógł mu odpowiedzieć, a w ostatku surową twarz czyniąc, krótko odrzekł.

— Nie godzi się gościnności nadużywać. — Widzieliście córki mego pana — więcej o tem mówić nie chcę i nie będę.

Gero przeprosił starca i zamilkł. Wychodząc ksiądz Żegota upomniał go jeszcze surowo, aby się w podwórku nie pokazywał, i nieszczęścia na głowę jego nie naprowadzał...

Nazajutrz Dzierla przyszedłszy, wyzywać sama poczęła Gerona, na bałamutną rozmowę o dziewczętach, babie śmiało się to że chłopak męczył się i z miłości głowę tracił — gotową była ogień podsycać. Nawykła do tego między dziewczętami i parobczakami... Młodość jej to nieodżałowaną wracało, i grzała się przy tym ogniu.

Gero rad był choć z nią mówić o nich, dowiedział się nawet imion Hali i Halki, które jak szalony powtarzał ciągle...

Pomimo zakazu księdza, nie mogło go już nic powstrzymać od ciągłego stawania przy tynach u szpary, którą nożem swym ostrożnie rozszerzył tak aby wygodnie mógł wyglądać.

Ale cudne owo zjawisko tak upragnione, nie prędko się znowu ukazać miało. Gero powracał do izby i stękając mówił Hansowi.

— Nie było nikogo! Widziałem dwa psy i pół cielęcia!

VIII

Życie Leszka Białego na krakowskim grodzie, płynęło teraz od czasu gdy wielki zamach Henryka Śląskiego, spełził na niczem i skończył się zawartym sojuszem — spokojnie,

cicho, szczęśliwie, tak jak on sam pragnął, na wół przy rodzinie, wół w lasach, na koniu lub w rycerskich turniejach i igrzyskach...

Wszystkie ważniejsze sprawy kraju, jak niegdyś za ojca Kazimierza, leżały na ramionach Biskupa, zawisły od jego rady i kierunku.

Iwo i rozumem i świętobliwością i powagą wszystkiemu rycerstwu krakowskiemu przewodził, a Jaksowie nawet nieprzyjaźni mu, głośno przeciw niemu szemrać nie śmieli. Leszek rad był, nawykłszy do tego za życia matki, — szukać zawsze opiekuna na którymby się opierał. Takimi byli dla niej i dla niego Goworek, na przemiany z Mikołajem Wojewodą — kilkakrotnie to poczucie własnej słabości czyniło ich uległymi nawet Mieszkowi Staremu, a później Laskonogiemu.

Zmuszony prawie, po bitwie pod Zawichostem objąć rządy krakowskie, Leszek nie wprzód się zgodził na zajęcie miejsca Laskonogiego, aż się zapewnił pomocy Marka Wojewody i Iwona Biskupa.

Mówiliśmy że Marek i Jaksowie zdradzili pana, został więc jeden Biskup Iwo, na którym się bezpiecznie oprzeć mógł Leszek... Było to dlań rzeczą najpożądaną, czuł się spokojnym...

Po ojcu wziął pobożność i łagodność, z matki charakter słaby i nieumiejący wytrwać przy jednym postanowieniu — Biskup był mu potrzebnym — był dlań prawdziwym ojcem... Szczęściem był to mąż prawy, któremu tylko zbyt rzecami niebieskimi zajęcie, czasem nie dozwalało wszystkich ziemskich przewidzieć. — Kilkakrotnie zwiedzając zachodnią Europę, Francję i Włochy, Iwo dał się łatwo ować temu duchowi exaltacji religijnej, jaki w niej panował. Ponad wszystko naówczas zapal religijny się podnosił. Extatyczne porywy ku niebu, żywot martyfikacji dobrowolnych, duszne jednoczenie się z Bogiem, stały jako jedyny cel dla ludzi wykształconych, a tłum usiłował iść w ich ślady. Powstawały zakony, nie już jak dawne Benedyktynów i Cystersów, poświęcające się naukom, pracy ręcznej, nawracaniu i oświecaniu, ale żywotowi pustynnemu we włosienicy i żelaznych paskach, w biczowaniu i postach, w nadludzkich umartwieniach, które z więzów ciała wyzwalały duszę.

Tego ducha zaszczepić w kraju u siebie pragnął Iwo, — w Rzymie patrzył na cуда Dominika, nasłuchiwał się o ubogich zakonnikach powrozami przepasanych w Assyżu, wzory tych ludzi wielkich nie dawały mu spoczynku.

Wolałby być może i on wstępować w ślady tych mistrzów i wyrzec się wszystkiego co ziemskie, tak jak mistrz i Pasterz Wincenty, który infułę złożywszy na ołtarzu, poszedł przywdziawszy habit Cystersów do cichej celi zakonnej zakończyć życie. Lecz Iwonowi Biskupowi Krakowa, który na równi ważył z Gniezmem, nie godziło się opuścić straży około słabego a dobrego księcia.

Szło o pokój kraju, a razem i o szczęście tego człowieka, do którego się przywiązać musiał każdy kto go znał i z nim żył. — Leszek zostawiony sam sobie padłby był znowu ofiarą jednego z tych co czyhali na Kraków, główną stolicę, pierwsze księstwo naczelne ziem wszystkich.

Iwo, który ciągle klasztory zakładał, kościoły mnożył i nieustannie czynnym był około spraw diecezji, sam wszystkiemu podoleć nie mógł, dlatego wezwał w pomoc Mszczuja Waligórze, na którego poczciwości mógł polegać. — Miał on dlań być prawą ręką, a dla złych ludzi postrachem. Biskup nie postanowił jeszcze co mu da do czynienia, lecz wiedział że użytecznym będzie. Chciał go tu mieć niezawisłym, bez urzędu i godności, gotowym zawsze chwycić czy za oręż, czy usty się rozprawić z niechętnymi i podejrzanymi.

Po owych łowach, z których wracającego Leszka Marek na drodze pochwycił, chcąc czy wybać czy przygotować — nazajutrz książę spoczywał, ciesząc się dziećmi, Salomeą swą i Bolkiem, wesoło rozprawiając z żoną, przywołując komorników, aby mieć więcej w koło siebie uśmiechających się twarze. Gdy się czuł szczęśliwym Leszek było to dlań potrzebą widzieć wszystkich wesołymi, radującymi się z nim społem. Lada twarz chmurna już mu psuła jego szczęście, gotów był największą ofiarą wywołać uśmiech z każdego. Służba która znała księcia swego, nieraz z tego korzystała i zyskiwała co chciała.

Nie był to mąż stworzony na panującego, rządy mu ciężyły i dolegały, — ludzie co mu spokój truli doniesieniami, podejrzeniami, niepokoje przynosząc, nie mieli u niego łaski.

Przy całej miłości dla Biskupa Leszek mu to jedno miał za złe, że go trapił ciągłymi postrachami...

Zaledwie od żony był odszedł dnia tego i zabierał się z Pakoszem strzelać do celu — gdy pacholę nadbiegło oznajmując mu o Iwonie.

Biskup szedł od kościoła zamkowego sam jeden ku dworcowi pańskiemu, pograżony w myślach czy modlitwie, gdyż rzadko było można Iwona zastać bez modlitwy na ustach...

Leszek wyszedł zaraz naprzeciw niego; wesolą przed chwilą twarz starając się do powagi nastroić. — Powitawszy go jak ojca wiódł do osobnej izby sadząc troskliwie i dopytując czyby nie miał jakiego smutku..., gdy się tak zdawał mu chmurnym.

— Powszedni chleb, — powszedni chleb, — odparł Iwo. — Każdy dzień przynosi złośliwość swoją... Nie ma nic ciężkiego, lecz i pociechy nie wiele...

Trochę ciężaru z ramion zbyt obarczonych, powinniście, ojcze miłościwy, zdać na drugich — takby wam lżej było.

— I ja to czuję, — odparł Iwo, — dlatego zmusiłem niemal brata co się był na pustynię cofnął, aby mi do boku stanął. Jest to mąż prawy, a choć długiem odsunięciem się od nas zadomowił i obcym się stał, — rychło on przejrzy i zda się nam bardzo.

— Radbym go widział tego brata waszego, — rzekł Leszek — i mnieby był pożądanym.

— Dziki jest — odpowiedział Biskup — na dworze mu nieswojo; ale przyprowadzę go aby się panu pokłonił.

— Tak — co prędzej to lepiej — rzekł książę.

— Tymczasem jednak — kończył Biskup, — myślę go ja wyprawić aby mi dostał języka.

— Zkąd? — spytał ciekawie Leszek.

— Chciałbym wiedzieć czy na wrocławskim dworze, zawsze ku nam toż samo serce mają, jakie mieć się obowiązali — mówił Iwo. — On przejrzy co tam się dzieje...

— Lecz ja nie mam wątpliwości żadnej o sercu księcia Henryka, brata mego ukochanego...

— Ani ja go podejrzewam — rzekł Biskup, — lecz tam już synowie dwaj więcej niż rodzice znaczą, a tych — Bóg jeden wie!

— Tak świętych rodziców dzieci — musieli po nich wziąć cnotę — odparł Leszek...

Biskup zmilczał chwilę.

— Miłościwy panie, — szepnął ciszej, — ten którego łaską swą okryłeś, Jaszko Jaska, syn Wojewody, który się tulił przy ojcu... uszedł. — Nie ma go. — Duch w nim niespokojny, lękam się by na który z dworów nie udał się, aby tam, jak niegdyś ojciec, — wicherzyć przeciwko tobie.

Leszek rzucił się niecierpliwie.

— Jaszko uszedł! — powtórzył nieco poruszony, siadając zaraz znowu — mówicie że uszedł?? Jesteście tego pewni?

— Nie ma wątpliwości, pytałem mistrza Andrzeja, — potwierdził tę wiadomość.

— Jaszko uszedł! — powtórzył raz jeszcze Leszek niespokojnie. — Nie obawiam się go, człek jest mały, lecz — przez małych też złe się dzieje, a — któż wie? jam temu winien może!

Biskup spojrział zdziwiony.

— Tak — odparł książę — uczyniłem miłosierdzie połowiczne, gdy trzeba było zrobić całe. Nieczynny siedział, sprzykrzył sobie...

— Ucieczka Jaszka, który najprędzej do Wrocławia, do dawnych ojca przyjaciół mógł się udać, niepokoi mnie — odezwał się Iwo — dlatego chcę na ten dwór Mszczuja wysłać.

Leszek potwierdził pokłonem zdanie Biskupa, nic nie mówiąc — widać było niepokój na nim, długi rękaw swej sukni machinalnie ująwszy, szarpał go patrząc na podłogę.

Iwo otrzymawszy przyzwolenie Leszka — nie chciał męczyć go dłużej, wstał jakby go myślał pożegnać.

Książę zobaczywszy to, uprzedził go i z uszanowaniem ująwszy za ręce obie posadził znowu na krześle.

— Jaszko uszedł! — zamruczał. — Cóż Wojewoda?

To mówiąc bystro spojrział na Biskupa.

— Widziałem go zgryzionym tem, gniewnym na syna — nie posądzam — lecz ojciec musi mieć rodzicielskie serce..., a nam należy czuć...

— Tak! czuwać! nieustannie nasłuchiwać, dzień i noc się obawiać, nie mieć jednej niezamężonej godziny — tak! to jest dola tych którym drudzy zazdroszczą! — westchnął Leszek... — O! czemużecie wy mnie nie pozostawili w spokojnym Sandomierzu, na małym udziale, z któregoby mnie nikt nie wypędzał! — dodał z gorzką wymówką. — Tam, byłbym ja i moi by szczęśliwsi byli.

— Dlatego miłościwy panie, tobie szczęścia poskąpiono ażebyś je dał drugim — rzekł Biskup. — Człowiek nie żyje dla siebie — a wy z łaski Bożej przez krew i pochodzenie na tę ofiarę wyznaczeni byliście...

— A Bóg co mnie przeznaczył na ofiarę — dodał Leszek smutnie — nie dał serca twardego aby wszystko co w nie godzi znosiło bez wzruszenia.

— To się zwie ofiarą! — dołożył Iwo...

A mówiąc to poszedł Leszek uściskać... Łzy miał na powiekach księżę.

— Smutna jest dola moja, — szepnął, — ale przykład ojca nauczył mnie ją znosić. — Niech się stanie wola Boża...

— Trapić się zbytnio nie ma czem — rzekł Iwo — miłościwy panie... Nie myślć więc o złem, a ja za was czuwać będę.

To mówiąc pobłogosławił i powoli przeprowadzany przez księcia ze dworca powrócił na modlitwę do kościoła.

Świątobliwy Biskup, którego wielka pobożność trzymała ciągle w tym stanie podniesienia ducha, który daje jasnowidzenie przyszłości, był ubłogosławiony proroczym darem i umęczony nim.

To co dla innych było zakrytem, dla niego występowało jasne, czytał w sercach, widział to w ludziach często czego oni sami nieświadomi byli — w tych widzeniach wieszczych przesuwały się przed nim wypadki mające nastąpić w tak żywych obrazach, jakby je już miał przed sobą.

I teraz gdy kraj jeszcze na pozór był spokojnym, a walka Odonicza z Laskonogim i krnąbrność Światopelka zdawały się nie grozić niczem oprócz chwilowego zawikłania, Biskupa Iwona, który miał przeczucia jakiegoś krwawego końca — na chwilę nie opuszczał niepokój aż do gorączki i łez poruszający. Sam sobie wyrzucał brak wiary w Opatrzność Bożą, karciał się jako krnąbrne dziecko, usiłował modlitwą pokonać to zamącenie ducha — a krwawe obrazy ściagały go ciągle.

Od Leszka którego smutek i skarga żywo się w sercu jego odbiły, Biskup poszedł do kościoła, i ukląkł przed ołtarzem na modlitwę, błagając Boga o pokrzepienie i pokój...

Dość długi czas spędziwszy na tem rozmyślaniu łzawem, wstał złożywszy część brzemienia u stóp krzyża i zwrócił się ku dworcowi swemu.

Nigdy Biskup Iwo nie wychodził z domu bez groszy na jałmużnę przeznaczonych. Wiedzieli o tem ubodzy, i jak skoro się ruszył gdziekolwiekby, ściagały go tłumy wszelkiego rodzaju nędzarzy.

Było dlań rozkoszą wielką iść tak powoli, mówić z niemi, pytać i rozdzielać jałmużnę, niektórych wiodąc za sobą do dworca, gdzie zawsze stół dla ubóstwa był gotowy, odzież nagromadzona, przytułek zabezpieczony.

Chorych ztąd odsyłano do szpitala na Prądnik, który już nie starczył biedactwu. Jeżeli po drodze trafił się klasztor, Iwo dzielił się z nim biednemi...

U drzwi kościelnych już nań oczekiwał ten zwykły dwór jego, nazywał bowiem nędzarzy dworakami swemi; a Biskupowi dosyć nań było okiem rzucić aby w nim rozpoznać dobrych znajomych, spotykanych co dnia. Wśród nich, nieco opodał uśmiechała się Pasterzowi twarz i postać osobliwa, która nawet wśród tej gromady łachmanów najpoczarniejszej, odznaczała się szczególnym charakterem.

Był to człowiek stary lecz nie zestarzały, krzepki jeszcze, z głową łysą jak kolano i świecąca a połyskująca na słońcu jakby kościaną była, z wąsami i brodą czarną rozczochraną, z oczyma bez brwi, wielkimi i ruchawemi, ustami szerokimi i wykrzywionemi.

Zebrak ten dobrowolny, niegdyż możny człowiek, pokutnikiem się stał w chwili namiętnego gniewu zabiwszy własną żonę. Gdy ochłonął potem, skrucha go wzięła, i żał okrutny, który mu zmysły pomieszał. Oddawszy dzieciom majątności swe, straciwszy pamięć swego występku, która mu rzadko powracała, Hebda poszedł o kiju na całe życie pokuty, nie chcąc już ani dzieci widzieć, ni progu krwią oblanego domu przestąpić.

Szaleństwo jego było dziwne. Na przemiany wesołe i rozpaczliwe, przytomne i bezmyślne, czyniło ono z niego jakby kilku ludzi odmiennych w jednym mieszkających ciele...

Hebda spędzał niekiedy tygodnie leżąc krzyżem na gołej ziemi, na chłodzie i zimnie u drzwi kościelnych. Słabł czasem tak iż go miłosierni ludzie, mało co żywego podnosić i karmić a poić musieli, aby powrócił do sił. — Napadała go potem wesołość niepomiarowa, szalona, krzykliwa, wśród której odzyskiwał rozum, przenikliwość nadzwyczajną, i złośliwość niemiłosierną. Naówczas wśród rynku, u kościołów zaczepiał ludzi najdostojniejszych wyrazami ostremi, nie szczędząc ich a wyrzucając im na oczy takie występki o których świat albo nie wiedział lub udawał że nie wie... Nie darowanoby mu tego bezkarnie, lecz że za szalonego uchodził — nikt się mścić nad nim nie chciał. Bawiono się tym nielitościwym cynizmem Hebdy, podbudzano go nawet do szyderstwa... Błyski rozumu wcale niespodziewane, wśród nieporządnej i rozpasanej mowy zdumiewały najpoważniejszych.

Lecz u Hebdy i ten rozum i złośliwość tak były pomieszane z niedorzecznościami, iż jednego od drugiego oddzielić było trudno.

Biskup miał szczególną litość nad biednym obłąkanym, codzień gdy chciał Hebda jadał u niego, dostawał grosz jaki, a często na zimę odzienie. Lecz u biedaka wszystko to nie trwało długo, suknie z siebie oddawał lub pozwalał zdzierać innym dziadom, grosz mu wrywano. — Chodził na pół nagi z głową zawsze odkrytą zimą i latem, na mrozie i słońcu, leżał u drzwi kościelnych, na zmarzłej ziemi, i nic mu nie szkodziło...

Dnia tego Hebda, co zdala poznać się dawało, był w napadzie szalonej wesołości. — Usta bezzębne trzymał szeroko roztwarte, oczyma śmiał się, śmiał zmarszczkami wszystkimi twarzy i witał zdala Iwona rękami wywijając...

Pogroził mu Pasterz zdala, aby nie dokazywał — ale to nie wiele pomogło.

Hebda który się włóczył nieustannie po Krakowie i poza miastem, a miał jakby potrzebę kręcenia się ciągłego, gdy nie leżał krzyżem, — był jak najlepiej oświadomiony z tem co się działo w mieście, wśród ludzi, po domach, nie było dlań tajemnic. Często on pierwszy wygadał się z czemś co inni dopiero daleko później dojrżeli. Nie było straszniejszego i bystrzejszego oka śpiega od niego — dlatego pozbywano się go odedrzwia rychłą jałmużną, ale nie wszędzie ją przyjmował, i gdzie chciał dokuczyć ztamtąd go żadną siłą odpędzić nie było można. Bicia zdawał się nie czuć — gdy go psami poszczuto stawał, odwracał się do nich, — psy najzjadlejsze wlepiwszy w nie oczy trzymał jak na uwięzi, potem gdy huknął na nie, co one jego miały pędzić, on je odganiał.

Ubodzy zobaczywszy że Iwo patrzy na żebraka, rozstąpili się aby mu do Biskupa dać przystęp, on podszedł, ukląkł, złożył ręce i modlić się przed nim zaczął.

Iwo pobłogosławił go...

— A gdzież twoja opończa com ci ją kazał dać? — zapytał.

— Gdzie opończa! albowi ja jej był wart? — szepleniawo a prędko zaślinionemi usty począł Hebda, — pojechała w świat na lepszych plecach niż moje!!

— Bo ty zawsze odzierać się dajesz! — rzekł Biskup łagodnie — chodźże ze mną. Opada z ciebie lachman, świecisz nagim ciałem... Chodź.

Hebda wstał powoli posłuszny, i jakby o swej nagości nie wiedział, począł się z kolei przypatrywać to nogom, to rękom, to plecocom, i głową potwierdził słowa biskupie.

Iwo tymczasem rozdawał grosze... a wyczerpawszy do dna woreczek który pod rokietą nosił skinął na Hebde. — Chodź!

Wyszli tak sami do wrót zamkowych, — Biskup szedł znowu zadumany. Przesząpili już bramę, gdy na drodze żebrak się przysunął do Iwona. Ręką w powietrzu zrobił taki ruch jak nianki gdy dzieciom ukazują że poleciał ptaszek.

— Fruru! — zawołał — nie ma go! — i rzekł cicho. — Hen! hen!

Ukazując ku północy.

— Kto? co? — zapytał stając Biskup.

— Jaszko miły! Jaszko furknął! — dodał Hebda... — Stałem u wrót do dnia, albo i dnia wówczas nie było jeszcze — gdy go ojciec wyprawiał.

— Co mówisz? — groźno odezwał się Iwo. — Co ci się przywidziało?

Hebda ręką uderzył się po oczach.

— Ja mam kocie oczyska — rzekł, — i najlepiej widzę po nocy. — Ho! ho! patrzałem dobrze, widziałem wszystko. Ściskali się ze starym u wrót, czeladź konie trzymała. — Pozdrowienie komuś przez synała zasyłał. Ej! ej! ojczcie święty, nie trzeba spać!

To powiedziawszy zatulił usta i zamilkł.

— Nie kłamiesz? — odezwał się Iwo surowo.

— Ojczcie święty, grzesznik jestem przeklęty, kłamię czasami ludziom na utrapienie, sobie na mizerne pocieszenie, ale jak jabym mógł kłamać przed tobą, co czytasz we mnie i dobyłbyś ze mnie, choćbym we wnętrzości prawdę skrył?

Prawdę mówię, znają się ojczciec z synem... Jaszka posłał tatulo! Nie trzeba spać.

— Coś rzekł — odezwał się Biskup poważnie — tego nie mów ludziom, nie noś po rynku!

— Ale wam, ojczcie święty — rzekł Hebda schylając się mu do nóg, jak nie miałem mówić?

Nosiłem tę zmięję za pazuchą, kąsała mnie, szukałem was, dopierom znalazł.

Kiwnął głową.

— O ja, głupi człek, gorzej bydlęcica, ojczcie święty — mówił dalej, — nie wiem nic, ciemno ciemno, potem we mnie jasności uderzą wielkie i widzę hen! hen! na wylot przez ludzi i przez ściany, i przez lasy... Co ja winien! dola moja!...

Biskup wysłuchawszy go, jął żegnać.

— Jeżeli w tobie nieczysta siła gości — niech ustąpi z ciebie!! Módl się! módl!!

Hebda złożyłwszy ręce spokojnie, głośno zaczął odmawiać — Ojczcie nasz, jakby na dowód że siły tej nie ma w sobie. Przeżegnał się i stał.

Nagle podniósł głowę, zawrócił ją do góry, oczy zmrużył i począł patrzeć w obłoki.

— Tsytt — rzekł — tst! Kruki się nawołują — będzie krew... Sam król kruczy pulki zbiera na żer...

Iwo przeżegnałszy raz jeszcze, powolnym krokiem zaczął iść ku domowi, Hebda go nie opuszczał. Jak tylko postrzegł że się Biskup oddala, pospieszył za nim.

— Ojczcie święty — począł znowu — tu co trzeci człowiek to zdrajca... Idę ja czasem, idę drogą, ulicą, patrząc... Który czysty to się świeci jak pochodnia, który zdrajny, czarny jak węgiel, a serce mu w środku goreje czerwono. Liczę, liczę, nie mogę zdrajców naliczyć...

— Kogóż oni zdradzać mają? — powolnie z litością zapytał Biskup.

— Albo ja wiem? — rzekł Hebda... — to tylko Bogu wiadomo — ale zdrajcy... Marek Wojewoda zdrajca, Jaszko zdrajca, ich przyjacioly czarni, psy ich czarne, konie czarne... wszystko czarne... Ja czasem widzę to, a czasem nie widzę nic... bom grzesznik przeklęty...

— Módl się! — rzekł Biskup.

— Czasem modlę się aż płacę krwią i plwam krwią i jęczę krwią, — mówił Hebda — a czasem gęba mi zarośnie, piersi mi się ścisną, serce zmarznie — i nie mogę...

Z litością wielką Iwo odwróciwszy się doń, szeptał modlitwę, której Hebda ze złożonymi słuchał rękami. Szli znów dalej.

Lecz już dwór biskupi był na widoku, żebrak ludzi u wrót zamkowych więcej się może lękając niż Biskupa, począł się cofać i iść za nim w pewnym oddaleniu.

U wrót nowy tłum żebraczy czekał na powracającego Pasterza, a ujrawszy go wszystka ta gawiedź jęczeć zaczęła i modlić się, a zawodzić najdziwniejszemi głosami, najniesforniejszemi. — Służba chciała odpędzać, lecz Biskup dał znak... — zostawiono ich w pokoju...

Hebda nieśmiało wkroczył za swym przewodnikiem aż do wrót, za próg i wkrótce potem wyszedł napowrót okryty szarą opończą, którą rozwiesiłszy szeroko na ramionach, nadąwszy się pysznie, stąpał tak pociesznie, iż żebracze jęki w śmiech się zmieniły...

Głos ten jakby w większą jeszcze dumę wbił Hebdę, podniósł do góry głowę i krzyknął.

— Precz z drogi kiedy pan idzie! hołyszec!! Won ścierwa śmierdzące... Jam dziś pan!!...

Rozśmiał się sam, popatrzył na opończę i powłókł wywijając kijem młyńca...

W dworcu czekał na brata Waligóra, wcale dziś inaczej już przybrany niż gdy wyruszył z Białej Góry. Suknię miał długą futrem bramowaną, pas błyszczący z mieczem u boku, nóż u pasa, kołpak w rękę, i buty ze spiczastemi do góry zawróconemi nosami,

jakie podówczas nosili wszyscy koło dworu i w mieście... Patrzącym nań zdala wrażał mimowolne uszanowanie i postrach jakiś. Ktoby o nim nie wiedział że był tym siłaczem sławnym, w twarzyby mu przeczytał, iż mąż był nieulekniomy i serca wielkiego... Tak jak przed świętością wzroku brata jego Iwona trwożyły się serca nieczyste, przed siłą jego czystego wejrzenia, mięszali się ludzie słabsi. Stał też wśród nagromadzonych duchownych i świeckich którzy na Biskupa oczekiwali, odosobniony, sam do innych nie spiesząc, a drudzy doń nie śmiejąc...

Iwo ujrawszy go, wnet się doń zbliżył z miłością wielką... Uściskał go wskazując mu komorę w której się zwykł był modlić i poufalszych przyjmować, a tymczasem gości swych witać zaczął.

Mszczuj czekał nań cierpliwie... Posłuchanie wszakże nie trwało zbyt długo; Iwo płaszczyk z ramion zrzuciwszy, pospieszył do brata.

— Z zamku wracam, księciu się pokłonić ci trzeba, — rzekł. — Wie o was...

Mszczuj tylko się po szerokiej piersi dłonią uderzył.

— Potem w drogę, bracie miły — kończył Biskup, — potrzeba jest wielka widzieć jasno...

Przeszedł się po komorze niespokojny.

— Wiesz, — rzekł — gdy Bóg łaskaw, ciemności dają światło, szaleni dają rady rozumne. — Po drodze naszedłem żebraka, tego nieszczęsnego Hebdę. Powiedział mi że na oczy swe widział gdy Marek syna wyprawiał... Knują więc zradę...

— Dokąd go posłał? jasna rzecz na ten dwór, w którym on sam miał opiekę, do Henryka... Tamci jechać potrzeba, i uznać prawdę.

— Nie mogliście mi wstrętniejszego wybrać błota do zanurzenia się w niem, nad tę niemczyzny kałużę — odparł gorąco Waligóra. — Na samą myśl dusza się wzdraga...

— Bracie! bracie! nie bluźnij — rzekł Biskup. — Niemiecki dwór to prawda, ależ ludzie pobożni, w sercach ich Bóg mieszka, niewiasta święta, mąż jej godzien...

— A przecie pod Kraków szedł! — rzekł Mszczuj.

— Toć nic, grzech ten zmazał, — odezwał się Iwo, — a wierzaj mi, trudniej jest z grzechu powstać niż w cnocie trwać... Najdroższą owieczkę co się od trzody zbłąkała, sam Chrystus bierze na ramiona. Henryk dał się uwieść namowom Marka — ludzka była ułomność, ale się opamiętał i poprawił — to anielska...

— Żona i on Niemców wiodą na Szląsko... naszym tam nie pokazać nosa, ja się moim językiem nie rozmówię z niemi, a wprzód mi on uschnie nim się niemieckim splugawi.

— Bracie! — zawołał Iwo — grzech to jest!!

Mszczuj zamilkł i namarszczył się.

— Z tego się nie poprawię — mruknął.

— Z księciem Henrykiem rozmówisz się, — z synem jego ulubionym co imię toż samo nosi i ze dworem jego polskim, łącznie się zrozumiesz a księżnej owej świętej pokutnicy pewnie widzieć ci nie przyjdzie, bo ona z mężem nie żyje i w Trzebnicy siedzi...

Mszczuj milczał już nie przeciwiąc się.

— Czyń ofiarę chętną — dodał Iwo. — Serce mam trwożne! Na jawie i we śnie widzę czyhających na tego dobrego pana, który nic nie widzi, gdy co ujrzy niepomiernie się trwoży, a jest w duchu czysty i serca anielskiego... Niechby oczy moje nie patrzyły na to co serce przeczuwa! Czyńmy co w ludzkiej mocy, by od niego nieszczęście odwrócić...

— Wy więcej pewnie widzicie odemnie ślepego — odparł Mszczuj, — wierzę w to niebezpieczeństwo którego dojrzeć nie mogę. — Więc pocóż rozmyślać długo? Panem jest, niech zwoła nas, niech zbierze rycerstwo, niech się każe stawić bratu, niech powoła Ślązaków, idźmy przeciw tej groźbie i stłuczmy ją na miazgę.

— Rada żołnierska — rzekł Biskup, — ale patrz. — Konrad Mazowiecki nie pójdzie, bo mu sił nie staje na obronę od Prusaków, Ślązacy nie zechcą — samych nas mało... Nie wojskiem ale powagą rozbić ich trzeba, postrachem!! Ułękna się gdy ujrzą nas czujnych, — pomięszamy im szyki.

Wreście Leszek jak ojciec jego, nie dobędzie oręża, dopóki powołany nie zostanie jawnym wystąpieniem. Rycerzem jest mocnym, lecz krwi rozlewem się brzydzi.

Będzieli wojna konieczną, — westchnął Biskup — pójdziemy w imię Boże... Tyś nas nauczyć powinien czy ona nieuchronną. — Jedź a powracaj!

Z wezbranej piersi Mszczuja dobył się oddech ciężki.

— Jamci posłuszny, — rzekł — lecz zaprawdę gorszego posła wybrać nie mogłeś...

— Mylisz się — odparł łagodnie Biskup. — Wstrętnei ci są?? łatwiej dojrzysz w nich zdradę, jeżeli jest, bo cię nie złudzą.

— Oni! mnie! — wykrzyknął Waligóra. — Ani nawet ta ich świętość niemiecka, którą wy szanujecie, nie zniewoli mnie do miłości ku nim...

Szmer w pierwszej izbie przerwał rozmowę. — Biskup ku drzwiom zwrócił głowę, szybko podszedł ku bratu, — począł po cichu serdecznemi go rozbrajać słowy, wśród których ciągle powtarzało się. — Jedź... Waligóra natarczywością tą złamany, nie śmiał się już sprzeciwiać... Ucisnęli się po trzykroć... Mszczuj spojrzal ku drzwiom za którymi stał znowu cały zastęp oczekujących i wymknął się małym wyjściem bocznem z komnaty.

IX

Na drodze z Krakowa do Wrocławia, w gęstym lesie, o wieczornej godzinie, rozlegały się krzyki niewieście i głosy męzkie zapalczywe a namiętne... Słychać wśród nich było szczęk broni, jakby już do boju przyszło, i koni rzenie i tentent głuchy...

Wśród ciszy i uspokojenia wieczornego lasów, wrzawa ta rozlegała się i szła daleko... tak że w znacznej odległości jadący orszak męzki ją posłyszał.

Składał się on z przeszło dwudziestu koni, ludzi dobrze zbrojnych i ubranych dostatnio. Na czele jego jechał na ciężkim i silnym siwoszu mąż ogromnego wzrostu, pod którego ciężarem zdawał się koń uginać. Gdy krzyk doszedł do uszów jego, brwi mu się ściągnęły strasznie, drgnął cały, ręka mimowolnie sięgnęła po oręż wiszący u boku.

Słuchał krótką chwilę, potem nie oglądając się na poczet który za nim ciągnął, nie dawszy ludziom znaku żadnego, żgnął konia, który z nozdrzami rozdętymi w czwał z kopyta się rzucił i jak piorun popędził drogą w stronę z której krzyki się słyszeć dawały.

Orszak towarzyszący mu, w początku niepewien co ma zrobić z sobą, przystał nieco, ale konie rozumniejsze niż ludzie szarpać się zaczęły za siwoszem, utrzymać ich nie było podobna, i bezmyślnie, nie radząc się wszyscy rzucili się za wodzem swoim. Stało się w szeregach zamieszanie, ci co z tyłu stali a dzielniejsze mieli konie, wyskoczyli naprzód, drudzy zostali z tyłu, obalił się jeden z rumakiem, drugi rznął o drzewo aż jeździec zleciał z siodła — reszta gnała za panem, po drodze mając się do mieczów...

Gdy na siwym koniu ów olbrzymi mąż dopadł miejsca, z którego krzyki go docho-dziły, ujrzał kupkę ściśniętą rycerskich ludzi, a wpośród nich kilka kobiet na koniach — napadniętych przez jakąś gromadę zbójów pół pieszą, pół jezdną, lichy zbrojną, odartą, ale liczniejszą od tych których napastowali.

Byli to leśni łotrzy, jakich się po gościńcach pełno włóczyło, czatujących na kupców i podróżnych. Rycerska garść ludzi broniła się mężnie, lecz zbójce też śmiało następowa-li, chwytając konie za uzdy, a pałkami waląc po zbrojach... Kobiety w środku stojąc w niebogłosy krzyczały...

Wśród zapalczywego tego zapasu, ani posłyszeli zbójce gdy siwy koń i mąż wpadł na nich nagle, i pierwszego który mu się nawinął ciął w łeb tak że padł nie drgnawszy, krew tylko trysnęła na wsze strony...

Nim napastnicy opatrzili się że przeciw nim odsiecz przybyła, już ów siłacz dwu z nich położył trupem, a trzeciego koń jego chwycił za grzbiet zębami. Tuż cały orszak nadbiegał z dobytymi mieczami i okrzykiem, tak że łotry postrzegłszy przemagającą siłę, myśleli tylko jak ująć pomsty... Zamieszanie stało się straszne, bo z dwu stron objęte zbójce wściekle już życia swego bronili... Padali jak porażeni krwią się brocząc, i wprędce trupami i rannemi dokoła ziemia była usłana i ledwie który z napastników z życiem się wymknął.

Garstka rycerzy wśród której znajdowały się dwie kobiety i niebezpieczeństwem i bo-jem wprawiona w szal jakiś i wściekłość, nie mogła się jeszcze pohamować i znęcała nad rannemi i trupami... Mąż na siwym koniu, który na ratunek nadbiegł, był to Mszczuj Waligóra. — Ten dawno już swój miecz okrwawiony otarłszy o płaszcz połę, do pochew schował i stał nad trupami w postawie zwycięzcy, który nie wiele ceni czyn dokonany, i ma go za rzecz powszednią. Twarz miał uspokojoną znowu, poważną, a choć wiek odjął jej urok młodości, miała jeszcze blask jakiś życia, który ją zastępował.

Ku niemu i jego towarzyszom zwrócili się teraz mowa i oczy tych, których Mszczuj ocalił od śmierci i rabunku...

Lecz Waligóra zasłyszawszy rycerzy mówiących nienawistnym sobie niemieckim językiem, stał niemy, zimny, jakby nie słyszał nic.

Dwie kobiety, które jęczały w pośrodku zaczęły też błogosławić mu i dziękować. Jedna z nich starsza, miała na sobie ubiór cały czarny, ciemną zasłonę, płaszcz gruby wełniany, i wyglądała jak zakonnica. Oblicze jej blade, cera żółkła, jakby tych kwiatów które słońca nie widzą, powiadała iż musiała długo siedzieć w zamknięciu, wśród murów. Rysy twarzy, choć zwiędłe miały wyraz jaki nadaje wielkie rozgorzenie ducha. Błyszczał on w jej wielkich oczach czarnych, rozumnych, nakazujących poszanowanie, w ustach wąskich a ściągniętych jakby siłą woli, w sklepieniu skroni, którą marszczki lekkie myślami pooraly.

Strach spotęgował jeszcze charakter tej twarzy, z której bliskość męczeństwa i śmierci wydobyła religijny jakiś zachwyt... Teraz jakby ze snu wychodząc tarła białą wychudłą dłonią skroń bladą... patrzyła w koło — a wzrok jej zdumiony zatrzymał się na majestatycznej postaci milczącego Waligóry — który czekał obojętny aż się jego orszak z rannemi lotrami rozprawi...

Druga z kobiet młodsza daleko, lecz już zaczynająca przekwitać po pierwszej wiosnie, twarzyczkę miała rysów delikatnych, piękności wielkiej, ujmującej, a zupełnie różnej od pospolitych na północy. — Czarne jej oczy zapadłe nieco brunatnym otoczone cieniem, przysłaniała powieka z długimi rzęsy czarnymi, brwi nad niemi zarysowane silnie, były też kruczo czarne; cera nieco brunatna, małe usta smutne, owal twarzy dziwnie regularny — czyniły ją szlachetnie i anielsko piękną. Nic też namiętnego, ziemskiego nie psuło harmonii tych linii spokojnych, których przestrasz nawet nie zdołał skrzywić i połamać; nadał im tylko jeszcze bardziej porywający wyraz niedoli...

Młodsza ta pani, odziana była szaro, choć płaszcz także miała czarny, i strój jej staranniejszy więcej świeckie niewiasty dworu książęcego przypominał. Kilka klamerek i łańcuchów złotych widać było na jej piersi i ręku...

Waligóra który w nią się wpatrzył bacznie, bo mu te rysy przypominały kobiety w młodości widziane, gdy z bratem na naukach był w Paryżu — uczuł się może wspomnieniami temi, czy jakąś litością pociągnięty ku niej. Przyczyniało się do tego, że wśród tej gromadki ona jedna nie zdawała mu się Niemką...

Z dziwnem uczuciem począł się jej przypatrywać... tęsknił za córkami, może za towarzystwem niewieścim, czegoś mu dawno do złamanego życia brakło. — Ta kobieta budziła w nim zastygłe jakieś uczucia...

I ona też z zajęciem wielkiem patrzyła na poważnego męża... który na wszystkie podziękowania i pokłony Niemców, ledwie pogardliwym skinieniem głowy odpowiadał. Sądząc z tego że i jej nie zrozumie, niewiasta ochłonawszy nieco, dobyte białą rączkę z pod płaszcza i ruchem jej zaczęła zbawcy dziękować, przykładając ją do serca. — Uśmiechnęły się blade jej usta tak wdzięcznie a smutnie, iż Mszczuj uczuł litość wielką nad nią. A gdy zobaczył że w tej chwili, siły ją opuszczały, i zdało się że z siodła zsunie się na ziemię, — bo twarz bladością się powlokła trupią, skoczył sam z siwego, aby ją chwycić i nie dając spaść — złożył powoli na ziemi.

Stało się to w mgnieniu oka, a Mszczuj sam nie wiedział jak z konia zerwał się i dopadł do niej, gdy już się na kark koniowi sioniła.

Ujrawszy to starsza niewiasta przestraszona niezmiernie, nie tyle omdleniem towarzyski co ratunkiem, który się jej niebezpiecznym wydawał, co rychlej zsiadła także biegnąc do omdlełej towarzyski...

Z fłaszczki którą miała u pasa przy torebce, poczęła uklęknawszy płynem jakimś nacierać jej skronie. Mszczuj który na krok odstąpił, posłyszał ją, jak tylko zemdlona oczy otworzyła, przemawiając do niej ale nie mową niemiecką. Dźwięczały w niej znane mu dawniej brzmienia południowych języków Włoch i Galii, — choć popsute niemiecką wymową.

Ucieszył się tem wielce... że się na pierwsze nie omylił wejrzenie i że niewiasta, która w nim obudziła litość nie należała do znenawidzonego plemienia.

Choć przez lata długie Waligóra języków tych, niegdyś sobie dobrze znanych, nie używał, przyszyły mu one teraz nagle na pamięć jakby z ukrycia jakiego, wstając całe i nie-naruszone...

Mógł się więc bez grzechu rozmówić.

Tym samym językiem Południa, odezwał się do starszej niewiasty, iż kilka kropel wina nie zaszkodziłoby osłabionym trwogą. To mówiąc podał jej fiaszkę i kubek które miał na sobie, bo mu je Biskup na podróż wziąć kazał.

Usłyszawszy dźwięk tej mowy niewiasta, która oczy powoli otwierała, podniosła nieco głowę i piękne oczy czarne zwróciła ze zdumieniem z radością pomięszanem ku Mszczujowi. Powtórnie małe jej usta rozjaśnił półśmiech smutny i szepnęła głosem w którym czuć było powracającą nadzieję jakąś.

— Któż wy jesteście co tę mowę znacie? I wy tu obcy?

Mszczuja przejął głos prawie dziecięcy, słodki, — pieszczotliwy.

— Nie, jam tutejszy ziemianin, — rzekł, — alem w młodości po świecie bywał — i coś mi w pamięci zostało! — rzekł powoli.

Starsza niewiasta gdy mówił ciekawe oczy wlepiła w niego, — jakiś niepokój w nich się odbijał...

Przebaknęła coś po niemiecku, Mszczuj zmarszczył się i potrząsł głową, dając jej szorstko poznać że tej mowy słuchać nie chce.

— Zkądże wy tutaj? — zapytał powstającej z ziemi z pomocą starszej niewiasty.

Nie dając jej odpowiedzieć, starsza odparła językiem łamanym.

— Jechaliśmy do ks. Jadwigi do Wrocławia; — wy, szlachetny panie ocaliliście nas, jeśli nie od śmierci, to od wielkiego niebezpieczeństwa. Księżna nasza wdzięczną wam będzie... Chciejcie nam powiedzieć o sobie, abyśmy wiedziały komuśmy wdzięczność winny tak wielką.

— A! — odparł Mszczuj patrząc na młodszą, która go z wielkim słuchała zajęciem — mała to rzecz... Nie trudno było tych łotrów przepędzić. Wdzięczność winniście Opatrzności, która mnie tu wczas przyniosła. Ja także jadę do Wrocławia — a że lasy i drogi u nas niepewne, będę wam dla bezpieczeństwa towarzyszył zdala.

— Niech wam Bóg to nagrodzi! — zawołała starsza składając ręce... — modlić się za was będziemy!!

Gdy się to działo już ludzie Waligóry na wspólnie z Niemcami uprzętnęli byli drogę, nie troszcząc się o trupy, które precz poodrzucano. Rannych nie było brać po co, i Niemcy ich podobając chcieli, gdy Waligóra na przekorę im, nie dopuścił tego okrucieństwa, rozkazując swym ludziom do drzew ich przywiązywać...

Nie wielkie to było miłosierdzie, bo nierychło się spodziewać mogli, by zbiegli towarzysze przyszli na ratunek, a mogli z ran i głodu, mrzeć w męczarniach, lecz litości też nie byli warci...

Niemcy ich mruczając poodzierali jeszcze ze wszystkiego co się im na coś przydać mogło. Ponieważ dosyć czasu na bój i na przygotowanie się do dalszej podróży po nim, zeszło, bo wielu siodła, suknie i zbroje potrzebowało poprawiać, a niektórzy z Niemców ranni byli, już pod zmierzch ruszyli się wszyscy szukać noclegu...

Przodem szła kupka Niemców, za nimi jechały dwie niewiasty — Mszczuj potem i cały orszak jego, w małym od pana oddaleniu. Mógł więc Waligóra mówić po drodze z towarzyszkami, lecz gdy pytać zaczął je, młodszą zwróciła się ku niemu, spojrzęła nań i zdało mu się jakby chciała dać poznać że przy starszej choćby życzyła odpowiadać się boi. Zdumiał się temu Mszczuj — dorozumiewając iż młodszą nie bardzo może chętnie jechała na dwór ks. Jadwigi. Twarz jej i teraz wcale nie okazywała radości zbytniej. Wejrzenia które na towarzyszkę rzucała, były bojaźliwe i ukradkowe...

Zaprzestał więc Mszczuj badać, a wkrótce potem usłyszał jak starsza z podróżnych, rozpoczęła pół głosem, pół śpiewem modlitwę, której młodszą ciszej wtórowała.

Wieczór coraz się stawał ciemniejszy, niebo okryło się chmurami gęstymi, las ciągle otaczał drogę wijącą się nim, to gęsty i podszyty, to przerzedzony, lecz zawsze w daleką głąb sięgający, tak że pół i łąk prawie nie było... Pagórek czasem odsłonił się łysy nieco, ale i na nim leżały od wiatru powalone kłody i strzelały latorośle nowe...

Gospody którą Niemcy obiecywali, ani wsi żadnej, ni chaty widać nie było. Mszczuj miał wprawdzie namiotik podróżny, a mógł i w szałasie spocząć, lecz Wrocławianie do gospody dla jadła i koni choć nocą ciągnęli, a Waligóra nie chciał uratowanych opuścić.

Ciemność pospieszyć nie dawała, jechali wszyscy w milczeniu głuchem, które tylko mruczenie modlitw i pobrzękiwanie oręży i ryszunku koni przerywały. Czas wydawał się długim...

Północ być już mogła, gdy naostatek Niemcy się odezwali iż światło postrzegli i gospoda stała w niewielkim oddaleniu. Las się przerzedzał...

Światło nie z domostwa widać było, ale od obozowisk które dokoła jego porozkładali podróżni. Noclegowała u gospody kupiecka jakaś karawana z wozami, i różni wędrowcy, każdy swym dworem, małe ogniska porozpalawszy. Jak tylko zdala tentent koni nadciągających dał się słyszeć w uśpionych już obozach ruszyły się strażę, zapłonęły jaśniejsze ognie... śpiący nawet powstawali z obawy jakiej napaści nocnej.

Wnet dokoła odezwały się hasła i pytania — a Waligóra ze zgrozą przekonał się iż wszyscy ci podróżni Niemcy być musieli. Krzyżowały się pytania i odpowiedzi, po których uspokajając się zaczęto...

Do gospody skoczył zaraz Niemiec szukać dla niewiast przytułku, gotów nawet powyrzucać tych co go zajęli; lecz dla nikogo tam miejsca nie było, bo oprócz szopy i mizernej lepianki przy niej w której piwo szynkowano, nic nie znaleźli.

Pod szopą stało trochę koni... Dla dwóch więc podróżnych, które w płaszczach jak stały na ziemi się spocząć ofiarowały, podesłano sukna i kobierce, otoczono je dokoła, a nieopodal Mszczuj ze swemi ludźmi rozkładać się począł. Sam już nie chcąc się narzucać niewiastom, przez komornika namiot im swój posłał aby je trochę od chłodu osłonił, nie potrzebując go dla siebie, bo na wszystko był wytrwałym. Dla starszej Niemkini byłby pewnie nie uczynił tej ofiary, lecz żal mu było czarnoookiej, smętnej Włoszki czy Francuzki...

Noc to była niespokojna, i tylko najmocniej znużeni, mogli zasnąć ległszy wśród koni, które się odrywały, rzucały, i ludzi co na nie krzyczeli, wśród straży przechadzających się, dymu który wiatr z ognisk pędził, to gasnących to podkładanych stosów drzewa, utrzymywanych do dnia... i wichru, który po północy dąć zaczął... Z każdej gromady ktoś czuwać musiał, bo nadedniem ruszać się zaczęli podróżni, a ci mogli swoje i cudze wziąć w drogę z sobą.

Kłótnie i wrzawa z brzaskiem poczęte, nie ustawały już do dnia. Jesienny dzień obiecywał się chmurny i posępny. Pod namiotem zaczął się od modlitw, z którymi obie niewiasty na konie siadły. Młodsza zwróciła się jakby oczyma szukając Mszczuja, którego gdy dostrzegła prędko znów zbliżyła się do starszej towarzyszki. W drodze okazywała ona dla niej i uszanowanie pewne i razem wyższość nad nią, bo starsza wydawała rozkazy, odzywała się do ludzi, i przywoływała ich do siebie, nie pytając o nic milczącej młodszej.

Ta jechała z głową spuszczoną, obojętna na wszystko. — Zbliżanie się do celu podróży, nietylko się jej nie zdawało pocieszać, lecz niemal sądzić mógł Mszczuj, iż ją coraz bardziej niepokoiło...

Okolo południa trafili jadąc na osadę niewielką, przy której drewniany stał kościółek, a że tu koniom popasać było potrzeba, starsza zażądała pójść się pomodlić... Mszczuj zdala niedobrze słysząc, miarkował iż młodsza znużeniem się wymawiając, chciała pozostać dla spoczynku. Zostawiać ją samą niebardzo sobie życzyła tamta i po długich szeptach i namowach, nierychło ku kościółkowi się puściła.

Waligóra, który się nieco dalej rozłożył z ludźmi, po odejściu jej, wiedziony ciekawością, której się nie chciał opierać, zbliżył się zwolna ku miejscu, gdzie młodsza podróżna pod daszkiem do ściany się przytuliwszy siadła... Spozrzegła go zaraz, a że nie okazała wcale by unikać go chciała, Mszczuj zbliżył się śmiejąc.

Niemcy na boku jadło sobie przygotowywali — mógł więc rozpocząć rozmowę i odezwał się że noc była bez spoczynku... i pewnie pilno im być musiało dojechać do Wrocławia.

— A! miły panie — rzekła głosem łagodnym smutna niewiasta — spoczynku pragnę dawno, lecz czyż wiem jaki mnie tam czeka!! Jestem jak widzicie, z dalekiego innego kraju — tu mi wszystko obce i straszne. Inny obyczaj, niebo i ludzie...

— A cóż was tu zagnało? — spytał Mszczuj litościwie.

— Sieroctwo moje — rzekła niewiasta. — Nie miałam ojca i matki, bo ta zmarła w mojem dzieciństwie, a ojciec zginął w jednej z wypraw krzyżowych. Wychowywała mnie przez miłosierdzie siostra tej księżnej, która teraz przez pamięć dla królowej Agnieszki z Meranu, zażądała mnie wziąć do siebie... Nazywam się Bianka, miej, szlachetny mężu, litość nademną.

To mówiąc łzy szybko otarła.

— Mówią o księżnie Jadwidze iż litościwą, dobrą jest i pobożną — rzekł Mszczuj pocieszając sierotę.

— Pobożną, bardzo pobożną jest i świętą, i litościwą dla biednych, ale dla siebie okrutną i nielitościwą dla tych których kocha, bo jedno tylko szczęście zna dla siebie i dla nich — w męczeństwie!!

Mnie sierotę czeka przy tej pani klasztor i życie grobowe... a ja — a mnie Bóg do niego nie stworzył!...

Dokończyła łzawo i cicho.

Mszczuj uczuł się poruszonym. Te wyznania tak nagle i szczerze dowodziły wielkiej obawy i wstrętu jakiego sierota doznawała, na samą myśl zagrzebania się w klasztorze...

— Siłą przecież zmuszać was nie będą do życia, którego nie chcecie — odezwał się.

— A cóż ja pocznę? gdzie się podzieję, jeżeli na gniew i niełaskę mej jedynej opiekunki zasłużę? — mówiła Bianka. — Słyszeliście może o nieszczęśliwym losie tej co mnie wychowała... była królową i została wygnanką... Zmarła z łez gorzkich które polykać musiała... Miałam przytułek przy niej, potem zostałam bez opieki... Pobożna ks. Jadwiga słała po mnie... nierychło znaleziono mnie, u nowych państwa którym służyłam na dworze, i gdzie ciężkie miałam życie. Zdało mi się to ocaleniem...

Siostra Anna, pół zakonnica którą przysłano po mnie, tyle mi naopowiadała o księżnie przez drogę, że mnie nabawiła trwogą...

A! tam gdzież żyła, choć mi nieraz gorzko płynęły godziny, trochę było swobody, powietrza i choć cudzego wesela, a tam! tam... wśród tych murów... przy tej surowej pani...

Bianka płacząc mówiła żywo, i sama się temi skargami upajając, coraz więcej okazywała trwogi i niepokoju.

Spoglądała na Mszczuja, jakby błagała jego litości i opieki. Na Waligórze to opowiadanie przerywane łzami, czyniło wrażenie silne, któremu on sam się w duszy dziwił. Przez długie lata od śmierci żony, nie widywał on prawie niewiast, oprócz swych dzieci. Dwór składał się z prostych wieśniaczek...

Piękność tej sieroty, jej smutek, obawy, — los który ją czekał zaczynały go jakby nowym czynić człowiekiem. Zapomniał za czem jechał — kim był... Wieku swojego nie pamiętał, poruszało mu się serce gwałtownie...

Wstrzymywał się jednak wstydem jakimś i rozumem, od tego co mu się po głowie snuło...

— Nasłuchałem się ja w Krakowie już, — rzekł — o wielkiej pobożności ks. Jadwigi..., wszyscy ją jednak powiadają świętą, pobożną i miłosierną... Nie trwożcie się tak.

— Ale siostra Anna, co zemną jedzie, zna ją lepiej niż wszyscy, bo na jej dworze i przy niej cały wiek przeżyła. Z niej ja widzę co mnie czeka. Przez drogę całą przysposabiała mnie do tego szczęścia klasztornego, którego ja się boję... Księżna Jadwiga chodzi we włosiennicy, opasuje się paskiem żelaznym, boso w zimie spędza nocy na modlitwie... Krwawe dyscypliny całuje..., a dla Boga wyrzekła się męża i dzieci... Bądź ja mieć siły aby pójść w jej ślady??

Mnie jeszcze w uchu i sercu brzmią piosnki Południa, ja pamiętam szczęśliwe dni dzieciństwa, gdy Agnieszka była królową, a ja jej dzieckiem, wprzód niż swoje miała dzieci... Nieraz król Filip August kołysał mnie na kolanach, — ten wielki mocarz, rycerz, co tyle dla mej przybranej matki wycierpiał...!!

Bianka płakała, Mszczuj zadumany stał i patrzył...

— Choćby człowiek chciał — odezwał się cicho — jak tu ratować was. Jesteście w mocy opiekunki waszej.

— Jestem sierotą! — powtórzyła cicho Bianka spoglądając na Waligórę, tak jak tonący na deskę któryby mu mogła pomóc do ocalenia. Z całą gorącością dziecka Południa wyzywała starego rycerza na ratunek... Trwoga czyniła ją śmiałą, zuchwałą.

Nie mówiąc nic zdawała się oczyma błagać.

— Weźmij mnie i uczyni co chcesz zemną, a ocal od niewoli...

Waligóra spojrział ku kościółkowi, czy starsza nie powracała, ale nie widać jej było. Stał więc niepewny co ma powiedzieć, jak pocieszyć — a litość go zdejmowała coraz większa.

— Siostra Anna, jak jej pani, — mówiła cicho Bianka — świętą jest niewiastą. Żyje tylko w Bogu... Kiedym jej chciała uzalić się z tęsknicą moją, ona mi przyszłość malowała za grobem... Otwierała mi grób abym w nim szukała zapomnienia — a ja jeszcze spodziewałam się i pragnęłam życia... lepszego niż te którym znała...

Ja drzę i boję się grobu...

— Nie może to być — począł wzruszony Mszczuj, — żeby wam czasu nie dano do namysłu, a gdy poprosicie by was na świecie nie zostawiono. Na dworze młodych książąt siła rycerzy jest, którzy was pewnie chętnie zechcą ratować!

Bianka niedowierzająco potrząsała głową i patrzyła na Mszczuja...

— Gdyście w lesie przyszli nam na pomoc — rzekła — wiecie co mi się zdało? Że to Bóg was zsyła abyście mnie z ich rąk wyrwali!! Jeszcze teraz myślę że wy mi opiekunem być powinniście...

Waligóra zachnął się jak rażony temi słowy.

— Alem ja stary — odparł — i córki mam dorosłe... Cóż wam po mnie...

— Córkom waszym służyć będę! o! najcięższe spełniać usługi... byle nie być zamkniętą w więzieniu...

Waligóra spuścił w dół oczy.

— Gdybym chciał — mruknął — jakże was mogę wziąć z tego dworu? Siłą! toć mi nie dadzą, bo są mocniejsi...

— Przecie rycerzem jesteś? — odparła Bianka żywo. — Wiecie prawo rycerskie że w pomoc słabszemu przyjąć — obowiązek. A któż biedniejszy i słabszy być może nade mnie?

Wyciągnęła doń dwie białe ręce, Mszczuj stał jak w ziemię wbity, postrzegł właśnie iż Niemcy ciekawie się przypatrywali, bo pewno nie rozumieli, rozmowy jego z Bianką, wzbudzała w nich jednak ciekawość — byli jakoś niespokojni. A i z kościoła też widział wychodzącą w płaszczu czarnym siostrę Annę. Za całą odpowiedź więc — rzekł krótko.

— Siostra Anna powraca, we Wrocławiu postaram się widzieć was i mówić z wami. Da-li się co uczynić — zrobię chętnie, bo mi was srodze żal! Srodze żal...

Bianka nie zważając na swą straż obie ręce przyłożyła do piersi na znak wdzięczności. — Waligóra oddalił się szybko.

Niemcy postrzegłszy powracającą siostrę Annę powstawali z ziemi, jeden z nich poszedł naprzeciw niej.

— Miłościwa pani — rzekł — wasza towarzyszka długą jakąś miała rozmowę z Krakowianinem... Gadali bardzo żywo...

Niemiec twarz wykrzywił.

— Nie zda się ona wam do klasztoru! — dodał — jej pono co innego w głowie!

Siostra Anna zmarszczyła się i dała znak ręką mówiącemu aby przestał. Umilkł posłuszny. Przyspieszyła kroku i oczyma badającymi rzuciła na zapłakaną swą towarzyszkę...

— Widziałam zdała — odezwała się surowo, — że was tu ten stary zabawiał. Nie przystało wam, tak z mężczyznami obcować, bo są wszyscy, i starzy nawet, zwodnicy złośliwi... Czemuście go nie odprawili?

— Bo mnie pytał o moje życie, a ma do tego prawo, kiedy nam je ocalił — odezwała się Bianka głosem nieco śmielszym. — Cóż w tem złego!

— Dobrze to nie jest! Lepsze były pacierze! — poczęła sucho siostra Anna. — Wy powinniście się sposobić do tego szczęścia co was czeka — a nie może być większe, gdy święta pani chce was uczynić współuczestniczką swojej świątobliwości i szczęścia swego. Trzeba o przeszłości i płochości zapomnieć...

Westchnęła siostra Anna.

— Widać że ja niegodna łaski Bożej i do serca waszego przemówić nie umiem — rzekła, — kiedy tak długi czas obcując z wami, natchnąć was nie umiałam lepszym

duchem... Lecz, czego ja nie zdołałam uczynić miesiącami, święta pani dokáže jednym wejrzeniem, słowem jednym... To co was dziś trwoży, szczęściem się wyda...

Bianka zamilkła, konie przysposabiano do dalszej podróży...

Od tej chwili już siostra Anna, powziawszy jakieś podejrzenie, ani na krok nie odstępowała Bianki, ni też zdała się widzieć i chcieć znać Mszczuja, który wciąż jechał za niemi.

Pomimo tej pilności starszej towarzyszki, sierota znajdowała zawsze jakiś sposób przypomnienia się staremu, spojżenia nań ukradkiem, rzucenia mu uśmiechu, dania znaku. — Im się bardziej zbliżali do Wrocławia, tem trwoga w biednej wygnance rosła. Mszczuj też mniej teraz o swej przygodzie i o niej rozmyślał, bo się dlań zbliżała ciężka godzina, stawienia się na tym dworze, dla którego może ze wszystkich ówczesnych, wstręt miał największy.

Tędy mu płynęli na Ślązko owi nienawistni Niemcy, których już po drodze spotykali osady nowe..., niechzące znać ani pana ani prawa tutejszego..., niosące z sobą obyczaj swój, język i przywileje, które ich reszcie kraju obcemi czyniły.

Mszczuj wiół listy od Biskupa Iwona, będące pozorem podróży. — Musiał jeden z nich oddać Henrykowi Staremu, mężowi ks. Jadwigi, drugi synowi jego, młodemu księciu, który tu więcej rządził od ojca, prowadzącego życie pobożności oddane, niemal zakonne...

Stawić się przed niemi, o których wiedział że na wpół Niemcami byli, wśród dworu złożonego prawie z samych przybylców, Szwabów, Sasów, Turyngów, było dla Waligóry męczarnią. Obiecywał też sobie co najrychlej zbyć się poselstwa, i jak najprędzej powracać.

O pół dnia od Wrocławia na nowym popasie, zdała zobaczył Biankę z oczyma zaczerwienionemi, płaczącą jawnie, którą siostra Anna natarczywie zbyt pocieszała. Nie mógł się powstrzymać by się do nich nie zbliżyć.

Starsza widząc go podchodzącego i chcąc może uniknąć by Bianki nie zagadnął, sama pospieszyła objaśnić leż przyczynę.

— Biedne dziecko! — rzekła, — trwoży się niepomiernie jak ma stanąć przed majestatem świątobliwej pani naszej. Nie dziw! Któżby się nie strwożył mając oglądać to oblicze ubłogosławione dobrowolnem cierpieniem!

We Wrocławiu my tylko jedną noc przepędzimy może — bo mamy rozkazy abyśmy wprost do Trzebnicy jechały, gdzie świątobliwa pani przebywa... Jabym tam rada na skrzydłach wleciała...

Waligóra słuchał nie odpowiadając.

— Księżnej pani powiem żeście nas uratowali z rąk zbójów, westchnie za wami, a jej westchnienie pewno u Boga znaczy więcej, niż niejednego księdza modlitwa!

Mszczuj się skłonił.

— Trzebnica nie uciecze, — rzekł, — a spoczynek byłby wam potrzebny.

— Tak to wy po waszemu, po świecku sądziecie — odparła siostra Anna — a gdzież na tej ziemi utrapienia spoczynek? Albo nam co do nieba spieszymy, godzi się spoczywać?? marne, liche i niegodne ciało pieścić i dogadzać mu??

Siostra Anna gdy to mówiła z prawdziwego natchnienia i zapału religijnego, surowa jej i niemila twarz, przybierała wyraz takiego ubłogosławienia, uniesienia, świątobliwości — iż nawet Mszczuj zimny a uprzedzony — poczuł dla niej jakieś trwożliwe poszanowanie.

Siostra Anna podniosła ręce do góry — — Trzebnica! to niebo, to furta raj! — dodała — tam tylko żyć, w tym porcie zbawienia..., do którego burzliwe życia nie dosięgają fale...

I uśmiech szczęścia blade jej usta namaścił...

Bianka patrzyła na nią z jakąś trwogą, — i Waligóra widział jak cała drgnęła strachem, i pobladła...

— Spieszmy! — dodała siostra Anna, zwracając się do towarzyszki. — Święta pani której myśl szła za nami w podróży, widzi już nas okiem proroczem, czuje że się ku niej zbliżamy!

Dała znak Niemcom... i konie podprowadzono. Jeszcze raz okiem błagalnem sierota rzuciła na Mszczuja, który jej skinieniem głowy odpowiedział. Zbliżanie się do miasta

zmuszało go przystać nieco, aby się do wjazdu przygotować. Nie chciał wstydu czynić temu od którego przybywał.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/waligora-tom-i/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Waligóra: powieść historyczna z czasów Leszka Białego*, T. 1, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff. M. Glücksberg [etc.], Krawków 1880.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0473-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).